

KONTRAPUNKTY

ANNA

KAŃTOCH

NIEPEŁNIA



powergraph

ANNA
KAŃTOCH
NIEPEŁNIA

KONTRAPUNKTY



powergraph

Warszawa 2017

Anna Kańtoch
Niepełnia

ISBN: 978-83-64384-71-4

Wydawca:
Powergraph
ul. Ceglowska 16/2
01-803 Warszawa
tel. 22 834 18 25
e-mail: powergraph@powergraph.pl
www.powergraph.pl

Copyright © 2017 by Anna Kańtoch
Copyright © 2017 by Powergraph
Copyright © 2017 for the illustrations and cover illustration by Eshma by
iStock
Copyright © 2017 for the cover by Rafał Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: iStock
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wylączna dystrybucja:



„FK Olesiejuk” Sp. z o.o. Sp.j.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Spis treści

- I. Opowieść o śniegu i krwi
- II. Opowieść o zniknięciu
- III. Opowieść o zmianie
- IV. Opowieść o poszukiwaniach
- V. Opowieść o tajemnicy
- VI. Opowieść o powrocie
- VII. Opowieść o Słoneczku i bramach
- VIII. Opowieść o dziwadłach
- IX. Opowieść o piwnicy
- X. Opowieść o czekaniu
- XI. Opowieść o żyletce
- XII. Opowieść o Kaście
- XIII. Opowieść o prostej drodze

I.

Opowieść o śniegu i krwi

Nie pamiętam, które z nas umarło tamtego dnia, wiem jedynie, że ta historia zaczyna się od śmierci. Od czerwonego świtu i czerwonej krwi, której smugi znaczyły białe ściany kuchni. Tak dużo czerwieni i bieli... Kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem zasypane śniegiem pole ciągnące się aż do odległej ściany drzew; opalizująca różowo w słońcu, zimna i gładka przestrzeń tylko w jednym miejscu zbrukana była śladami stóp. Ktoś wyszedł z lasu i podszedł do okna. Ktoś albo coś, bo nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie, czy to ślady stóp człowieka. Świt kładł w nich purpurowe cienie i przez chwilę wyglądało to tak, jakby wgłębienia w śniegu też wypełnione były krwią.

W moich żyłach krążył alkohol, a muzyka wybijała wewnętrzny rytm na ścianach naczyń.

*Girl of sixteen
Whole life ahead of her
Slashed her wrists
Bored with life
Didn't succeed
Thank the Lord
For small mercies*

Biały dom z białą kuchnią nie należał do nas, nie był też w żaden sposób ważny — po prostu wydawał się dobrym miejscem, żeby tu umrzeć. A może wybraliśmy go z innego powodu? Wielu rzeczy już nie pamiętałem, a kolejne wspomnienia wyciekały ze mnie, tak jak z umierającej Agnieszki wyciekała na dywan krew. Zostawiając na podłodze czerwone ślady, podszedłem do nie mojej szafki, wyjąłem nie moją kawę i zaparzyłem ją.

Piłem gorący płyn, słuchałem muzyki i kiwałem do rytmu stopą. Wiedziałem, że zapytają mnie później, dlaczego to zrobiłem, czemu piłem kawę, kiedy moja siostra umierała, a ja nie będę potrafił odpowiedzieć. To miało sens wtedy, w tamtej chwili, gdy wciąż znajdowałem się po drugiej stronie, wewnątrz, a nie na zewnątrz. Bo sens wewnątrz jest zupełnie inny niż na zewnątrz, ten pierwszy jest sensem godziny o świcie, kiedy człowiek otwiera sobie żyły, drugi — sensem słonecznego południa, gdy ten sam człowiek próbuje odpowiedzieć na pytanie: dlaczego? Inne słowa, inne myślenie. My i oni, z przeciwnej strony, jesteśmy jak ludzie mówiący językami tak odmiennymi, że kiedy przekroczą granicę, przestaną rozumieć dawnego siebie. Jeszcze przez chwilę będę pamiętał, że straciłem coś ważnego, ale w końcu nawet to minie.

*Fighting back the tears
Mother reads the notę again
Sixteen candles burn in her mind
She takes the blame
It's always the some
She goes down on her knees And prays*

Miało sens, tyle będę potrafił powiedzieć.

I jeszcze: od zawsze byliśmy razem, bo z jakiegoś powodu będzie mi się wydawało, że to właściwe słowa, choć zapomnę już, dlaczego takie miałyby być.

To mój początek, dla starszej aspirantki Elżbiety Budzioł wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Dla niej ta historia zaczęła się od telefonu.

* * *

Potrafię ją sobie wyobrazić — oto kobieta ani stara, ani młoda, nie ładna i nie brzydka, w dzinsach i tanim chińskim swetrze z rodzaju tych, jakie można kupić na miejskim targowisku. Jasne, farbowane włosy nosi związane w kucyk zwyczajną gumką. Z tym sportowym stylem kontrastują mocno umalowane rzęsy i czerwona szminka, której ślad został na brzegu kubka z kawą. Starsza aspirant pali papierosa, dym unosi się leniwie wąską smużką, wsiąka w szare tapety i dawno nie-prane firanki. Za oknem wstaje dzień, słońce z trudem przedziera się przez brudne szyby i pada na biurko zmęczoną smugą, w której więcej jest kurzu niż światła. Poranna zmiana się

spóźnia i kobieta układa już w głowie słowa wyrzutu — będzie narzekać, bo tego od niej oczekują, choć w gruncie rzeczy jest z tego spóźnienia zadowolona. Lubi nocne dyżury, samotność i spokój. Starsza aspirant narzeka też, jak wszyscy w jej wieku, na nieubłagany upływ czasu, na zdrowie, niskie pensje i nudną pracę, w głębi duszy jednak sądzi, że niewiele się zmieniła od czasów studenckich, chce wierzyć, że wciąż zależy jej tak samo. Od jakiegoś czasu to już nieprawda, ale kobieta jeszcze o tym nie wie.

Starsza aspirant dopija kawę, kiedy dzwoni telefon.

W tej chwili ważą się nasze losy. Kobieta wyciąga rękę, a potem ją cofa. Mogłaby udawać, że nie słyszała, że właśnie zbierała się do wyjścia albo była w ubikacji. Dlaczego nie? To pewnie i tak nic ważnego, w tym zapomnianym przez Boga miejscu nie dzieją się ważne rzeczy. Poza tym jej zmiana się skończyła, ktoś inny powinien odebrać ten telefon. Starsza aspirant nie ma nic przeciwko przedłużającym się dyżurom, pod warunkiem że nie musi wychodzić na styczniowy ziąb.

Wreszcie jednak zwycięża poczucie obowiązku — a może zwyczajna ciekawość — i Elżbieta Budzioł podnosi słuchawkę.

Potrafię sobie wyobrazić, jak marszczy brwi, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Niepokój, potem niedowierzanie, znów niepokój.

— To jakiś żart? — pyta, zaraz zirytowana na samą siebie, bo miało to zabrzmieć groźnie, a zabrzmiało niespodziewanie prosząco. Ostatnia szansa dla głosu po drugiej stronie linii, by roześmiał się i potwierdził, że tak, tylko żart. Zamiast śmiechu słyszy jednak tylko ciche kliknięcie i połączenie zostaje zerwane.

Dochodzi siódma rano, na wschodzie niebo nadal jest czyste, ale z północy nadciągają już ciężkie od śniegu chmury. Starsza aspirant zobaczy je, kiedy wyjdzie przed komisariat, a potem powie do Łukasza z porannej zmiany, spóźnionego i wciąż jeszcze rozespanego, że trzeba się spieszyć, bo lada moment zacznie sypać. On skinie głową, myśląc przy tym, że pośpiech nie ma sensu, to pewnie i tak kiepski żart, jednak po chwili niepokój Elżbiety udzieli się także jemu i Łukasz na oblodzonej drodze mocniej wciśnie pedał gazu.

W białej kuchni znajdują dwa białe ciała, jedno żywe, drugie martwe, jedno męskie, drugie żeńskie. I krew, tak dużo ciepłej jeszcze, czerwonej krwi. Starsza aspirant podejdzie do mnie z surowym wyrazem twarzy

upodobniającym ją do nauczycielki, ale ta surowość nie przesłoni niepokoju wyczierającego jej z oczu.

— Co tu się stało? — zapyta.

Właściwe słowa będę miał na końcu języka, już gotowe, by je wypowiedzieć, tak oczywiste i wyjaśniające wszystko. Zanim jednak otworzę usta, znikną, a ja zostanę z pustką w głowie i uczuciem straty, które po chwili rozwieje się jak sen.

— Zawsze byliśmy razem — oznajmię, bo z jakiegoś powodu wyda mi się, że to właściwa odpowiedź.

Tak właśnie to sobie wyobrażam.

* * *

— Nie rozumiem. Co znaczy: zawsze byliśmy razem? Pan i kto?

— Agnieszka, moja siostra.

— Ach. — Kobieta, która przedstawiła się jako starsza aspirant Elżbieta Budzioł, starannie gasiła papierosa w popielniczce, podczas gdy ja próbowałem domyślić się, co oznacza owo „ach”. Ach, jakie to wzruszające, ach, oczywiście, ach, co za bzdury?

Skuliłem się. Pokój, w którym siedzieliśmy, był ciasny, z piętrzącymi się pod ścianami szafkami pełnymi zakurzonych akt i przedpotopowym komputerem na biurku. Jedyne kolorowe akcenty stanowił zawieszony na ścianie obrazek przedstawiający uśmiechniętą różową żyrafę w pomarańczowej czapce. W powietrzu, zmieszana z papierosowym dymem, unosiła się wilgoć o zapachu mokrej wełny — pamiętałem tę woń z dzieciństwa, z czasów wyjazdów na narty, tyle że tutaj jej źródłem były nie przemoczone skarpetki, lecz suszący się na kaloryferze stary roboczy sweter.

— Źle się czuję — powiedziałem. — Chyba muszę jechać do szpitala.

— Przykro mi. — Starsza aspirant skinęła w stronę okna, za którym wiatr miotał się, ciskając w szybę płatki śniegu przypominające roje arktycznych owadów o kruchych, geometrycznych ciałach. — To najgorsza śnieżycyca, jaką pamiętam. Nie ruszymy się stąd przez parę godzin.

Przepraszający uśmiech zawisł w dymnej szarości pokoju niczym uśmiech kota z Cheshire.

— Może się pan położyć, w drugim pokoju mamy tapczan. Jak tylko przestanie sypać, poje-dziemy do lekarza. — Zawahała się. — Kiedy pana

znaleźliśmy, nieźle nas pan wystraszył. Był pan blady jak śmierć, nic zresztą dziwnego, biorąc pod uwagę... okoliczności.

Okoliczności. Idealny, krągły i gładki eufemizm na określenie faktu, że znaleziono mnie tuż obok ciała mojej martwej siostry.

— Powinniście wezwać karetkę — powiedziałem, a starsza aspirant pokręciła głową.

— Nie dojechałaby tam, pod górę. No i lada moment miało zacząć sypać.

Gładkie, prawdopodobne wyjaśnienie. A jednak wiedziała, że popełnili błąd, i była teraz czujna, najwyraźniej zastanawiając się, czy ja też o tym wiem. Być może dlatego właśnie traktowali mnie zaskakująco dobrze — biorąc pod uwagę okoliczności.

— To nie jest oficjalne przesłuchanie? — upewniłem się.

— Oczywiście, że nie. Po prostu rozmawiamy, żeby zabić jakoś czas.

— Muszę iść do łazienki.

— Słabo panu? Jeśli czegoś pan potrzebuje...

— Muszę tylko do łazienki.

Starsza aspirant westchnęła.

— Proszę za mną.

Zaprowadziła mnie do pomieszczenia wielkości schowka na szczotki, gdzie zagrzybioną przestrzenią dzieliły się solidarnie muszla klozetowa oraz wiadro z frędzlowatym mopem. Oparłem dłonie o umywalnię i spojrzałem w upstrzone ciemnymi plamami lustro. Kręciło mi się w głowie, w gardle drapała kredowa i wilgotna woń osypującego się ze ścian tynku. Moja twarz była tak bardzo podobna do jej twarzy, piegowata, z wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi i wąskimi ustami. Kiedy przyjechaliśmy, pozwolili mi się przebrać, bo moja bluza była sztywna od krwi. Wyjąłem wtedy z naszego wspólnego plecaka zapasowy sweter Agnieszki — sam niczego na zmianę nie zabrałem — i teraz nosiłem różowy kardigan, wciąż pachnący cytrusami. Pachnący moją siostrą.

Bliźnięta, od zawsze razem. Aż do teraz, bo dzisiaj wyciąłem z siebie tę więź.

W kieszeni spodni schowałem żyłkę, maleńką i tak cienką, że nie zauważyli jej, kiedy mnie obmacywali, żeby sprawdzić, czy nie mam przy sobie niczego niebezpiecznego. Wyjąłem ją niezgrabnie, wrzuciłem do klozetu i nacisnąłem spłuczkę. Szum na moment zagłuszył wycie wiatru.

Patrzyłem, jak kawałek metalu wiruje, połyskując srebrzyście, lecz kiedy woda opadła, żyłotka wciąż tam była, wciąż leżała na dnie muszli niczym miniaturowy stateczek, który zatonął podczas sztormu.

Spłuczka napełniała się ponownie. Trwało to nieznośnie długo, a ja nie mogłem robić nic innego, jak tylko tkwić nieruchomo w ciasnej przestrzeni między brudną umywalką i jeszcze brudniejszym wiadrem. I czekać. I słuchać. Zimny wiatr wślizgiwał się przez szparę w maleńkim okienku i łaskotał mnie w kark, a ja nadstawiałem uszu, wychwytyując fragmenty prowadzonego na korytarzu dialogu. Elżbieta Budzioł i drugi policjant o imieniu Łukasz mówili szeptem, ale na szczęście zawsze miałem dobry słuch.

— ... tamten telefon wieczorem. I teraz drugi. On nie żyje, tak właśnie powiedział. Albo powiedziała. Myślisz, że ktoś mógł się pomylić? Dla mnie to wygląda dziwnie... Poza tym tam nie ma telefonu, najbliższy jest w domu parę kilometrów dalej.

— A komórka chłopaka?

— Sprawdziłem połączenia, nikt z niej nie dzwonił.

— W takim razie kto nas zawiadomił?

— Diabli wiedzą. Tak czy inaczej, ktoś tam jeszcze był. Wyszedł z lasu i podszedł do okna w kuchni. Zdążyłem zrobić parę zdjęć, zanim zaczęło sypać. Zobacz...

Ściszył głos tak bardzo, że reszta mi umknęła. Potem wyłapałem coś o tym, że Łukasz nie zauważył próbných nacięć na nadgarstkach, nie mówiąc już o tym, że rana na prawej ręce jest równie głęboka jak ta na lewej, a to przecież niemożliwe w przypadku samobójstwa. Albo przynajmniej mało prawdopodobne. Znowu kilka szeptanych zdań, których nie zrozumiałem, i wreszcie słowo „desperacja”, twarde i jasne jak dźwięk sosnowych kul uderzających o podłogę. Z lustra patrzyła na mnie twarz Agnieszki, blada i przerażona.

Moja twarz.

Kiedy spłuczka przestała szumieć, nacisnąłem jeszcze raz, ale żyłotka znowu przetrwała, z obrzydzeniem wyłowiłem ją więc, wciąż niezgrabnie, palce wciąż nie chciały mnie słuchać, i schowałem za pordzewiałą rurę pod umywalką. Będzie musiało wystarczyć.

Starsza aspirant zapukała w drzwi.

— Dobrze się pan czuje?

— Tak! — odkrzyknąłem. — Już wychodzę.

Patrzyła na mnie inaczej niż wcześniej, bardziej podejrzliwie, z większą uwagą. Tajemnica, lepka i brązowa, łączyła ją z Łukaszem niewidzialnymi nićmi. To słowo jest gęste i samą swoją obecnością sprawia, że powietrze nagle nabiera ciężaru i trudniej się oddycha.

Wróciliśmy do pokoju, mijając po drodze wiszący na drzwiach kalendarz rolniczy. Po raz pierwszy zwróciłem na niego uwagę, spojrzałem na spokojny pysk łaciatej krowy, a potem na datę, wypisaną wyraźnymi czerwonymi literami: Styczeń 2004. Nagle zaschło mi w ustach, a świat wokół zawirował.

Byłem pewien, że to nieaktualna data, ale nie potrafiłem podać właściwej.

Poza tym tęskniłem za Agnieszką tak bardzo, że każda sekunda rozdierała mi serce na strzępy.

* * *

— Zacznijmy od początku. — Starsza aspirant zapaliła kolejnego papierosa. — Pan i pana siostra włamywaliście się do zamkniętych na zimę domów, żeby spędzić tam trochę czasu, tak? Nie kradliście, czasem tylko trochę alkoholu z barku albo jedzenia z lodówki, jeśli jakieś było. Taka tam niewinna studencka rozrywka, zgadza się?

Nie zwróciłem uwagi na ironię w jej głosie, skinąłem jedynie głową. Przecież naprawdę nie robiliśmy niczego złego. Ludziom nie ubyło pieniędzy od tego, że posiedzieliśmy na ich kanapach albo pooglądaliśmy telewizję. Stratę butelki wina czy pudełka lodów wyciągniętych z zamrażalnika też mogli przeżyć. Robiliśmy to dla zabawy, nie żeby kogoś skrzywdzić. Nie czułem się winny. Nie za to — za wiele innych rzeczy tak, ale nie za to. Mieliśmy nawet na tyle wyczucia, by nie zaglądać do szaf i szuflad, najczęściej nastawialiśmy tylko muzykę, a potem siedzieliśmy przy niej albo tańczyliśmy w salonie. Ciepłe ciało Agnieszki pod moimi dłońmi, jej oddech łaskoczący w szyję, kiedy śmiała się, depcząc mi po stopach. Jedwabisty szept wślizgujący się w ucho: „Wiesz, jaki to starość? Ta piosenka ma co najmniej pięćdziesiąt lat”.

— Zgadza się?

— Tak.

— Co się stało tym razem?

Milczałem. Spod rękawa wysunęła się czerwona strużka i łaskocząc, spłynęła na moją dłoń. Wytarłem krew w spodnie, zanim starsza aspirant zdążyła zauważyć.

— Była tam jeszcze jedna osoba, prawda? Widzieliśmy ślady prowadzące z lasu. I ktoś zadzwonił do nas. To nie był pan.

Nie była to też Agnieszka, dopowiedziałem w myślach. Tamten głos nie należał ani do dziewczyny, ani do chłopaka, był inny, tak jak inne były prowadzące z lasu ślady.

Obce. Krótkie, obłe słowo, które źle leży w ustach i które raczej wypływa się, niż wypowiada. Ma smak tranu i tłustej czerni, jak pająk przyczajony za zardzewiałą rurą pod umywalką, tam, gdzie tkwi już żyletka.

Obce.

Starsza aspirant nie wypłuła tego słowa. Widziałem, jak zapuszcza w nią korzenie i porusza się pod skórą. Czuła się z nim niewygodnie, wyraźnie nieprzyzwyczajona do poufałości z czymś w tak oczywisty sposób łamiącym jej codzienność. Była tylko wiejską policjantką, w dzień dbała o to, żeby miejscowe pijaczki nie awanturowały się za bardzo pod sklepem, a wieczorami oglądała z dzieckiem telewizję. Wiedziałem, że jest matką, bo różowa żyrafa w pomarańczowej czapce niewątpliwie narysowana została dziecięcą ręką.

— Jeśli był tam ktoś jeszcze, to może panu pomóc. W pana sytuacji...
— Wzruszyła ramionami. Nie musiała kończyć, sam doskonale wiedziałem, że moja sytuacja nie wygląda dobrze. Nawet jeśli nie znajdą żyletki, nawet jeśli jasne, twarde słowo „desperacja” uznają za wy tłumaczenie zagadki, dlaczego rany na obu rękach mojej siostry nie wyglądają na samobójcze.

— Wieczorem przyszła jakaś para i pytali o dziewczynę, która podobno zaginęła. Nie wiem, o co im chodziło, chyba pomylili domy.

— Nie znał ich pan?

— Nie.

— Dziwne. Ten dom to nie jest miejsce, do którego można trafić przypadkiem.

Zgodziłem się z nią, że owszem, dziwne. I może też trochę obce.

Starsza aspirant poruszyła się niespokojnie, a to, że czuła się teraz niekomfortowo, nieoczekiwanie dodało mi odwagi, bo przecież obcość wciąż bardziej była moja niż jej. Nie potrafiłem znaleźć na nią właściwych

słów — być może te słowa w ogóle nie istniały po tej stronie — ale mogłem spróbować ją opowiedzieć, tak jak europejscy badacze długimi i zawiłymi zdaniami objaśniają pojęcia z języków odciętych od cywilizacji ludów.

— To nie jest formalne przesłuchanie?

— Mówiłam już, że nie.

— W takim razie może chciałaby pani posłuchać pewnej historii? Nazywam ją opowieścią o zniknięciu.

— Czy ta opowieść ma coś wspólnego z panem i Agnieszką?

— Tak.

— W porządku, mogę posłuchać. — Ponownie spojrzała w okno. Warstwa śniegu na framudze sięgała już kilku centymetrów, ale wiatr nie stracił ani odrobiny wściekłości, jakby postanowił, że dziś właśnie pogrzebie nas żywcem. — Mamy mnóstwo czasu.

II.

Opowieść o zniknięciu

Marta zniknęła pięć dni przed Wigilią, w samym centrum Katowic, podczas świątecznego jarmarku. Na wysokości nosa zapach wędzonych ryb toczył bój z korzenną wonią grzanego wina, wyżej bożonarodzeniowe dekoracje w kształcie sopli kapały srebrnym światłem, a po fasadzie Separatora spacerowały powiększone do gigantycznych rozmiarów duchy śnieżnych płatków. Dziesięć minut wcześniej Piotrek zgodził się entuzjastycznie z Martą, że wszystko to jest strasznie kiczowate, zwłaszcza zaprzężona w renifery karoca i aniołmuzykant, który z ich perspektywy wyglądał trochę tak, jakby trąba wyrastała mu prosto z ramion. Pięć minut wcześniej równie entuzjastycznie przytaknął, kiedy dziewczyna powiedziała, że jednak jest w tym świątecznym kiczu nieodparty urok. Pomyślał wtedy, że ten właśnie wieczór zapamięta do końca życia — nawet dla niego brzmiało to naiwnie, ale nie zamierzał się przejmować.

Później puścił rękę Marty i zgubił dziewczynę na ślizgawce, niewielkiej, ale mocno tego wieczoru zatłoczonej. Potknął się — oboje od dawna nie jeździli na łyżwach i teraz chwiali się niczym pijani, podtrzymując się i chichocząc — i nim udało mu się odzyskać równowagę, Marty nie było. Przez kilka minut Piotrek krążył, zdezorientowany, na próżno wypatrując znajomego czerwonego płaszczyka wśród grudniowej obfitości kurtek, polarów i innych okryć, potem oddał łyżwy i ruszył szukać narzeczonej między straganami.

Nie martwił się, wtedy jeszcze nie. Był młody, wierzył w miłość do grobowej deski i wciąż sądził, że złe rzeczy zdarzają się tylko w ciemności, w niebezpiecznych dzielnicach, dzieciom albo naiwnym nastolatkom. Nie tutaj, w tłumie i powodzi świątecznych świateł, nie dwudziestotrzylet-niej, rozsądnej i energicznej studentce, która zaczepiającym ją typom dziarsko

pokazywała „fucka”, która nie otwierała drzwi, jeśli nie wiedziała, kto za nimi stoi, i nigdy nie odpowiadała na wiadomości od nieznajomych.

Nie wtedy, gdy z głośników płynęły dźwięki *Cichej nocy*, a za pięć dni, w wigilijny wieczór, Piotrek i Marta mieli oficjalnie ogłosić zaręczyny.

Chodził więc i szukał cierpliwie, tworząc w głowie najbardziej prawdopodobne scenariusze: zgłodniała i poszła kupić coś do jedzenia, zobaczyła w tłumie znajomą twarz i chciała się przywitać, obraziła się z jakiegoś powodu i postanowiła zrobić narzeczonemu brzydki dowcip. A telefonów nie odbiera, bo nie słyszy, zawsze przecież chowa komórkę głęboko na dno plecaka.

Tylko że Marta nigdy nie odeszłaby tak bez słowa, nie należała też do osób, które łatwo się obrażają, ani takich, które lubią dowcipy. Wiedział o tym, ale w tamtej chwili wiedzieć nie chciał, bo nieświadomość chroniła go przed grozą znacznie gorszych ewentualności.

Przez pierwsze minuty to było niemal zabawne: Piotrek krążący w kółko jak kompletny idiota, tak bardzo chcący idiotą naprawdę się okazać. Na każdą prawdziwą tragedię przypadają przecież setki sytuacji, kiedy zagubione dziecko odnajduje się całe i zdrowe, spóźniony nastolatek wraca szczęśliwie do domu z mniej lub bardziej przekonującą historyjką, a ukochana niespodziewanie trąca w ramię swojego chłopaka i z uśmiechem mówi: „Hej, gdzie się podziewałeś, szukam cię od pół godziny”.

Rzeczywistość, w której to właśnie się dzieje, była na wyciągnięcie ręki. Nerwy napięte, Piotrek gotów w każdej chwili drgnąć, gdy poczuje na ramieniu dziewczęcą dłoń, gotów roześmiać się z ulgą i uwierzyć w każde słowo wyjaśnienia, jak zawsze wierzył. Tak blisko. Potem stało się coś złego, ta miękka, ciepła i poparta statystyką rzeczywistość zaczęła się oddalać, a on poczuł się jak rozbitek, którego prąd odpycha od bezpiecznej wyspy wprost w zęby morskich potworów. Z każdym zapętleniem kolęda brzmiała bardziej płasko, bożonarodzeniowe dekoracje naprawdę stały się kiczowate, zapach wędzonych ryb powodował mdłości. Piotrek był obcy wśród wszystkich tych szczęśliwych ludzi, rozgrzanych winem i myślami o świętach, niepasujący tu ze swoimi mrocznymi przeczuciami i niepokojem narastającym z każdą kolejną nutą *Cichej nocy*. A oni, w bożonarodzeniowym nastroju, próbowali mu pomóc, szybko, łatwo i bezmyślnie, byle wrócić do dobrej zabawy. „Nie, nie widziałem twojej

dziewczyny, ale pewnie tu jest, wyluzuj, koleś, napij się, a zanim skończysz, ona wróci, może z kimś poszła i co z tego, dla ciebie też zostanie, nie bądź Świnia i podziel się w święta. Nie pękaj, stary, będzie dobrze".

Nie było dobrze.

Gdy rynek zaczął się wyludniać, Piotrek złapał ostatni autobus na Osiedle Paderewskiego. Zadzwoił wtedy do Marty, po raz chyba trzydziesty tego wieczoru, ale po kilku mdląco długich sygnałach znowu włączyła się poczta głosowa: *Cześć, tu Marta. Jak masz mi coś do powiedzenia, to mów, byle konkretnie.* Piotrek przyłapał się na tym, że dzwoni już właściwie tylko po to, żeby posłuchać jej głosu, bez nadziei, że dziewczyna wreszcie odbierze. Wciąż jednak liczył, że zastanie ją w domu, tak zwyczajnie i po prostu oglądając serial czy biorąc prysznic. „Sorry, nie odbierałam, bo coś tam, wróciłam bez ciebie, bo coś innego". Cokolwiek.

Ostatnia szansa skazańca.

Wchodził po schodach na drugie piętro nieskończenie długo, powłócząc nogami jak stary człowiek. Póki szedł, Marta czekała na niego, cała i zdrowa, a kiedy włożył wreszcie klucz do zamka i przekroczył próg, już jej nie było. Mieszkanie nigdy wcześniej nie wydawało mu się tak ciche, tak bardzo puste i zimne. Żarówka w przedpokoju zamrugła i zgasła, mieli ją wymienić, ale oczywiście tego nie zrobili — oboje należeli do ludzi lekceważących codzienne drobiazgi aż do ostatniej chwili. Na kanapie leżały rozrzucone rzeczy Marty, bluzka, która z jakiegoś powodu nie znalazła uznania w jej oczach, wzgardzony różowy sweterek. Pachniały perfumami o zapachu cytrusów. Piotrek przez chwilę tulił je do twarzy, szukając resztek ciepła. Nie miał pojęcia, co dalej, w ich związku to Marta zawsze była tą silniejszą, ona podejmowała ważne decyzje, zawsze szybciej i bardziej praktycznie myślała.

Wreszcie znalazł numer Kaśki, siostry Marty, i zadzwonił. Bał się, że dziewczyna nie odbierze, i bał się, że odbierze, a potem powie, że Marta zdecydowała się odejść, ma kogoś innego, to koniec, więcej nie dzwoń.

Odebrała.

— Piotrek? Co się stało?

— Czemu miałyby się coś stać?

— Bo zawsze Marta dzwoni, a nie ty. I masz dziwny głos.

— Marta zniknęła.

— Jak to zniknęła?

Musiał jej wszystko opowiedzieć. Przypominało to rwanie zęba, bolesny, powolny proces, kiedy zaginięcie Marty stopniowo nabierało ciężaru, stawało się bardziej realne. I te wszystkie wątpliwości, które Piotrek dawno miał za sobą: może nie warto jeszcze panikować, może poszła do kogoś na chwilę, może to albo tamto. Zbijał cierpliwie argumenty, aż wreszcie Kaśka przyznała, że owszem, sytuacja nie wygląda dobrze, po czym oznajmiła, że zaraz wsiada w samochód i jedzie.

Zjawiała się kwadrans później, zarumieniona od zimna, ze zmarszczką przecinającą gładkie czoło. Na sam jej widok poczuł ulgę — oto wreszcie ktoś kompetentny, kto będzie wiedział, co robić. Kaśka była starsza od Marty o dwa lata, pół roku po skończeniu studiów miała już dobrą pracę i jeszcze lepsze perspektywy na przyszłość. Była żywym wcieleniem sukcesu, metr sześćdziesiąt dwa wzrostu, czterdzieści kilo zadbanego ciała, fryzura Betty Boop i energii tyle, że wystarczyłoby do oświetlenia połowy mieszkania.

— Dzwonimy po szpitalach — zakomenderowała. — Może miała wypadek albo coś.

Dzwonili więc, Kaśka spokojnie i jasno wyłuszczająca, o co jej chodzi, i Piotrek, który jąkał się albo gubił. Teraz już chciał, żeby Marta miała wypadek, nic poważnego oczywiście, trochę bólu i po wszystkim. Chciał zastać ją w białym pokoju na tle białej pościeli, przynieść jej kwiaty, laptop i kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia od wszystkich z wydziału. Pomysł, że tym razem to on opiekowałby się nią, nawet mu się podobał.

Jednak w żadnym szpitalu Marty nie znaleźli; nie było jej także u wspólnych znajomych z uczelni ani u przyjaciółek z czasów liceum — do tych ostatnich, jak się okazało, numery wciąż miała Kaśka, bo Piotrek swoje dawno skasował.

— To bez sensu — powiedział, kiedy wyrwana ze snu koleżanka, która teraz pracowała jako kasjerka w Biedronce, oznajmiła, że nie, Marty u niej nie ma i do cholery niech się odzepią, bo ona jutro idzie do pracy. — Musimy zawiadomić policję.

— Nie przyjmą zgłoszenia. W przypadku osoby dorosłej musi minąć czterdzieści osiem godzin.

— To co teraz?

— Jedźmy na rynek, może wróciła tam i teraz cię szuka.

Dochodziło wpół do pierwszej, ale w centrum wciąż kręcili się ludzie, niektórzy mocno już pijani, w drodze na nocny albo z nocnego, do knajpy albo z knajpy. Piotrek chodził między zamkniętymi budami, poimprezowe śmieci szeleściły pod stopami, światło srebrzystych sopli kapało na głowę. Kilka razy zawołał: „Marta!”, ale odpowiedziały mu jedynie zdumione spojrzenia przechodniów. Było coraz zimniej, straszniej i coraz bardziej obco. Kiedy zadzwonił telefon, wyjął go drżącą ręką i nie patrząc na wyświetlacz, przytknął do ucha.

— Marta? — zapytał bez tchu, z nagłym skurczem nadziei, która na moment zatrzymała mu serce. Ale to nie była Marta, tylko jedna z wcześniej obdzwonionych koleżanek, z pytaniem, czy dziewczyna się znalazła.

— Nie. — Rozłączył się, nim zdążyła zapytać o coś jeszcze. Nie chciał blokować telefonu, Marta mogła przecież w każdej chwili zadzwonić.

— Wracamy do ciebie — zadysponowała Kaśka, a Piotrek poszedł za nią posłusznie jak zbity pies.

* * *

Nie spali tej nocy, tylko siedzieli na kanapie z kubkami ananasowo-imbrowej herbaty w rękach — zaparzyła ją Kaśka, bo Piotrkowi wszystko leciało z rąk. Obok leżały wzgardzone ubrania, sweterek i bluzka, których nie miał serca schować do szafy. Zapach cytrusów był teraz słabszy, ale wciąż wyczuwalny.

— Spróbujmy pomyśleć logicznie — powiedziała Kaśka, stawiając kubek na stoliczku. — Czy miała znajomych, o których nic nie wiedziałeś?

— Nie.

— Jesteś pewien?

— Jasne. Przecież wiesz...

Kaśka wiedziała. Marta i Piotrek byli parą od zawsze, a przynajmniej od czasów liceum i już wtedy obracali się w tym samym środowisku. On z natury raczej samotnik, ona bardziej towarzyska, choć też bez przesady — wolała niewielkie grono sprawdzonych przyjaciół niż tłumy przypadkowych osób. Prawdę powiedziawszy, wszyscy ich znajomi byli przyjaciółmi bardziej Marty niż Piotrka, ale jemu nigdy to nie przeszkadzało. Potem poszli na studia, też razem, też dlatego, że dziewczyna nie dostała się na ASP i wybrała kulturoznawstwo, a on

lepszego pomysłu nie miał. To również mu nie przeszkadzało — gdyby Marta poprosiła, podążyłby za nią do samego piekła.

Posypały się dalsze pytania: czy Marta zachowywała się ostatnio inaczej, czy się czymś martwiła, wspominała, że chciałyby kogoś odwiedzić albo zrobić coś pilnego.

Odpowiedź na wszystkie pytania brzmiała: nie.

Marta cieszyła się na świąteczną przerwę, rano pakowała prezenty, które — starannie owinięte w złoty i czerwony papier — leżały teraz w szafie, potem ubrała choinkę. Piotrek podśmiewał się trochę, że to bez sensu, Boże Narodzenie mieli przecież spędzić u jej rodziców, ale oczywiście pomógł, zgadzając się, że tradycja to tradycja, co z tego, że starannie przystrojone drzewko będzie stać w pustym mieszkaniu. Po powrocie ze ślizgawki zamierzali jeszcze obejrzeć odcinek „Wikingów” — Marta bardzo ten serial lubiła — a później pewnie kochaliby się na tapczanie. Tego ostatniego już nie powiedział, ale Kaśka chyba i tak się domyśliła.

— A mejle Marty? — mruknęła, maskując odrobinę zakłopotania. — Sprawdzałeś?

— Nie.

— To popatrzmy.

Przyniosła laptop i weszła na profil Marty. Dziewczyna nigdy się nie wylogowywała, dlatego poczta otworzyła się automatycznie, wystarczyło kliknąć ikonkę. Piotrek poczuł przyjemne ciepło w sercu — oto ostateczny dowód, że narzeczona nie miała przed nim tajemnic.

W mejlach nie znaleźli niczego ciekawego. Były dwie wiadomości dotyczące imprezy sylwestrowej, którą zamierzali połączyć z krótkim wypadem na narty („co zabieracie? można tam mieć swój alkohol? jak tak, to mam cos specjalnego, spodoba ci sie”) i mnóstwo spamu. Zajrzeli na Facebo-oka Marty — rano dziewczyna wrzuciła zdjęcie przystrojonej choinki, które miało sześć polubień i dwa banalne komentarze („śliczna! moja będzie w tym roku cała niebieska! żywa? nie boisz się, że igły jej szybko opadną?”). Nowszych wpisów nie było, w powiadomieniach znaleźli informację o urodzinach koleżanki oraz o tym, że Ewa Sobczak dodała post na stronie wydarzenia „Sylwester w Wiśle!!!”. To samo na Instagramie i DeviantArcie — trochę zdjęć i rysunków (Marta ostatnio

rysowała mniej, jakby pogodziła się, że artystką już raczej nie zostanie), kilkanaście komentarzy, większość pochlebnych, od kolegów i znajomych.

Piotrek nie mógł się zdecydować, czy czuje ulgę, że Marta nie prowadziła sekretnego drugiego życia, czy jest zaniepokojony, bo nie znaleźli żadnego tropu, który mógłby wyjaśnić jej zniknięcie.

— Sprawdźmy jeszcze historię przeglądarki — zaproponowała Kaśka, a on zgodził się w milczeniu.

Trafili na stronę z przepisami na świąteczne pierniczki, kilka blogów modowych, jeden poświęcony fotografii i dwa serialowe, *LubimyCzytać* (Marta miała tam konto, ale choć czytała sporo, rzadko oceniała książki), forum, na którym wypowiadała się głównie na temat urody różnych aktorów (podał jej się *Cumberbatch*, nie *McAvoy*), YouTube i *TwojąPogodę*. Piotrek już miał się poddać, kiedy zauważył stronę www.bialydom.pl. Kliknął.

— To chyba znowu jakiś blog — powiedziała Kaśka, a Piotrek zmarszczył brwi. Na stronie był rysunek: zima, biały dom na zaśnieżonym pustkowiu, w oddali ciemnozielona ściana drzew. Słońce zachodziło — albo wschodziło, nie potrafił zdecydować — i śnieg miał czerwony odcień, jakby podświetlała go łuna pożaru. Od lasu aż do okien na parterze wiodła linia śladów, chyba ludzkich, choć tego też nie był pewien. Poza nimi na obrazku nic nie świadczyło o obecności jakiegokolwiek żywej istoty. Było to samotne miejsce, jak dom zbudowany na końcu wszechświata.

— Marta to rysowała? — zapytała Kaśka, a Piotrek skinął głową. Poznawał jej styl, ten charakterystyczny dobór kolorów. *Lubiła* kontrasty: czerń i biel, biel i czerwień. Jednocześnie poczuł pierwsze ukłucie niepokoju: Marta zawsze pokazywała mu swoje rysunki, a tego nie znał.

— Wejź dalej — ponagliła go dziewczyna.

Piotrek kliknął. Strona kazała mu podać hasło.

Tym razem ukłucie niepokoju było głębsze, łaskotało mdląco w okolicy żołądka. Dlaczego po wizycie Marta wylogowywała się z tego jednego jedyne miejsce?

Wpisali na chybił trafił kilkanaście różnych haseł, tych bardziej oczywistych, jak data urodzenia Marty, a potem Piotra, nazwy ich ulubionych kapel, imiona świnek morskich, które hodowała w dzieciństwie, czy ulica, przy której mieszkała, i tych mniej, jak pierwsze słowo, którego

Marta nauczyła się po hiszpańsku, czy numer rejestracyjny samochodu Kaśki.

Piotrek odwrócił głowę, unikając wzroku siedzącej obok dziewczyny. Byli przecież z Martą tak blisko. Spali w jednym łóżku, słuchali tej samej muzyki, oglądali te same seriale, dzielili się jedzeniem i marzeniami. Dlaczego narzeczona, która podała mu hasło do swojego konta bankowego, chciała przed nim ukryć zawartość strony z obrazkiem jakiegoś domu? A więc Marta miała jednak jakieś tajemnice. Przed nim, przed Piotrkim.

W łazience wysikał się, a potem, myjąc ręce, spojrzął w lustro. Jego twarz, ta całkiem ładna pociągła twarz z wąskimi ustami, wydawała się inna, nie tylko bledsza, ściągnięta strachem, ale obca w jakiś subtelny, trudny do uchwycenia w pierwszej chwili sposób.

Twarz człowieka, który właśnie dowiedział się, że jego narzeczona nie do końca jest dziewczyną, za jaką ją uważał.

Gdy wrócił do połączonej z salonem kuchni, Kaśka jedną ręką zalewała kolejny kubek herbaty, a w drugiej trzymała tłącego się papierosa.

— Są takie chwile, kiedy po prostu trzeba zapalić — powiedziała, podsuwając Piotrkowi paczkę. — Poczęstuj się.

Nie palił od czasów liceum, a i wtedy robił to bardziej dla szpanu. Przyjął jednak papierosa, a Kaśka podała mu ogień. Kiedy się zaciągnął, dym podrapał go w gardło — wrażenie przyjemne i nieprzyjemne zarazem, jakby nagle zaczął znajdować radość w tym, co ciemne, szorstkie i bolesne.

Zakaszła, Kaśka poklepała go po plecach.

— Wszystko w porządku?

— Myślisz, że Marta może kogoś mieć? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— W sensie innego faceta? Jezu, skąd mam wiedzieć? Jeszcze wczoraj powiedziałabym, że nie, ale teraz... — Urwała, widząc minę Piotrka. — Głupoty gadam, przepraszam. Chyba razem powariowaliśmy. Co my wyprawiamy? Marta poszła gdzieś na parę godzin, wielkie rzeczy. Pewnie spotkała znajomego na tej ślizgawce i gdzieś z nim zabalowała, a teraz nie ma jak wrócić. Zobaczysz, zjawi się rano, jak tylko autobusy zaczną kursować, i będzie cię przeproszać.

— A komórka? Czemu nie odbiera?

— Może zgubiła? To by wszystko wyjaśniało, rozdzieliliście się, telefon gdzieś jej wypadł, a ciebie nie mogła znaleźć, i wtedy spotkała kogoś

znajomego.

Uwierzył w to, na krótką, ciepłą chwilę udało mu się uwierzyć. Zamknął oczy, Kaśka objęła go i przytuliła — z wahaniem, jakby dotykała ocalonego z potopu brudnego kociaka. Siostra Marty nigdy nie przepadała za okazywaniem uczuć. A może było w tym coś więcej, rezerwa, która nagle się między nimi pojawiła, cień podejrzenia. Marta ukrywała coś przed Piotrkim i Piotrek był z Martą, kiedy ta zniknęła.

Jestem przewrażliwiony i tyle, pomyślał.

* * *

Położył się nad ranem, kiedy Kaśka wyszła, nakazując mu „przespać się trochę i przestać się martwić, bo wszystko będzie dobrze”. Zdołał zasnąć, z komórką na wszelki wypadek tuż obok twarzy. Budził się co chwila i spoglądał na wyświetlacz, zdjęty lękiem, że przegapił połączenie albo esemesa, a potem z powrotem zapadał w niespokojny sen. Dochodziło południe, gdy wstał, z ciężką głową i niesmakiem w ustach, jakby był na kacu. Zjadł połowę banana, bo tylko to był w stanie w siebie wepchnąć, umył zęby i wziął prysznic. Wciąż towarzyszyło mu poczucie obcości, obca wydawała się nie tylko widziana w lustrze jego własna twarz, ale i całe mieszkanie, wyszarzałe, z konturami mebli ostro rysującymi się w świetle zimowego dnia i cieniami niepokoju zwiniętymi w kątach. Jak zły brat bliźniak mieszkania, które znał wcześniej, sprzed zniknięcia Marty. Pomyślał, że teraz całe jego życie może już do końca dzielić się na „wcześniej” i „później” i ta świadomość na chwilę odebrała mu oddech.

Koło pierwszej zadzwoniła Kaśka, a Piotrek już po jej niepewnym, pełnym napięcia „cześć” poznał, że dziewczyna nie ma dobrych wiadomości. Nie miała; dzwoniła jedynie po to, żeby zapytać, czy Marta się znalazła.

— Przyjadę za parę godzin, wcześniej muszę jeszcze wpaść do rodziców — oznajmiła, gdy usłyszała, że nie. — Postaram się wszystko im wytłumaczyć tak, żeby nie denerwowali się za bardzo, ok?

— Jasne, dzięki.

Niedzielne popołudnie spędził pochylony nad laptopem, wypróbując kolejne hasła do strony z białym domem. Wpisywał tytuły książek, filmów i seriali, imiona fikcyjnych postaci, daty historyczne i te, które z jakiegoś powodu mogłyby wydawać się Marcie ważne, miasta, w których była

i które chciała kiedyś zwiedzić, nazwy zabytków, kolorów, potraw, kosmetyków i zabawek.

W pewnym momencie uświadomił sobie, że to bez sensu — nawet gdyby zdołał złamać hasło, nie miał gwarancji, że na stronie znajdzie coś, co wyjaśni jej zniknięcie, jednak potrzeba robienia czegokolwiek zwyciężyła nad rozsądkiem.

O szóstej przyszła Kaśka. Miała ze sobą dwa chińskie dania na wynos, bo „założę się, że zapomniałeś o obiedzie”. Piotrek, niespodziewanie zgłodniały, zmiótł z talerza swoją porcję; ryż i kurczak w sosie curry ciążyły mu potem w żołądku, zbite w ciasny kłęb z narastającym przerażeniem. Wieczór był jak *deja vu*— Kaśka znowu parzyła herbatę i paliła, Piotrek znowu odpowiadał na pytania, czy nie przypomina sobie czegoś, co mogłoby im pomóc, jakiegoś wydarzenia wykraczającego poza zwyczajną codzienność, zdania rzuconego przez Martę przelotnie w rozmowie. Kręcili się w kółko, a z każdym okrążeniem odpowiedzi wydawały się coraz bardziej jałowe, nadzieja blakła, słowa dźwięczały pustką, strach gęstniał.

Kaśka otworzyła okno, żeby przewietrzyć salon. W sąsiednim mieszkaniu ktoś grał na skrzypcach *Cichą noc*, nuty płynęły przez ciemność jak samotne płatki śniegu. Piotrek rozplakał się, a Kaśka objęła go — ale nie od razu, najpierw spojrzała spod rzęs oczami Marty, a on udał, że nie dostrzega tego jej spojrzenia.

— Jutro idziemy na policję — zdecydowała, przyjmując za pewnik, że do jutra Marta się nie zjawi.

* * *

Nie zjawiła się i następnego dnia spotkali się pod komendą na Stawowej — Kaśka uznała, że skoro Marta zniknęła na rynku, powinni zgłosić jej zaginięcie możliwie najbliżej. Jasnowłosa kobieta w tanim chińskim swetrze przyjęła ich zgłoszenie; mówił przede wszystkim Piotrek, bo właśnie on był z Martą tamtego wieczoru. Nie kłamał, ale jego słowa z jakiegoś powodu brzmiały jak kłamstwo, jakby ich prawdziwość zużyła się przez ciągłe powtarzanie. Nie, nie pokłóciliśmy się ani nic w tym rodzaju, nie było między nami żadnych spięć, Marta nie obraziła się i nie miała powodu, żeby odejść. Smakował te zdania, starając się odnaleźć w nich dawny smak, ciepło dziewczęcej ręki w jego dłoni, kiedy

podtrzymywali się nawzajem na ślizgawce, wilgotny oddech omiatający jego szyję, gdy szeptała mu do ucha.

Kobieta za biurkiem zażądała aktualnego zdjęcia Marty, a Kaśka szczęśliwie wpadła na to, żeby je przynieść. Była to fotografia z wakacji: Marta siedziała w jakimś ogrodzie, uśmiechnięta i opalona, w białej sukience na ramiączkach. Piotrek nie miał pojęcia, gdzie zdjęcie zostało zrobione, a głupio mu było zapytać Kaśkę. Poza tym Marta nie przepadała za sukienkami, zawsze twierdziła, że spodnie są o wiele wygodniejsze, a równie seksowne.

Niepokój znów sięgnął długimi palcami, by połaskotać żołądek.

Piotrek pomyślał o zdjęciu opalonej Marty, wydrukowanym w dziesiątkach egzemplarzy i rozlepionym na dziesiątkach szyb. Jeździłoby tam i z powrotem tramwajami, podczas gdy zmęczeni, niewyspani ludzie wpatrywaliby się w jej radosną twarz i z nudów, kołysząc się na zakrętach, czytali: „19 grudnia zaginęła Marta Kozłowska, lat 23, ubrana w czerwony płaszcz i niebieskie džinsy”...

— Śliczna dziewczyna. — Policjantka postukała pomalowanym na czerwono paznokciem w nos Marty. — Z takich, którym przydarzają się różne rzeczy. Ładna buzia, dużo kłopotów, tak mówiła moja matka.

— Myśli pani, że ona się znajdzie? — zapytał Piotrek z nadzieją.

Policjantka zapaliła papierosa. Dym uniósł się leniwą smuzką, wsiąkając w szare tapety i dawno nieprane firanki.

— Co ma się nie znaleźć. Pytanie kiedy. I w jakim stanie. Mieliśmy jakiś czas temu taki przypadek. Piękna dziewczyna, jak z obrazka. Poszła z koleżankami na świąteczną zabawę i zniknęła w tłumie. Tydzień później znaleźliśmy ją w opuszczonym domu, w kałuży krwi tak głębokiej, że wyglądało, jakby w niej utonęła. To była jej własna krew, oczywiście. Ładna buzia, dużo kłopotów, jak mówiłam.

Piotrek przełknął nerwowo ślinę, Kaśka zbladła.

— Marta nie miała żadnych kłopotów — zaprotestował chłopak, a policjantka uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Jasne. Pewnie znajdzie się za parę dni w wesołym towarzystwie. Takie już są te ładne dziewczyny. Znikają, nie myśląc o nikim oprócz siebie, i świetnie się bawią. Najczęściej wracają, ale czasem... — wzruszyła ramionami — czasem przydarzają im się złe rzeczy, a one nic na to nie potrafią poradzić.

— Marta nie była taka. Ona... ona chyba się kogoś bała.

— Naprawdę? — Policjantka uniosła brwi. — To już jakiś punkt zaczepienia.

— Naprawdę — zapewnił Piotrek. — Ktoś za nią chodził. Dwóch mężczyzn, jeden niski i gruby, a drugi wysoki i chudy. Marta mówiła o nich Wieprz i Wilk.

— Wieprz i Wilk — powtórzyła policjantka beznamiętnie, klepiąc w klawiaturę komputera.

— Pani pewnie mi nie wierzy... — zaczął Piotrek, ale kobieta przerwała mu, kręcąc głową.

— Co miałabym nie wierzyć. Młodzi jesteście i życia nie znacie, a ja widziałam różne rzeczy. Mogłabym wam opowiedzieć o nastolatce, która pewnego dnia weszła do piwnicy i zniknęła na zawsze. Albo o takiej, która wróciła z lasu jako inny człowiek, zupełnie jakby spotkała tam bestię albo anioła, który przewrócił ją na lewą stronę. Rodzona matka w końcu wyrzuciła ją z domu, bo nie mogła znieść jej obecności. Oczywiście to nie było tutaj, tylko w górach, blisko granicy. Złe rzeczy się zdarzają, zwłaszcza pięknym dziewczynom. Ładna buzia...

— Duże kłopoty — dopowiedziała Kaśka. — Wiemy.

* * *

— Przyznaj się. — Kiedy znaleźli się z powrotem na ulicy, Kaśka spojrzała na niego oskarżyciel-sko. — Wymyśliłeś to o Wieprzu i Wilku.

— Trochę — przyznał Piotrek, z ulgą wciągając w płuca mroźne powietrze. — Pomyślałem sobie, że potraktują nas poważniej, jeśli uznają, że Marta czuła się zagrożona. Ale Wieprz i Wilk naprawdę istnieją. Marta mi o nich opowiadała, jeszcze w liceum. Podobno chodzili za nią, a czasem stali pod domem i patrzyli w okna.

— Czyli ona ich wymyśliła, nie ty.

— Marta nie zmyślała — zaprotestował. — Była rozsądna i nigdy mnie nie okłamywała. Nawet w żartach.

— Jasne.

— Czemu tak na mnie patrzysz?

— Wcale na ciebie nie patrzę. Wsiadaj do samochodu.

Podrzuciła go pod dom, pocieszyła, że teraz już na pewno Martę znajdą, policja ma przecież swoje sposoby, i pożegnała. Wspinając się po schodach, myślał o dziwnej policjantce (ekscentrycznej, była po prostu

ekscentryczna), a także o zdjęciu Marty, tym w białej sukience. Gdzie zostało zrobione? Po namyśle uznał, że prawdopodobnie na działce u jej rodziców; dziewczyna jeździła tam od czasu do czasu bez niego. Co prawda ogród na zdjęciu wyglądał trochę inaczej, ale chłopak dawno tam nie był i sporo się mogło zmienić.

Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

— Marta? — zawołał, zanim przekroczył próg. — Jesteś?

Naprawdę wierzył, że wróciła. To dopiero byłyby historia — oni idą na policję, a Marta w tym czasie pojawia się jak gdyby nigdy nic. Opowiadaliby to jeszcze swoim wnukom.

Mieszkanie odpowiedziało mu ciszą. Obszedł wszystkie pomieszczenia, ale Marty nie było. Usiadł na tapczanie. Gdyby tylko znał hasło...

Otworzył laptop i jeszcze raz wszedł na stronę z obrazkiem. Wpisał „biały dom”, potem „ogród” i — w odruchu desperacji — „biała sukienka”. Żadnego efektu. To nieważne, tłumaczył sobie, na tej stronie nie ma nic ciekawego, nic, co chciałaby przede mną ukryć. Marta wróci i wszystko mi wyjaśni, a kiedy to wyjaśnienie usłyszę, sam będę się śmiał ze swoich podejrzeń.

A potem z głębin podświadomości wychynęło wspomnienie — gdy Marta chodziła do pierwszej klasy liceum, mniej więcej wtedy, kiedy w jej życiu pojawili się Wieprz i Wilk, lubiła zapisywać słowa odwrotnie, od końca do początku. To szyfr, mówiła, język używany w świecie, w którym wszystko jest na opak. I wszystko jest możliwe. Zdarzało jej się nawet pisać w ten sposób wypracowania, a kiedy nauczyciele stawiali jej dwóje, śmiała się, jakby to był jakiś osobliwy żart.

akswółzoK atraM, wklepał Piotr. I *rtoiP kinadgoB*.

Nic.

Spróbował jeszcze kilku kombinacji, a później wpisał: *ylaib moD*.

Strona rozświetliła się, wpuszczając Piotrka do środka. Teraz na tle zimowego obrazka pojawiły się dwa napisy: „Skontaktuj się ze mną” i „Opowiadania”. Piotrek kliknął na pierwszy i wysłał wiadomość:

From: Piotr Bogdanik

<piotr_bogdanik@gmail.com>

To: Biały dom <opowiesci@interia.pl>

Subject: kontakt

Date: Mon, 21 Dec 2015 15:35:49

Gdzie jesteś? Odezwij się, proszę. Martwię się o ciebie.

Piotrek

Zaraz przyszło mu do głowy, że być może skrzynka mailowa wcale do Marty nie należy, wysłał więc drugą wiadomość:

From: Piotr Bogdanik
<piotr_bogdanik@gmail.com>

To: Biały dom <opowiesci@interia.pl>

Subject: kontakt

Date: Mon, 21 Dec 2015 15:42:28

Szukam mojej narzeczonej, Marty Kozłowskiej. Ona narysowała obrazek z białym domem. Proszę, odezwijcie się, jeśli wiecie, gdzie ona jest.

P.

Po namyśle dopisał też:

PS. Boję się, że mogli ją porwać Wieprz i Wilk.

A potem, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy, kliknął na stronę „Opowiadania” i zaczął czytać „Opowieść o zmianie”.

III.

Opowieść o zmianie

Podobno komórki ludzkiego ciała odnawiają się co siedem lat. Marek nie pamiętał już, gdzie o tym przeczytał, ale bardzo mu się ta teoria spodobała. Znaczyło to, że przekroczywszy dwudziesty szósty rok życia, był już zupełnie innym człowiekiem niż maturzysta, przez kolegów nazywany Kajkiem. Przeszłość leżała pogrzebana głęboko pod nowymi komórkami wątroby i serca, opleciona siecią mięśni, zarosła mięsem, tak jak porzucony w lesie wrak zarasta zielenią, aż wreszcie niczym już nie różni się od okolicznych pagórków. Marek nie myślał o niej tamtego sobotniego ranka, kiedy zbudził się, wypacając z siebie resztki złego snu. Usiadł na łóżku. Szczegóły koszmaru umykały, spychane w podświadomość przez słoneczne promienie i dolatujący z kuchni zapach naleśników. Oto cud nowego dnia-światło zwyciężało ciemność, a jawa sen. Marek pamiętał już tylko ciernistą woń pełzającego nad ziemią dymu i jądro obłej bieli, jak skryte w najgęstszych krzewach ptasie jajo. Potem, kiedy wsuwał stopy w zimne kapcie, i to zniknęło, a Marek poczłapał do kuchni, gdzie trzy kobiety jego życia smażyły naleśniki. Cały blat i pół podłogi oprószone były mąką, Asia wsadziła właśnie pulchne łapki w ciasto i rozsmarowała je sobie na koszulce. Zamierzał zapytać, kto to posprząta, ugryzł się jednak w język. Nie warto psuć jedyne wolnego dnia w tygodniu.

— Jak wam idzie? — zapytał zamiast tego.

— Świetnie, możesz wziąć jednego. — Natalia skinęła głową w stronę piętrzącego się na talerzu stosu. — Ale jak chcesz z dżemem, to sam sobie posmaruj.

— Dzięki. — Zwinął w rulonik płaski placek i pogryzając go, ruszył do salonu, by włączyć telewizor.

Wtedy właśnie zadzwonił telefon. Stacjonarny, nie komórka. Marka to zdziwiło: od dwóch lat mieli przecież nokie i tylko ich numery podawali — znajomi dawno nauczyli się, że do Chrobranów dzwoni się na komórki. Stacjonarny służył chyba jedynie natrętnym telemarketerom, ale oni przecież nie pracowali w weekendy? Zresztą wszystko jedno, powinien się pozbyć tego telefonu.

Z jakiegoś powodu to, że tego nie zrobił, nagle wydało się nie drobnym potknięciem, lecz poważnym błędem.

Dzwonek odezwał jeszcze raz, ostro, natarczywie.

— Odbierz! — Natalia z kuchni przekrzykiwała skwierczenie oleju.

Marek podniósł słuchawkę, „Nie jestem zainteresowany” już uformowane czekało w jego ustach. Jednak zamiast radosnego „Dzień dobry, chcielibyśmy panu zaoferować...” usłyszał niejasno znajomy głos, szept jak wiatr o zapachu gnijących liści i dymu z ogniska, pełnącego cierpliwie przez ciernisty ugór.

— Kajko, to ty...?

Milczał, ściskając słuchawkę w nagle spoczonej dłoni. Mieszkał w dawnym mieszkaniu rodziców, którzy wyprowadzili się do mniejszego, gdy Natalia zaszła w pierwszą ciążę; miał ten telefon od czasów liceum, głupiec, niepamiętający o przeszłości, a jednocześnie żyjący w jej wnętrzu jak Jonasz w brzuchu wieloryba.

— Kajko?

Odłożył słuchawkę ostrożnie na widełki.

— Kto dzwonił? — zawołała z kuchni Natalia.

— Pomyłka — odparł.

Wydarzyło się wszystko i niejednocześnie, kamień wrzucony do jeziora wzburzył powierzchnię, a potem utonął, woda zamknęła się nad nim, zmarszczki wygładziły. Marek był tego dnia może nieco bardziej rozkojarzony i milczący, nic poza tym. Zjadł naleśniki, potem obejrzał z dziewczynkami bajkę na wideo. Mnóstwo kiczu i różowości, nie jego świat, tylko ich, Iwonki, lat pięć, i Asi, lat trzy, księżniczkowy świat małych dziewczynek, który w dorosłych mężczyznach budził coś w rodzaj pobłażliwego rozczulenia zmieszanego z odrobiną lęku — bo to był świat, który należało bezustannie trzymać w ryzach za pomocą żartów i kpiny.

O trzeciej telefon zadzwonił ponownie.

* * *

Tym razem odebrała Natalia, jej „Słucham?” przebiło się przez wrzask Asi i dotarło do Marka, który wstawał właśnie z kanapy, by zażegnać awanturę w pokoju dzieciennym. Zamiast jednak pójść do dziewczynek, zatrzymał się w przedpokoju, gdzie jego żona stała ze zmarszczonym czołem i słuchawką przytuloną do ucha. Odprawiła go ruchem ręki. Idź, mówił jej gest, zajmij się dziećmi. Poszedł więc, by usiąść z córkami na dywanie i rozstrzygnąć spór, kto ma większe prawo bawić się lalką o dźwięcznym imieniu Esmeralda. Cały czas jednak nasłuchiwał, myślami bardziej przy telefonie niż przy Iwonce i Asi, nasłuchiwał, ale słowa żony nie miały dla niego sensu, jakby mówiła w obcym języku. Jakby sam wysiłek wkładany w usłyszenie ich uniemożliwiał zrozumienie.

Potem Natalia stanęła w progu dzieciennego pokoju, a on, choć nie odwrócił głowy, wiedział, że zmarszczka wciąż przecina jej czoło.

— Dzwoniła jakaś kobieta i pytała o Kajka.

Dopiero teraz spojrzał żonie w twarz.

— Pomyłka, mówiłem ci.

— Nie znasz żadnego Kajka?

— Nie. — Nie podobało mu się to słowo w jej ustach. Brzmiało w subtelny sposób niewłaściwie, jak dźwięk źle nastrojonego instrumentu.

— Mniejsza z tym. Pamiętasz, że dziś przychodzi Monika?

— T-tak — zająknął się. Monika, najlepsza przyjaciółka Natalii, która niemal w każdy weekend wpadała na ploteczki. Przez ułamek sekundy nie potrafił przypomnieć sobie jej twarzy, ale to już minęło, już było dobrze.

— Obiecałeś zabrać dziewczynki na spacer.

— Pewnie, chętnie się przejdziemy.

— Tylko nie do McDonalda.

— Jasne.

* * *

Oczywiście zabrał dziewczynki do McDonalda, z pełną świadomością, że Iwonka może i będzie trzymać język za zębami, ale Asia na sto procent wygada się jeszcze przed kolacją. Ludzie przecież cały czas oszukują w drobnych sprawach, na tym polega normalne życie. A on bardzo chciał normalnie żyć. Chciał, żeby Natalia miała do niego pretensje, z początku prawdziwe, potem coraz bardziej żartobliwe, aż wreszcie pogodziliby się ze śmiechem. Kłótnia, która przywróciłaby poczucie rzeczywistości.

Patrzył, jak jego córeczki wcinają hamburgery, popijając je truskawkowymi shake'ami, i myślał o tym, jakim jest szczęściarzem. Miał dwójkę udanych, zdrowych dzieci, żonę, którą kochał, i dobrą pracę. Mimo to zdarzało mu się narzekać: że dzieciaki dają popalić, że ślub w wieku dwudziestu jeden lat to może trochę za wcześnie, bo przecież trzeba się wyszaleć... Wszystko kłamstwa, ale Marek i tak narzekał, jak codzienny rytuał, nie wychylać się ze swoim szczęściem, nie kłuć nim w oczy, nie zwracać uwagi, bo gdzieś tam w ciemności czyhały demony dorosłego życia: dorastanie Iwonki i Asi, brak pracy, kredyt. I inne, te, których nie potrafił nawet nazwać, a które umykały tuż po przebudzeniu, zawsze w czerni i bieli, zawsze pachnące zimną, ciężką ziemią i jesiennym dymem.

Poszli na plac zabaw, choć był początek marca i słońce jeszcze nie zaczęło porządnie grzać. Marek siedział na ławce, dopijając colę z McDonalda, Iwonka i Asia bawiły się na zjeżdżalni. Dwie małe sylwetki, otulone puchowymi kurtkami, jasne głosy śmigające w powietrzu jak papierowe jaskółki, zapach resztek śniegu zalegających pod wciąż nagimi drzewami i gałęzie ciężkie od wron, które przyglądały się dziewczynkom okrągłymi oczami. Przechodząca kobieta spojrzała na Marka, a on nie był pewien, czy widzi w jej oczach aprobatę, bo zabrał córki na plac zabaw, czy wręcz przeciwnie: potępienie, bo pozwala im bawić się na zimnie. Nie zamierzał przejmować się ani jednym, ani drugim. Myślał o Natalii, która wykorzystywała wolny od rodziny czas na ploteczki z przyjaciółką, o przyszłości, nowym, 2008 roku, który nadszedł dwa miesiące temu w huku sylwestrowych ogni i strachu przed nadciągającym kryzysem. Nowy rok, nowe możliwości, nowy człowiek. Przez chwilę żałował, że nie ma przy sobie papierosów, a potem zgniótł kubek po coca-coli, wrzucił go do śmietnika i zawołał dziewczynki. Pora wracać.

* * *

— Znowu dzwoniła ta kobieta — oznajmiła Natalia, ledwo Marek zdjął buty. — Chciała, żebym jej powiedziała, czyje to mieszkanie.

— Powiedziałaś?

— Nie. — Zmarszczka przecinająca czoło Natalii rysowała się jeszcze wyraźniej niż po południu, a jego żona wydawała się odległa i zamknięta w sobie. Znał tę jej minę i wiedział, że gdyby teraz wybuchła awantura, nie pogodziliby się potem ze śmiechem.

— Dlaczego?

— Nie wiem, była... dziwna. Jesteś pewien, że ona nie dzwoni tu do ciebie? Pytała o chłopaka, który siedem lat temu chodził do Paderewskiego.

— Nigdy nie miałem ksywy Kajko, a do Paderewskiego chodziło mnóstwo ludzi. Jak chcesz, możemy się tego telefonu pozbyć, i tak tylko zagraca nam mieszkanie.

— Zostaw — powiedziała Natalia, ale było za późno, Marek już wypinał kable. — Zostaw — powtórzyła, z każdym słowem zostając coraz dalej, zachmurzona, zamknięta za gładkim czołem z pionową zmarszczką.

— Przecież tylko cię denerwuje, prawda? No i po co jacyś obcy ludzie mają do nas wydzwaniać? — Brzmiało to tak rozsądnie, że Marek oszukał nawet samego siebie — ale nie Natalię. Patrzyła za nim przez okno, gdy szedł z telefonem w stronę śmietnika. Nie odwrócił się. Nie miał odwagi, bo gdyby to zrobił, wzrok, który palił go w kark, mógłby spopielić mu twarz.

* * *

Leżał tej nocy z otwartymi oczami, wpatrując się w mrok. Natalia spała obok, jej ręka dotykała jego uda, lekko, niepewnie, a on czuł tę charakterystyczną mieszankę podniecenia i lęku, zupełnie jak w początkach ich znajomości, gdy-wciąż jeszcze przyjaciele, a nie para-sypiali na biwaku w jednym namiocie. Nie miał odwagi ani przysunąć się bliżej, ani odsunąć, jakby ten ulotny dotyk łączył go z realnym światem. Wreszcie wstał, oddychając ciemnością, która ciążyła mu w piersi. Poszedł do łazienki, ostrożnie jak złodziej, żeby nikogo nie zbudzić, nie zakłócić kruchej równowagi mieszkania. Zapalone światło zakłuło w oczy, nagły błysk, który wyostrzył kąty i przejaskrawił biel kafelków. Marek zamrugał, stojąc przed lustrem. Spoglądała na niego młoda, bezbronna i przerażona twarz. Kajko. Oddychał, uczepiony krawędzi zlewu, wdech, wydech, wyrzucał z płuc mrok, wypychał go w elektryczną jasność białej łazienki, aż wreszcie została w nim już tylko pustka. Wyszedł wtedy na balkon, wciąż w piżamie, marcowe zimno przeniknęło go aż do kości. O drugiej w nocy temperatura musiała oscylować w granicach zera, ale wyczuwało się już w tym chłodziu zapowiedź nadciągającej wiosny, zapach nabrzmiewających sokiem korzeni i przytulonych do gałęzi, omszałych jeszcze zimową szarością pąków. Zamknął oczy i oddychał powoli, spokojnie, zawieszony na granicy światów, a kiedy uniósł powieki, była tam — szczupła sylwetka w obszernej kurtce, skryta w cieniu wysokiego kasztana. Musiała wyczuć,

że na nią patrzy, bo drgnęła i zrobiła krok do przodu. Jej ręce kreśliły w ciemności zawile wzory, zostań, zaczekaj, ale Marek już wycofywał się w głąb mieszkania. Gdy zamykał za sobą drzwi, noc szepnęła za jego plecami: „Ona wróciła”. Tego już nie słyszał, a może nie zrozumiał, słowa przepłynęły obok obojętne, jak ryby w głębokiej wodzie, a on wrócił do łóżka, by śnić sny w czerni i bieli, ciężkie i cierniste, o zapachu dymu snującego się nisko nad wilgotną, zimną ziemią.

* * *

Ledwo pamiętał te sny, kiedy budzik wyciągnął go z łóżka o ósmej, a zapomniał o nich zupełnie, gdy pospiesznie pił gorącą kawę i zagryzał kanapką. Była niedziela, jego żona odsypiała pracowity tydzień w sądzie apelacyjnym. Nie zajmowała tam żadnego ważnego stanowiska, ot, zwyczajna urzędniczka, która przepisywała na komputerze sędziowskie wyroki. Jednak Natalia lubiła swoją pracę, tak samo zresztą jak Marek, który tuż po maturze zupełnym przypadkiem podłapał fuchę w zakładzie fotograficznym i niespodziewanie okazało się, że ma do robienia zdjęć talent — teraz nie przeszkadzało mu nawet to, że jego praca od czasu do czasu wymagała zrywania się z łóżka w niedzielny poranek.

Gdyby ktoś siedem lat temu powiedział mu, że skończy jako fotograf, nigdy by w to nie uwierzył. W liceum gardził zawodami artystycznymi, marzył, by pójść na prawo, i w daremnej próbie zamaskowania dziewczęcej urody ścinał się krótko, a także nosił schludne chłopięce koszule i sweterki w serek. Teraz zapuścił włosy do ramion, ubierał się z niedbałą swobodą i miał w nosie idiotów, którzy od czasu do czasu gwizdali za nim na ulicy. Był zupełnie innym człowiekiem i nic nie cieszyło go bardziej niż ta zmiana.

Tej niedzieli fotografował ślub. Panna młoda ze zbyt ostrym makijażem, w sukni przypominającej bezę, pan młody maskujący niepewność kiepskimi dowcipami i wzruszeni rodzice-widział już dziesiątki takich imprez. Jedyłą różnicę stanowiła pogoda, wciąż bardziej zimowa niż wiosenna.

I osiedle, na którym stał kościół. Po ceremonii, gdy goście pakowali się do autokarów, Marek urwał się na chwilkę i pobiegł do sklepu po papierosy. Miał wtedy okazję zobaczyć osiedle w całym jego gierkowskim braku chwały, szarym i ponurym pod zaciągniętym chmurami niebem. Bloki przypominały tu nieforemne kłocę, niegdyś chyba beżowe, teraz

nieokreślonego koloru. Pomiędzy nimi rozpościerała się sieć identycznych ścieżek przecinających identyczne trawniki, na których zeszłoroczna trawa wyglądała spod błota i psich kup. Na placu zabaw skrzypiała huśtawka. Zgrzyt-zgrzyt, lepkie, żelaziste dźwięki ciągnęły się w powietrzu jak pasma mgły, w górę i w dół, do zimnego, martwego nieba i w dół, do zimnej, wcale nie martwej ziemi, w której rosło blade, ślepe życie. Huśtająca się dziewczynka stała na oparciu krzeselka, jej kucyki powiewały w podmuchach wiatru.

Marek przez chwilę miał wrażenie, że patrzy na Iwonkę, dziecko musiało być w tym samym wieku, ale to przecież niemożliwe, skąd Iwonka tutaj...? Złudzenie minęło, dziewczynka zeskoczyła z huśtawki i przebiegła obok. Miała umorusaną twarz i bardzo jasne oczy, jak błękitne tunele prowadzące na drugą stronę lustra, do świata, w którym wszystko jest na opak i wszystko jest możliwe.

Otrząsnął się, znalazł osiedlowy sklepik i kupił paczkę Westów. Wracając, krążył po identycznych ścieżkach, między identycznymi trawnikami, aż wreszcie trafił na znajomą huśtawkę. Siedziała na niej szczupła postać okutana kurtką, nie dziecko, lecz kobieta. Marek zatrzymał się i chciał cofnąć, ale było za późno. Nieznajoma zerwała się i podbiegła do niego.

— Kajko? Pamiętasz mnie? Przypomniałam sobie, jak się naprawdę nazywasz, znalazłam, gdzie pracujesz, i zadzwoniłam. Jakaś kobieta powiedziała, że tu cię znajdę...

— Nie mam pojęcia, kim pani jest.

— Nie wygłupiaj się. Aneta, pamiętasz?

— Nie.

— Liceum Paderewskiego? Ostatnia klasa?

— Odwal się, kobieto.

Minął ją, ale nieznajoma znowu zabiegła mu drogę.

— Musimy porozmawiać...

— Nie mamy o czym rozmawiać.

— Kajko, czekaj!

Chwycił ją i odepchnął. Aneta upadła, a jej twarz wykrzywiła się w wyrazie niedowierzania i szoku.

— Mówiłem, żebyś się odwaliła.

Przyspieszył, by zdążyć, zanim nieznajoma pozbiera się z ziemi i pobiegnie za nim — bo był pewien, że pobiegnie. Ona jednak tylko krzyknęła:

— Musimy coś z tym zrobić!

Wsiadł do autokaru razem z ostatnią grupą gości weselnych. Wariatka, myślał, zajmując miejsce, kompletnie pomyłona idiotka. Nawet jeżeli rzeczywiście się kiedyś spotkali, to co z tego? Nie musi przecież pamiętać każdego, kto przewinął się przez jego życie, ani tym bardziej z tym kimś rozmawiać. Jego wybór, jego decyzja.

— Niech się ode mnie odpiardoli — wymamrotał. Natalia nie lubiła, kiedy używał takiego słownictwa, ale kiedy jej nie było, czasem sobie folgował. Marek był innym człowiekiem w domu, a innym poza domem, różnica niewielka, lecz na tyle wyraźna, że sam potrafił ją zauważyć. A teraz, gdy autokar ruszył, być może był jeszcze kimś innym, kimś, kogo znał tak dawno temu, że całkiem o nim zapomniał.

* * *

Nic więcej się nie wydarzyło ani tego dnia, ani następnego, w poniedziałek. Dzień jak większość — kilkanaście zdjęć do dowodów osobistych, cztery paszportowe, berbec w ubranku do chrztu i para tłustych bliźniaków, których trzeba było przekupywać cukierkami, żeby choć przez chwilę siedzieli nieruchomo. Potem powrót do domu. Natalia odebrała dziewczynki z przedszkola i przy- gotowywała obiad, zapach mielonych już na klatce łaskotał w podniebienie. Córeczki były trochę marudne, ale to nic, żona spoglądała podejrzliwie, ale to też nic, miejsce po telefonie wkrótce zostanie zapomniane, pustka będzie zapełniona. Wszystko wróci do normy.

— Znowu zaczęłaś palić? — Natalia z dezaprobatą zacisnęła usta.

Pełen poczucia winy schował napoczętą paczkę do kieszeni kurtki, ale zaraz sięgnął po nią ponownie.

— Jezu, Nata, daj spokój. Stresujący dzień miałem.

— A to niby czemu?

— Interesy źle idą — skłamał, wyjmując papierosa.

Natalia nie odpowiedziała, ale awantura wisiała w powietrzu. Marek uciekł przed nią na balkon, wiedząc już doskonale, że nie uda mu się uciec, że kiedy wróci, będzie musiał ponieść konsekwencje tej chwili spokoju, która spokojna wcale nie była.

Palił, w regularnym wydechach wypuszczając dym z płuc, jak wtedy, gdy pozbywał się nagromadzonej w piersi ciemności. Wdech, wydech, niczym skrzypnięcia huśtawki, w dół i w górę. Zamknął oczy, a kiedy je otworzył, miejsce pod kasztanem wciąż było puste. Zgasił papierosa i wrócił do domu, by stawić czoła Natalii.

* * *

— Marek, co się dzieje?

— Nic się nie dzieje.

— Przecież widzę, że jesteś jakiś nieswój. Od soboty łazisz w kółko jak struty. Czemu nie powiesz mi prawdy? To przez tę kobietę, która tutaj dzwoniła?

— Nie znam jej, już ci mówiłem.

— Skąd wiesz, że nie znasz, skoro nawet z nią nie rozmawiałeś? — W oczach Natalii pojawił się błysk triumfu.

— Nie znam, bo pytała o jakiegoś Kajka, a nie o mnie — tłumaczył cierpliwie. Byli małżeństwem od pięciu lat, a znali się od sześciu i ich kłótnie miały już swój własny rytm. Jak w tańcu, krok w prawo, krok w lewo. Marek nauczył się przeczuwać poszczególne fazy tych kłótni, momenty, kiedy jedna ze stron zaczynała mięknąć, a druga, świadoma zwycięstwa, przechodziła płynnie od złości prawdziwej do udawanej, aż wreszcie oboje parskali śmiechem, rozbawieni jakąś złośliwością. Zderzało się, że czerpał z tej przewidywalności pewien rodzaj satysfakcji — wszystko jest w porządku, życie toczy się tak, jak powinno. Ale dziś w głosie Natalii brzmiała obca, nieprzyjemna nuta. Asia stanęła w progu, patrząc na rodziców okrągłymi oczami, Iwonka w salonie podkręciła dźwięk telewizora. Marek rozpoznał „Scooby-Doo”, ulubioną kreskówkę starszej córki.

— Czemu wyrzuciłeś telefon?

— Natalia...

— No czemu? Nie umiesz odpowiedzieć na proste pytanie?

— Bo był stary i tylko zagracał mieszkanie! Jak chcesz, to ci go przyniosę z powrotem! Chcesz? — Złapał wiszącą na wieszaku kurtkę.

— Wiesz, że nie o to mi chodzi.

— Nie? To, kurwa, o co właściwie?

— Żebyś powiedział mi, co się z tobą dzieje!

— Nic się nie dzieje! Ile razy mam to powtarzać?

— Nie waż się wychodzić, kiedy z tobą rozmawiam!

Marek otworzył drzwi i wyszedł, ścigany podkręconym na cały regulator dźwiękiem piosenki Scooby-Doo, where are you? i widokiem Asi z kciukiem w buzi. Jego dom, jego idealna rodzina. Nigdy wcześniej od nich nie uciekał. Zwolnił dopiero na skrzyżowaniu Wiosny Ludów i Lwowskiej. Wieczór nadciągał niepostrzeżenie, w miękkiej szarości ciemniejącego nieba i zapachu przypalonego tłuszczu, który dolatywał z pobliskiej kebabowni. Marek poczuł głód, ale nie zatrzymał się, żeby coś kupić. Szedł dalej, do parku przy poczcie. O tej porze było tu prawie pusto, zniknęli wagarowicze i matki spacerujące z wózkami. Tylko na jednej z ławek siedziała para pijaczków, kobieta i mężczyzna, dzielący się butelką taniego wina. Kiedyś musieli być dwiema odrębnymi istotami, ale czas ociosał ich rysy, a warstwa brudu przykryła resztki indywidualności i teraz wyglądali jak lustrzane odbicia starości: męskie i żeńskie. Uśmiechnęli się do Marka identycznymi bezzębnymi uśmiechami, mężczyzna o pół sekundy spóźniony, nieśmiały, kobieta szybsza, bardziej pewna siebie.

Mijając ich, poczuł przelotne ukłucie zazdrości — oni, ukształtowani w formę ostateczną i w pewien sposób idealni, nie bali się już zmian. Włożył ręce do kieszeni i przyspieszył kroku. Spacerował po parku w gęstniejącej coraz bardziej ciemności. Mijał huśtawki, na których nie było dziewczynek z kucykami, spoglądających oczami błękitnymi jak tunele prowadzące na drugą stronę lustra, a kiedy wrócił do ławki, gdzie jeszcze niedawno siedziała para staruszków, ona również okazała się pusta.

Był sam.

Tylko przez chwilę, bo gdy kończył kolejnego w tym dniu papierosa, u wylotu alejki zamajaczyły w mroku dwie postacie. Szły szybko, zdecydowanie, zupełnie inaczej niż ktoś, kto po prostu przechodzi przez park, albo kto-jak Marek — krąży bezmyślnie, czekając, aż złość wywietrzeje mu z głowy. Rzucił niedopałek na ziemię i przydepnął. Instynkt podpowiadał, żeby uciekać, ale jeszcze się ociągał: jeśli ta dwójka nie ma złych zamiarów, zachowałyby się jak panikująca baba. A tamci zblizali się. Jeden był niski i gruby, drugi wysoki i chudy, jednak łączył ich rys zwierzęcości przebijający przez ludzkie fizjonomie, jak spadek po dawno zapomnianych przodkach. Ten grubszy przypominał nieco głodną, chytrą świnię, a wyższy miał w sobie chudość wilka przemykającego o poranku skrajem lasu. Obaj wyglądali groźnie.

— Pójdiesz z nami — oznajmił wyższy, a Marek, chłopak, którego wystarczająco często obijano w szkole, by rozumiał, kiedy opór nie ma sensu, przytaknął grzecznie, że owszem, pójdzie.

* * *

Zabrali go do starego, brudnego forda i posadzili na tylnym siedzeniu. Samochód ruszył.

— Siedź spokojnie — ostrzegł ten wyższy i bardziej wilczy.

— Jeśli chcecie pieniędzy... — Domyślał się, że nie o to im chodzi, ale instynkt kazał udawać idiotę.

— W dupie mamy twoje pieniądze. Siedź spokojnie, to nikomu nic złego się nie stanie.

Ford skręcił w Lwowską, a potem wyjechał na drogę A4. Zaczął padać drobny deszcz, bardziej jesienny niż wiosenny.

— Mogę zapalić? — zapytał Marek po to, by przerwać ciszę, a nie dlatego, że miał ochotę na papierosa.

— Nie.

Nie odważył się pytać, dokąd jadą. Zresztą i tak wiedział.

* * *

Dwadzieścia minut później samochód zatrzymał się przy piętrowym domku na Ptasim Osiedlu. Deszcz już nie padał, ale w powietrzu wciąż unosiła się wilgoć. Noc pachniała ostro mokrą ziemią i słodko pierwszymi kwiatami. Dwóch nieznajomych popchnęło Marka w stronę drzwi. Gdy szedł ścieżką, jego buty zostawiały w płytkim śniegu ślady nakładające się na inne ślady, odciski adidasów na odciskach bosych stóp, tak małych, że do złudzenia przypominały kopytka.

— Dalej. — Przepchnęli go przez próg, zapalili światło, a potem poprowadzili na piętro. Marek nasłuchiwał, ale dom wydawał się pusty. Jakby ślady na ścieżce były tylko złudzeniem.

— Tutaj. — Ten niższy i grubszy gestem kazał mu wejść do pokoju. — Czekaj.

W zamku zgrzytnął klucz i Marek został sam. Podeszedł do okna, ale było zakratowane, zresztą i tak nie odważyłby się skakać z pierwszego piętra. Cokolwiek na niego tutaj czekało, musiał stawić temu czoła. Rozejrzał się. Pomieszczenie miało w sobie anonimowość biura albo hotelowego pokoju: niemal pozbawione ozdób ściany i podstawowe sprzęty-tylko wąska kanapa, krzesło i stolik, na którym stał włączony

komputer. Na ścianie naprzeciw okna wisiał obraz przedstawiający biały dom zimą. Marek podszedł bliżej, by przyjrzeć się śladom biegnącym po śniegu aż do drzwi wejściowych. Były małe, ledwo kropki zaznaczone maźnięciami pędzla, ale mógłby się założyć, że każda z tych kropek to odcisk bosej stopy w kształcie kopytka.

Odwrócił się i usiadł przy komputerze. Gdy poruszył myszką, ekran ożył, ukazując zapisaną stronę. Marek w pierwszym odruchu chciał wstać — to było jak zagłębienie do cudzego pamiętnika — ale właściwie dlaczego nie?

Przewinął tekst aż do tytułu „Opowieść o poszukiwaniach” i zaczął czytać.

IV.

Opowieść o poszukiwaniach

Wigilijny wieczór spędził z rodziną Marty, tak jak zostało postanowione dawno temu, gdy świętowali zaręczyny w kafejce na krakowskim Rynku. Bez Marty-jedyna i zarazem najważniejsza różnica. Puste miejsce przy stole było raną w tkance rzeczywistości, a kolacja przypominała stypę.

Karp w milczeniu grzebany w brzuchach, nieśmiałe życzenia „Żeby się znalazła” i światła kapiące z choinki jak łzy. Nietaktowny wujek wspomniał coś o kluczowych dwudziestu czterech godzinach — podobno jeśli poszukiwana osoba nie odnajdzie się ciągu doby, najczęściej nie odnajduje się już nigdy. Oczywiście zaraz został zakrzyczany, to przecież zupełnie coś innego, w tych statystykach chodziło o dzieci, a może o rozwiązywanie morderstw, nieważne, Marty to nie dotyczy. Piotrek słuchał i kiwał głową. Już żałował, że tu przyszedł. Potrzebował współczucia i pocieszenia — od dawna przywykł uważać rodzinę Marty za swoją — i dostał to wszystko, owszem, lecz doprawione nutą podejrzliwości tak subtelną, że prawdopodobnie nikt oprócz niego jej nie wyczuwał. Nie rób sobie wyrzutów, nie twoja wina, mówili rodzice Marty i być może naprawdę w to wierzyli, ale jednocześnie ich oczy mówiły coś zupełnie innego: że gdyby Piotrek lepiej pilnował swojej narzeczonej, tragedia by się nie wydarzyła. Pilnował, właśnie tak. Nieważne, że to Marta opiekowała się Piotrkim, a jej rodzice zawsze byli dumni z niezależności córki — zniknięcie dziewczyny nagle cofnęło ich wszystkich o pięćdziesiąt lat, do czasów prawdziwych mężczyzn i *damsels in distress* jak z filmów złotej ery Hollywood.

— Mają pretensje — powiedział Piotrek do Kaśki, kiedy udało im się wymknąć do dawnego pokoju Marty. Od czasu jej wyprowadzki niczego tu nie zmieniono. Ściany oklejone były plakatami *Piratów z Karaibów*, na półkach, przytulone do maskotek wieku dziecięcego, stały książki,

z których dziewczyna wyrosła: *Harry Potter*, *Opowieści z Narnii*, *Zmierzch...* Jak ołtarz ku pamięci zaginionej nastolatki, jakby Marta zniknęła nie przed czterema dniami, ale lata temu, tuż przed maturą.

I kolejna bolesna niespodzianka — na łóżku leżała poduszka w kształcie serca z napisem „I love you”, którą Piotrek dał Marcie na walentynki, jeszcze w liceum. Czemu nie zabrała jej ze sobą do ich nowego mieszkania?

— Nie przejmuj się. — Kaśka odsunęła poduszkę i usiadła na łóżku. — Do kogoś pretensje muszą mieć, dzięki temu im łatwiej. Ale tak naprawdę wiedzą, że nie mogłeś nic na to poradzić.

— Naprawdę?

— Naprawdę wiedzą, czy naprawdę nie mogłeś poradzić?

Nie odpowiedział. Kaśka pochyliła się i ostrożnie dotknęła chłopaka.

— Nie chciałam sugerować...

— Jasne.

— Przepraszam. — Odsunęła się, trochę zbyt szybko, zbyt gwałtownie. Ale może tylko mu się zdawało.

— Wszystko w porządku.

— Znajdziemy ją, zobaczysz.

— Wiem. — Zabrzmiało to, jakby próbował przekonać samego siebie.

— Udało ci się dowiedzieć, kto jest właścicielem tego mejla?

Kaśka pokręciła głową.

— Poprosiłam znajomego informatyka, ale znalazł tylko IP komputera w bibliotece w Bielsku-Białej.

— Ktoś założył konto pocztowe w bibliotece?

— Na to wygląda.

— Czyli jesteśmy w dupie.

— Niekoniecznie. To nazwisko, Chrobran, pamiętasz? Jest na tyle nietypowe, że wrzuciłam je w wyszukiwarkę razem z imieniem Marek. I wyobraź sobie, że taki człowiek rzeczywiście istnieje.

A przynajmniej kiedyś istniał i siedem lat temu pracował w zakładzie fotograficznym w Szopienicach.

— Jesteś genialna — powiedział Piotrek z uczuciem, zapominając o wcześniejszych podejrzeniach.

— Nie ciesz się tak bardzo. Potem facet zniknął, jakby zapadł się pod ziemię. Na szczęście udało mi się namierzyć jego żonę.

— Natalię Chrobran?

— A przynajmniej kogoś, kto tak samo się nazywa. Kobieta jest fizjoterapeutką w ActivMedzie. Mam nawet numer jej komórki.

— Natalia Chrobran powinna pracować w sądzie apelacyjnym.

— Może się przekwalifikowała? Kursy dla fizjoterapeutów wszędzie teraz reklamują.

Piotrek jęknął i schował głowę w dłoniach.

— Czy myśmy powariowali? Serio zakładamy, że Marek i Natalia istnieją naprawdę?

— Co nam szkodzi sprawdzić? — Kaśka wzruszyła ramionami.

— Nawet jeśli, ta kobieta przecież nie odbierze. Jest Wigilia.

— ActivMed wygląda mi na małą, jednoosobową firmę. Założę się, że Natalia telefony służbowe odbiera na tej samej komórce, co towarzyskie. No dalej, dzwoń. — Wyciągnęła w jego stronę smartfona.

— Czemu ty tego nie zrobisz?

— Bo pora, żebyś też się czymś wykazał, zamiast tylko jęczeć.

Nieoczekiwana brutalność sprawiła, że zacisnął szczęki.

— To nie jest...

— Jakie? Grzeczne? Miłe? Nie wypada dzwonić do kogoś w wigilijny wieczór i pytać, czy nie ma przypadkiem czegoś wspólnego ze zniknięciem studentki?

— Nie wiem, co powiedzieć...

— Ja też nie. Dzwoń.

Piotrek wziął komórkę. Myślał o zdjęciu Marty, które od wczoraj wisiało w katowickich tramwajach i które znajomi szerowali na Facebooku. „Zaginęła 19 grudnia, ktokolwiek widział, ktokolwiek wie”... Dużo słów pocieszenia i jeszcze więcej lajków, ale żadnej konkretnej informacji. Zadzwoił.

* * *

Wsluchiwał się w przeciągłe sygnały: jeden, drugi i kolejne, odległe jak wytłumione przez mgłę syreny przepływających statków. Chciał, żeby kobieta odebrała, a może wręcz przeciwnie, bał się tego?

— Nie odbiera. — Dokładnie w chwili, gdy odsuwał smartfona od ucha, przeciągły sygnał urwał się i Piotrek usłyszał lekko drżący kobiecy głos:

— Halo?

Spanikował i mało brakowało, a rzuciłby telefon na łóżko.

— Nazywam się Piotr Bogdanik...

— Słucham.

— Pani Natalia Chrobran?

— Tak. — Tym razem w głosie brzmiała irytacja. A może to było zwyczajne zmęczenie?

— Chciałbym porozmawiać z pani mężem, Markiem Chrobranem.

— Mój mąż nie żyje.

Piotrek zamarł. Co się mówi w takich sytuacjach? Czy w ogóle jest coś, co można powiedzieć?

— Nie wiedziałem, przykro mi. — Powtórzył słowa, które słyszał za każdym razem, gdy ludzie dowiadawali się o Marcie. Ta sama intonacja, to samo tchórzliwe współczucie podszyte odrobiną ulgi: tym razem nieszczęście dotknęło kogoś innego. Marek Chrobran był martwy, ale Marta wciąż mogła żyć.

— Zaginęła moja narzeczona, Marta Kozłowska, może pani słyszała, i ja... znalazłem w interne-cie nazwisko pani męża...

— Tak?

Natalia Chrobran nie oburzyła się, choć powinna była to zrobić. Powinna zapytać, co wspólnego ma zmarły mąż z zaginioną dziewczyną, może nawet wcisnąć czerwoną słuchawkę. Piotrek na jej miejscu dawno by się rozłączył.

— Słucham? — powtórzyła tylko, wciąż cierpliwie, wciąż z lekką nutą irytacji, która równie dobrze mogła być zwyczajnym świątecznym zmęczeniem. Chłopak spocił się. Kaśka patrzyła na niego, uważna i zdystansowana jednocześnie, za jej plecami rząd plakatów: Johnny Depp i Orlando Bloom w pirackich przebraniach, a niżej maskotki na półkach; wszyscy spoglądali na Piotrka. Oczy żywe, oczy papierowe i oczy z guzików-jakim cudem nigdy wcześniej nie zwrócił na nie uwagi? Jakim cudem kiedykolwiek czuł się w tym pokoju swobodnie?

— To jakby... fragment opowiadania, o pani mężu... Albo o kimś, kto tak samo się nazywa. Na stronie z obrazkiem białego piętrowego domu stojącego na skraju lasu.

— Białego domu? — w głosie Natalii zabrzmiała nowa nuta. Niepokój? Napięcie?

— Tak. Wie pani, gdzie to może być?

— Chyba się domyślam.

— Mogę podesłać linka...

— Niech pan się nie fatyguje. Wyślę adres. Ale pojedzie pan tam na własną odpowiedzialność. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Klik. Natalia rozłączyła się tak nagle, że Piotrek przez chwilę spoglądał bezmyślnie na smart-fona, nie mogąc pojąć, co właściwie się stało. Potem odłożył telefon na łóżko.

— I jak? — zapytała Kaśka. — Powiedziała coś ciekawego?

— Że przyśle nam adres.

— Jej adres?

— Nie wiem. Zadzwoń jeszcze raz?

— Zaczekaj.

Czekali dobre kilka minut. W salonie, gdzie dogorywała świąteczna kolacja, ktoś nieśmiało zaczął śpiewać *Jeżus malusieńki*, ale nikt mu nie zawtórował, za ścianą u sąsiadów gadał telewizor. Piotrek pomyślał, że niezależnie od tego, jak wszystko się skończy, do końca życia będzie nienawidził Bożego Narodzenia.

Dźwięk nadchodzącego esemesa poderwał ich oboje. Kaśka była szybsza, choć siedziała dalej. Piotrek pochylił się, by ponad jej ramieniem spojrzeć na wyświetlacz.

— Gmina Radziechowy? Gdzie to jest? — zapytał bezradnie, a dziewczyna, energiczna jak zwykle, wpisała adres w Google Maps.

— Jezu, to jakieś kompletne zadupie — mruknął na widok rozlewającej się po ekranie zieleni.

A potem nagły przypływ nadziei, jak pierwszy po długiej przerwie oszałamiający łyk alkoholu.

— Czy Marta jest w tym domu? Narysowała go, więc musi tam od czasu do czasu bywać...

— Zamierzam się o tym przekonać. — Kaśka wstała. — Sprawdziłaś dziś jej konto bankowe?

— Tak, ale nic się nie zmieniło. Nadal żadnych wypłat. Myślisz, że przytrafiło jej się coś złego?

— Ładna buzia, duże kłopoty, co? Daj spokój. Marta wyjechała z kimś i teraz korzysta z jego pieniędzy. Albo już w sobotę miała przy sobie wystarczająco dużo gotówki. Przekonamy się.

— Jadę z tobą.

— Nie możesz tak wyjść. To góry, może być zimno.

— Wszystko jedno. — Ale dziewczyna oczywiście miała rację. Piotrek przyjechał na kolację wigilijną w garniturze i cienkim jesiennym płaszczu, bo zimowa kurtka nie pasowała do eleganckiego stroju. Wtedy nie miało to znaczenia — Kaśka przywiozła go samochodem i obiecała, że po kolacji też odwiezie.

— Wszystko jedno — powtórzył, gotów wyjść na zewnątrz choćby w samej bieliźnie. Gdzieś tam, na skraju lasu, w zimnie i ciemności, czekała na niego Marta.

— Moment. — Kaśka sięgnęła do szafy i wyjęła różowy polar. Piotrek przypominał go sobie jak przez mgłę. Marta chodziła w nim jako nastolatka — w trzeciej, a może czwartej klasie liceum?

— przez jakiś czas chyba nawet było to jej ulubione okrycie. A potem został zapomniany, jak wiele innych rzeczy, skazanych na wieczne wygnanie w szafie pełnej nietrafionych prezentów i sukienek kupionych pod wpływem impulsu.

— Włóż to — powiedziała. Nie protestował. Polar był dziewczęcy, ale jakie to miało znaczenie? Gdy wsuwał ramiona w rękawy, poczuł się niespodziewanie dobrze, jakby po długiej podróży wreszcie wrócił do domu. To była dobra wróżba, znak, że wszystko skończy się szczęśliwie.

— Pasuje ci — parsknęła, a Piotrek odpowiedział nieśmiałym uśmiechem. Polar pachniał cytrusami. Bardziej cień zapachu niż sam zapach, ale to wystarczyło, by uwierzyć, że Marta jest tuż obok, uśmiechnięta i cierpliwie czekająca, aż ukochany ją odnajdzie.

* * *

Było przed dziesiątą, kiedy jechali przez Katowice, ciche i puste w świątecznym przepychu, w powodzi bożonarodzeniowych świateł, których blask oświetlał jedynie mokre od deszczu chodniki i nie cieszył nikogo poza dzikimi kotami. Nieliczni przechodnie przemykali pospiesznie i wyglądali na pełnych poczucia winy, najwyraźniej świadomi, że ich obecność w tym miejscu świadczy o takiej czy innej klęsce — dziś należało zostać w domu i świętować z rodziną. Dopiero za dwie godziny ludzie tłumnie wylegną na ulice, by zdążyć na pasterkę. Dawno temu Piotrek błąkał się z matką po mieście w taki właśnie wieczór. Wspomnienie niechciane, ale nie do końca nieprzyjemne: kiedy miał dziesięć lat, wydawało mu się to pewnego rodzaju przygodą, czymś aż tak innym od

codzienności, że wartym uwagi. Wtedy Boże Narodzenie miało jeszcze magię, śnieg skrzypiał pod podszewkami cienkich adidasów, a Piotrek był głodny i podniecony, w przedziwny sposób szczęśliwy i nieszczęśliwy jednocześnie.

— Tęsknisz za dawnymi świętami? — zapytał, kiedy wyjechali z miasta i zgodnie ze wskazówkami GPS-u kierowali się w stronę Bielska. — No wiesz, takimi prawdziwymi, jak w dzieciństwie?

— Bo ja wiem? — Kaśka zmarszczyła brwi, skupiona na prowadzeniu auta. — Może trochę.

— Ja tęsknię. — Nie dodał, że pierwsze prawdziwe święta — normalne święta — przeżył dopiero w liceum, gdy rodzice Marty zaprosili go do siebie. Kaśka o tym wiedziała. Kaśka o wszystkim wiedziała.

— Przepraszam — odezwała się po chwili. Piotrek nie patrzył na nią. Nie były z Martą do siebie podobne, ale czasem, czasem to podobieństwo pojawiało się niespodziewanie jak odsłonięty przez ruchy tektoniczne szkielet. Jeden gest, jedno przypadkowe słowo i nagle rysy twarzy jednej siostry nakładały się na rysy drugiej.

— Za co?

— Przez chwilę sądziłam, że sobie to wszystko wymyśliłeś. No wiesz, Marek Chrobran, cała ta historia.

— Jezu, czemu miałbym robić coś takiego?

— Przecież wiesz.

— Bo mam matkę wariatkę?

Kaśka kręciła głową.

— Daj spokój. Nieważne.

— Powiedz.

— Nieważne. Zapnij pasy. Za godzinę powinniśmy być na miejscu. * *

*

Minęli płot obwieszony kolorowymi lampkami i skręcili w boczną drogę. Kaśka zredukowała bieg do jedyńki, silnik wył, gdy mała kia, podskakując na nierównościach terenu, wspinała się coraz wyżej w noc. Jasne okna zamieszkałych domów ustąpiły miejsca ciemnym oknom domków letniskowych, a potem i one zniknęły. Piotrek milczał, nagle pozbawiony oddechu, przerażony całą tą wiejską czarną samotnością, która napierała teraz na samochód, a w którą odważyli się zapaść, dwoje

głupców z miasta i ze światła. Przerażony tym, że nie znajdzie Marty i że ją znajdzie.

Silnik zawył na jeszcze wyższych obrotach. Kasia zaklęła i zaczęła wycofywać samochód.

— Boję się jechać dalej — powiedziała, sięgając do schowka przy kierownicy. — Jeszcze mi zawieszenie urwie. Wsiadamy. Na co czekasz? Chodź.

* * *

Kaśka zapaliła latarkę. Strumień blasku wyciął z ciemności okrągły fragment usianej kamieniami, błotnistej drogi. Poza tym kręgiem mrok zgęstniał, zbił się w czarne wydłużone cienie, w płataninę gałęzi rysujących się na tle granatowego nieba. Niżej w dolinie pełzała mgła, przez którą przebijały światła domów. Było zimno, choć nie tak, jak Piotrek się spodziewał. Wciągnął w płuca ostrzejsze niż w mieście powietrze, po trosze spodziewając się, że odnajdzie w nim znajomy z dzieciństwa zapach śniegu. Ale śniegu przecież nie było. Globalne ocieplenie zmieniło zimę w jałową, pozbawioną treści porę, zawieszoną w pustce między jesienią a wiosną i ozdobioną świętami Bożego Narodzenia jak dekoracją z kartonu.

— Chodź — powtórzyła Kaśka, biorąc go za rękę, jakby był małym dzieckiem.

— Wiesz, dokąd idziemy? Tu nie ma żadnych domów...

— Według GPS-u powinniśmy być niedaleko. Rusz się. Chcemy przecież ją znaleźć.

— Czy nie mądrzej byłoby... No nie wiem...

— Zadzwoń najpierw na policję? I co im powiesz?

Jak zawsze miała rację i Piotrek przez moment poczuł złość, nie na tyle dużą jednak, by zdobyć się na samodzielność i wyrwać rękę z uścisku dziewczyny. Szli w górę, mijając kolejne stacje Drogi Krzyżowej. Święta Weronika, drugi i trzeci upadek, Chrystus dręczony przez demonicznych Rzymian. Czarny kamień, czarne, pozbawione skóry ciała, zbudowane z samych żeber, kręgosłupów i wykrzywionych wściekłością czarnych mięśni twarzy. Golgota Beskidów, przypomniał sobie Piotrek. Kiedyś o niej czytał.

— Tu nie ma żadnych domów! — powtórzył, kiedy z ciemności przed nimi wyłonił się stojący na szczycie krzyż.

— Patrz.

— To czyste wariactwo!

— Nie tam, w prawo.

Wtedy on też zobaczył — zawieszony w ciemności jasny kwadracik, który mógł być tylko oświetlonym oknem.

* * *

— Kto buduje dom w takim miejscu? Jak oni tu w ogóle dojeżdżają? — Piotrek sapał niczym parowóz. Powinien więcej ćwiczyć. Marta zawsze mu o tym przypominała, tak samo jak o innych rzeczach. Kiedy jej zabrakło, wszystkie stare „powinieneś” zostały razem z nią w przeszłości, a nowych nie potrafił znaleźć.

— Może z drugiej strony jest mniej stromo?

— To czemu nie jechaliśmy z drugiej?

— Bo wybrałam krótszą drogę. Poza tym nie powiedziałam, że jest, tylko że może być. Zorientował się, że mówi cokolwiek, żeby tylko ukryć narastające zdenerwowanie. Dom był coraz bliżej, widzieli już wynurzające się z ciemności ściany. Rzeczywiście białe. Zwyczajny jednopiętrowy dom, niezbyt duży, choć większy niż przeciętny domek letniskowy. W oknie na parterze paliło się światło, zza szyby płynęły dźwięki muzyki, tak chłodne i czyste, że Piotrek poczuł zapach płatków śniegu sunących bezszelestnie przez grudniową ciemność, a potem opadających miękko na ściętą lodem ziemię. Jakby duch zimy przeszedł tuż obok, muskając go w przelocie. W pierwszej chwili pomyślał, że to kolęda, ale to było *White Christmas*.

*I'm dreaming of a white Christmas
With every Christmas card I write
May your days be merry and bright
And may all your Christmases be white*

Kaśka przeszła już przez ogród i zapukała. Piotrek stanął za nią w bezpiecznej odległości, tchórzliwy i wstydzący się tego tchórzostwa, przerażony i pełen nadziei. Gdy muzyka umilkła, dziewczyna zapukała jeszcze raz, tym razem mocniej, głuche drewniane dźwięki jak wykrzykniki podkreślające jej determinację. Cisza w domu przyczała się, pełna napięcia, a Piotrek niespodziewanie poczuł przypływ odwagi — ktokolwiek był w środku, bał się bardziej niż on.

— Wiem, że ktoś tam jest! — krzyknęła Kaśka. — Otwieraj!

Wtedy usłyszeli tupot stóp, szybki i tak lekki, że do drzwi musiał podchodzić ktoś bardzo młody, zupełnie jak Marta. To była ona — Piotrek nie pomyliłby jej kroków z krokami żadnego innego człowieka. Kiedy drzwi się otworzyły, wciąż ją widział; idealnie owalna twarz, zielone oczy i niesforne brązowe włosy, na które tak często narzekała. Potem Marta zniknęła i na jej miejscu pojawił się szczupły chłopak o dziewczęcej urodzie, a może krótko ścięta dziewczyna przypominająca chłopaka. Wszystko jedno. Obca osoba, nie Marta.

— Dostaliśmy informację, że w tym domu może przebywać zaginiona Marta Kozłowska — powiedziała Kaśka, a Piotrek zdumiał się, jak profesjonalnie to zabrzmiało. Jakby naprawdę mieli prawo przyjść tutaj i dobijać się do drzwi w tę najważniejszą, najświętszą noc w roku.

— Nie ma tu żadnej Marty.

— Możemy sprawdzić? — Pytanie bardziej przypominało rozkaz. Musiała nauczyć się tego tonu z policyjnych seriali, bo skąd by indziej?

Chłopak — to jednak był chłopak — zawahał się, ale ustąpił im miejsca. Weszli do środka.

* * *

Wracali do Katowic w milczeniu. Piotrek płakał, łzy spływały mu po policzkach, a on nawet nie próbował ich ocierać. Kaśka zaciskała dłonie na kierownicy, blada i zacięta w złości, która chroniła ją przed rozpaczą. Nie była już w żaden sposób podobna do Marty, tamtej radosnej dziewczyny, która zniknęła na świątecznym jarmarku. Wydawała się teraz znacznie starsza, wyciosana z innego materiału.

Gdy podjechali pod blok Piotrka, chłopak otworzył drzwi samochodu, wychylił się i nagle zeszywniał.

— Kaśka, patrz!

— O co chodzi? — Wysiadła, choć jeszcze przed chwilą marzyła tylko o tym, by wrócić do domu i napić się ciepłej herbaty.

W oknie mieszkania na drugim piętrze paliło się światło.

— Jesteś pewien, że nie zapomniałeś zgasić, jak wychodziłeś? — zapytała, kiedy biegli po schodach, ona pierwsza, on tuż za nią, depcząc jej po piętach. Kaśka nie chciała pozwolić sobie na nadzieję, jeszcze nie.

— Jestem pewien.

Minęli wracającą z pasterki sąsiadkę, która spojrzała na nich zdumiona. Piotrek wyjął klucz i włożył go do zamka, ale ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie był w stanie otworzyć drzwi.

— Zacięło się.

Kaśka odsunęła go i przekręciła klucz.

— Marta! — zawołał. — Marta!

Razem obeszli mieszkanie. W jednym pokoju znaleźli wyciągnięte z szafy porozrzucane męskie ubrania, w drugim paliło się światło. Oba były puste, tak samo jak kuchnia i łazienka.

— Zapomniałeś zgasić, jak wychodziłeś. — Kaśka zdjęła płaszcz i buty. Równie dobrze mogła napić się herbaty tutaj, a potem wrócić do domu.

— Nie. Ona tu była. Czujesz? To jej zapach.

— Niczego nie czuję, przestań histeryzować. Usiądź, zrobię coś do picia. Musimy się rozgrzać.

Kiedy nalewała wody do czajnika, zadzwoniła jej komórka. Kaśka spojrzała na wyświetlacz, wyszła na balkon i odebrała, dopiero gdy starannie zamknęła za sobą drzwi.

— Mamo?

— Gdzie jesteście?

— U Piotrka. Nie denerwuj się.

— Marta...? — Niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu.

— Dalej jej nie ma.

— On coś ukrywa, mówię ci.

— Daj spokój. Piotrek to porządny chłopak.

Przez balkonową szybę obserwowała, jak porządny chłopak odpala laptop, a potem ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w ekran.

— Przecież sama mówiłaś, że Marta się na niego skarżyła. No wiesz, że jest zaborczy, że chce być ciągle razem, że robi wszystko tak jak ona...

— To wcale nie znaczy, że ma coś wspólnego z jej zniknięciem.

— Ale...

— Muszę kończyć, pogadamy jutro, jak wpadnę na obiad. Pa.

Zaborczy. Matka jak zwykle wszystko poprzekręcała, bo nie chodziło o zaborczość — ale tym razem była bliska prawdy.

Zziębnięta, wróciła do mieszkania. Spodziewała się pytań, dlaczego wyszła na balkon, żeby porozmawiać, ale Piotrek tylko przywołał ją gestem.

— Jest nowa historia — powiedział. — Na stronie z obrazkiem białego domu. Patrz.

Kaśka usiadła obok i razem zaczęli czytać.

V.

Opowieść o tajemnicy

Dla Jacka Wojciechowskiego zima zawsze była niebieska. Nie biała, ale właśnie niebieska, w kolorze chmur odbijających się w zimnej wodzie, zsiniałych warg i nadciągającej nocy. Kiedy był mały, rysował błękitne bałwany, zasy i padający z nieba śnieg. Rodzice śmiali się, że to dlatego, że nie ma białej kredki, ale on swoje wiedział. Lubił zresztą zimę najbardziej ze wszystkich pór roku. Cieszyło go bieganie po dworze, kiedy w policzki szczypał mróz, łamanie lodu na zamarzniętych kałużach i rzucanie śnieżkami w dziewczyny ze szkoły. Wszystko to robił oczywiście w dzieciństwie, bo kiedy poszedł do liceum, wyrósł z takich głupstw i po lekcjach najchętniej pomagał ojcu.

Ryszard Wojciechowski w latach dziewięćdziesiątych dorobił się na stawianiu domków weekendowych z gotowych materiałów i teraz, u progu nowego tysiąclecia, cała rodzina pracowała w firmie: szwagier zajmował się elektryką, jego żona księgowością, wujek ślusarką, a kuzynka stroną w coraz prężniej rozwijającym się internecie. Wszystkie ważne wspomnienia Jacka wiązały się z weekendowymi domkami jego ojca. Pierwszego papierosa wypalił na schodach „Małwiny” (uroczy, dwukondygnacyjny, z tarasem), dziewictwo stracił na rozłożonym kocu w „Prymuli” (duży salon na parterze i dwa pokoje na piętrze, prawdziwa okazja). Lubił zapach drewna i pozbawione mebli pomieszczenia wszystkich tych „Stokrotek”, „Sasaneck” i „Krokusów”. Ich pustka była jak niezadrukowana kartka papieru, miejsce czekające na to, by wypełnić je rodzinnym rozgardiaszem i zapachem gril-łowanego latem mięsa. Czasem wyobrażał sobie, że sam jest właścicielem takiego domku, a czasem po prostu przechadzał się po firmowym ogródku, jak przystało na dumnego dziedzica firmy. Potem wracał do własnego domu, największego w całej wsi. Czasy, kiedy wieś kojarzyła się z drewnianymi chałupami i smrodem

gnoju, minęły-teraz Wojciechowscy mieli dwa samochody, jeden terenowy, żeby doglądać budowy, i osobówkę na wypad do miasta, kominek w salonie i najnowszy model telewizora na kominku. A na ostatnie święta Jacek dostał w prezencie teleskop — nie dziecienną zabawkę, lecz profesjonalny sprzęt za prawie dwa tysiące.

Właśnie od teleskopu wszystko się zaczęło.

* * *

Tamtego dnia w drugim tygodniu ferii Dzesika przyszła roześmiana, wnosząc we włosach zapach zimnego wiatru i sosnowych igieł. Jacek wpuścił ją i zaprowadził do swojego pokoju. Oczywiście zaraz zjawiała się matka z propozycją herbaty i podejrzliwością w oczach, jakby naprawdę wierzyła, że jej syn zaprosił koleżankę ze szkoły po to, by za progiem zedrzeć z niej ubranie. Jacek odmówił, Dzesika zgodziła się napić „pysznego rozgrzewającego liptona”, przytaknęła też grzecznie, że owszem, ziąb na dworze straszny, nawet psa żal wypędzić. To była prawdziwa zima, jedna z tych, jakie rzadko już się zdarzały: z sięgającymi kolan zaspami, sopłami lodu grubymi jak ramię i słońcem, które każdego wieczoru broczyło czerwienią na gładką jak stół pokrywę świeżo spadłego śniegu.

Dzesika usiadła na tapczanie, swobodna jak zawsze, jakby cały ten dom — z nowiutkim telewizorem i kominkiem — należał do niej. Nie była szczególnie ładna ani inteligentna, ale Jacek zazdrościł jej pewności siebie, tego, z jakim spokojem i dumą nosiła swoje ciuchy z lumpeksu i to idiotyczne imię, które w oczach świata bezbłędnie identyfikowało ją jako dziecko z ubogiej rodziny.

— Fajkę? — Podsunął jej napoczętą paczkę. Matka niedawno pogodziła się z tym, że jej syn, osiemnastoletni prawie maturzysta pali, i na szczęście nie musiał już ukrywać się ani wietrzyć potem pokoju.

— Nie, dzięki. — Dziewczyna całą uwagę skupiła na teleskopie, który stał przy oknie. — Myślałam, że to służy do oglądania nieba.

— Oglądam niebo.

— Tak? To czemu jest wycelowany w okna jakiegoś domu?

Jacek zaczerwienił się. Nie tak ta rozmowa miała wyglądać, nie tak ją zaplanował.

— Właśnie o tym chciałem pogadać.

— Niech zgadnę, sąsiadka ma nową seksowną bieliznę? — W oczach Dzesiki zabłyśły wesołe chochliki, a Jacek zmieszał się jeszcze bardziej.

— Nie wygłupiaj się. To poważna sprawa.

— Naprawdę? — Nadal się z nim drażniła, ale przynajmniej wyglądała już na zainteresowaną.

— Naprawdę. Myślę, że kobieta z tego domu trzyma kogoś w piwnicy.

Dzesika przyglądała mu się uważnie, najwyraźniej próbując zgadnąć, czy robi sobie z niej jaja. Doszła chyba do wniosku, że nie, bo mruknęła:

— Daj tę fajkę.

Nie zdążyła nawet zapalić, gdy zjawiła się matka Jacka. Milczeli, kiedy stawiała na stoliku tacę z kubkiem, i milczeli, kiedy potępiająco spojrzała na paczkę papierosów, a potem podejrzliwie na dwójkę nastolatków. Dzesika odpowiedziała niewinnym uśmiechem, Jacek odwrócił się w stronę okna. Do rozmowy wrócili, dopiero gdy znów zostali sami.

— Trzyma, w sensie więzi, tak? — upewniła się Dzesika.

— Tak.

— Skąd ci to przyszło do głowy? — Wydmuchnięty dym zmieszał się z herbacianą parą.

W pokoju unosiła się teraz wilgotna, intymna mgiełka, która zmiękczała rysy i budziła najróżniejsze nadzieje. Pachniało tytoniem, cynamonem i cytrusami — ten ostatni zapach Jacek od dawna przywykł kojarzyć z Dzesiką, choć nie potrafił powiedzieć, czy to dezodorant, szampon do włosów, czy może inny kosmetyk.

— Obserwuję ten dom od tygodnia. Trzy razy dziennie kobieta wynosi jedzenie i idzie z nim do piwnicy.

— Może trzyma tam psa albo jakieś inne zwierzę?

— Psa wypuszczalaby czasem na zewnątrz. Poza tym nosi to jedzenie na talerzu, a nie w misce. Zresztą sama zobacz. Jest pierwsza, zawsze wtedy wychodzi.

Dzesika przytknęła oko do okularu, a Jacek wstrzymał oddech. Co, jeśli dziś akurat kobieta go zawiedzie i nie wyjdzie z domu? Albo jeśli dziewczyna znajdzie jakieś proste, oczywiste wyjaśnienie, na które dotąd nie wpadł? Jego tajemnica okaże się wtedy nic niewartym śmieciem, jak plastikowy pistolet, którym bawią się chłopcy z podstawówki. Zagadka za trzy złote, kup razem z magazynem „Mały Detektyw”. Dopiero byłby obciach. Ale wszystko przecież przemyślał. To była dobra, solidna tajemnica. Naprawdę krwista. Sprawa dla dorosłych, nie dla dzieciaków.

— Jest! — powiedziała Dzesika, a Jacek z ulgą, może nawet zadowoleniem odnotował, że w jej głosie brzmi ekscytacja. — Kurczę, naprawdę niesie talerz.

— Przykryty drugim talerzem, żeby śniegu nie napadało?

Skinęła głową. Jacek pochylił się, niby próbując też zajrzeć przez okular, a w rzeczywistości wdychając zapach unoszący się nad odsłoniętym karkiem Dzesiki. Cytrusowy, jakżeby inaczej. Było w nim coś sztucznego, jakaś nieprzyjemna przemysłowa nuta, jak w tanich słodyczach, które z prawdziwymi owocami łączy tylko kolor. Mimo to poczuł podniecenie. Dzesika już tak miała, w jej przypadku nawet wady zmieniały się w pewnego rodzaju zalety.

Odwróciła się, a chłopak w ostatniej chwili cofnął głowę — inaczej zderzyliby się czołami.

— Kto mieszka w tym domu? — zapytała.

— Halina Kowalik z Katowic. Przyjeżdża tu na parę weekendów latem i czasem w zimie. Tyle się dowiedziałem.

— Ale to nie jest jeden z waszych domków?

— Nie, my sprzedajemy tylko drewniane. Ten jest murowany. I stary.

Dzesika wróciła do spoglądania przez teleskop.

— To musi być jakiś kilometr, nie?

— Półtora — sprecyzował Jacek.

— To co robimy? — Dzesika upiła łyk herbaty z kubka ręcznie malowanego w maki i chabry.

— Możemy zawiadomić policję — powiedział, bo ktoś musiał to powiedzieć. Na szczęście Dzesika parsknęła tylko śmiechem.

— Daj spokój, gdzie w tym zabawa? Poza tym gdybyś chciał iść z tym na policję, to już dawno byś poszedł. Obserwujesz przecież ten dom od tygodnia, nie?

Jacek z irytacją poczuł, że się czerwieni. Osiągnął to, co chciał, ale jednocześnie dziewczyna odebrała mu całą radość ze zwycięstwa. Kolejna cecha charakterystyczna Dzesiki, która każdą sytuację umiała obrócić na własną korzyść.

— To co, przejdziemy się zobaczyć, kto siedzi w tej piwnicy?

* * *

Przejście półtora kilometra, które teleskop skrócił do przestrzeni nie większej niż odległość między kciukiem a palcem wskazującym, zajęło im

ponad kwadrans. Najpierw szli szybko drogą, którą przejechał pług, potem zwolnili, brnąc po łydki w zaspach. Dzień był piękny, cały w bieli śniegu i chmur przemykających po niebie jak postrzępione kłębki cukrowej waty, wyłocony odległym chłodnym słońcem i wymieciony wiatrem o żywicznym zapachu sosen. Jacek czuł się lekko, jakby spacerowali wysoko ponad ziemią, w świetle utkany ze światła i morskiej piany. Sam sobie wydawał się teraz większy, silniejszy, bardziej męski — jeśli miał wcześniej jakieś wątpliwości, to zostały one w domu, razem z matką, jej podejrzliwymi spojrzeniami i kubkami w polne kwiaty.

— Nie możemy tam tak po prostu wejść — powiedział, kiedy biały dom był coraz bliżej.

— Musimy...

— Podkraść się? — Dzesika uniosła brwi.

— A masz inny pomysł?

— Tak naprawdę powinniśmy zaczekać, aż ta cała Halina gdzieś wyjdzie, i dopiero wtedy podejść.

— To co, wracamy? — Nie chciał, żeby w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie. Naprawdę bardzo się starał. Ale i tak nie wyszło.

— Czekać. Skoro już tu jesteśmy, możemy chociaż zajrzeć.

Obeszli dom szerokim łukiem i weszli w las. Mrok zagarnął ich, odcinając od słońca i wiatru, świat nagle nabrał ciężaru, konkret o skondensowanym zapachu zimnej ziemi i opadłego igliwia, które pstrzyło leżący między drzewami śnieg. Jacek i Dzesika przycupnęli na skraju lasu. Chłopak żałował, że nie zabrał lornetki — kolejny z wielu błędów, które popełnił dzisiejszego dnia.

Halina Kowalik wyszła i skręciła za róg, skąd po chwili doleciał odgłos rąbanego drewna — dziesięć minut później kobieta wróciła, niosąc zapełnioną szczapami skrzynkę. Z tej odległości Jacek widział tylko, że jest szczupła i prawdopodobnie dość młoda, bo poruszała się szybko i zwinnie. Włosy miała krótko, po męsku ścięte, a zamiast kurtki nosiła obszerną koszulę w kratę. Nie wyglądała na kogoś, kto więziłby człowieka w piwnicy. Nie wyglądała też na letniczkę — ci rzadko zawracali sobie głowy rąbaniem drewna, ani na miejscową kobietę — było w niej coś, co odległe sugerowało, że życie na wsi nie jest dla niej naturalne. Prawdę powiedziawszy, nie pasowała nigdzie, tak jak nigdzie nie pasował jej dom,

wyglądający jak wiejska chałupa nieumiejętnie przerobiona na modny domek weekendowy.

Czekali dłuższy czas, z napięciem wpatrując się w drzwi wejściowe. Wyjdzie znowu czy nie?

A jeśli tak, czy jest szansa, że kobieta pójdzie do centrum wsi, na przykład po zakupy? Jacek modlił się o swoją szansę, ale los okazał się niełaskawy. Halina Kowalik najwyraźniej postanowiła zostać dziś w domu.

Dzesika, przykucnięta obok, zaczęła się niecierpliwić—Jacek wyczuwał to doskonale, bo wszystkie jego nerwy nastrojone były na odbieranie jej emocji. Zanim jednak zdążył podjąć decyzję, dziewczyna wstała.

— Idziemy — zakomenderowała.

— Znaczy, wracamy?

— Jezu, ale ty nudny jesteś — rzuciła i nagle, kiedy jego żołądek już wywinął koziołka i zaczął pikować, roześmiała się. — Żartowałam. Chodź, spróbujemy zajrzeć do tej piwnicy.

„A jak nas złapie?“, chciał zapytać, ale tym razem miał wystarczająco dużo rozumu, żeby się powstrzymać. Wściekły na Dzesikę, a jeszcze bardziej na siebie samego, poszedł za dziewczyną.

Żeby dostać się do domu, musieli przebyć kilkadziesiąt metrów odsłoniętej przestrzeni. Latem, gdyby biegli po trawie, zajęłoby to nie więcej niż pół minuty. Teraz, brnąc w głębokim śniegu, męczyli się znacznie dłużej i pod mur białego domu dotarli spoceni i zdyszani. Dzesika przypadła do ściany jak komandos, po czym skuliła się pod oknem. Jacek już miał jej zwrócić uwagę, że to bez sensu, nawet jeśli właścicielka ich nie zauważy, to zobaczy przecież ślady i będzie wiedziała, że ktoś się tu kręcił — ale nic nie powiedział.

Nasłuchiwali przez chwilę. Zza okna dobiegał cichy dźwięk włączonego telewizora, co Jacek uznał za dobry znak. Dzesika musiała myśleć podobnie, bo skinęła na chłopaka i razem obeszlili dom. Po wschodniej stronie, gdzie kobieta nosiła talerze, znaleźli to, czego się spodziewali: mała dobudówka, a w niej zamknięte na kłódkę drewniane drzwi, które musiały prowadzić do piwnicy. Nie one jednak zwróciły uwagę Jacka, tylko odcisnięte w śniegu ślady stóp, bosych i o tak dziwnym kształcie, że przypominały kopytka.

— Patrz — szepnął do Dzesiki. — Myślisz, że Halina Kowalik ma takie stopy?

Dziewczyna pokręciła głową.

— Ona nosi buty. Może to ślady tego, kto siedzi w tej piwnicy. Nie widziałeś nigdy, żeby go wypuszczała?

— Nie, ale ja przez teleskop widzę tylko drzwi wejściowe, a nie piwnicę. — Tym razem to jemu udało się zdobyć punkt i znowu poczuł przyływ dumy. Ta huśtawka nastrojów i nieustanna walka o przewagę męczyły go i podniecały jednocześnie. Na zmianę był wściekły i szczęśliwy, przerażony i pełen mocy jak młody bóg. Tylko z Dzesiką tak się czuł, z nikim innym. Trzymali się razem, odkąd pamiętał — co prawdopodobnie oznaczało, że od czasów podstawówki. Kiedyś sądził, że jest w Dze-sice zakochany, teraz czasem jej nienawidził, ale za każdym razem, kiedy rozstawali się na dłużej niż kilka dni, zaraz zaczynał za nią tęsknić. I zastanawiał się czasem — a właściwie całkiem często — czy pomogłoby, gdyby się z nią przespał. Może nie, a może tak. W każdym razie była to możliwość warta wypróbowania.

Nieświadoma wszystkich tych skomplikowanych uczuć, Dzesika zbliżyła się do drzwi i zapukała. Najpierw cicho, potem trochę głośniej.

— Jest tam ktoś? — szepnęła w szparę, od której wionęło piwnicznym chłodem i tajemnicą.

— Odezwij się. Możemy ci pomóc.

Przyłożyła ucho do drzwi, a Jacek tuż obok, tak blisko, że mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć jej piersi, też przyłożył ucho i stali tak razem, już nie dwójka przeciętnych nastolatków z przeciętnej polskiej wsi, tylko bohaterowie powieści albo filmu, cudownie przemienieni mocą przygody.

— Słyszysz? — szepnęła Dzesika. — Coś tam się rusza.

Jacek słyszał, a przynajmniej bardzo chciał słyszeć. Zanim jednak zdecydował, czy ten cichy szelest, ten nerwowy oddech i odgłos, jaki mogłoby wydawać przesuwające się po podłodze ciało, nie są przypadkiem złudzeniem, usłyszał coś naprawdę.

Dźwięk kroków zbliżających się od strony frontu.

Oczy Dzesiki rozszerzyły się — nie strachem, ale nagłą, dziką radością, jakby na to czekała, jakby cała ta przygoda upiła ją i oszołomiła adrenaliną.

— W nogi — szepnęła.

* * *

Tego dnia niewiele już działo się — Dzesika musiała wracać do domu, a Jacek poszedł pomagać ojcu. Jak nigdy nie miał na to ochoty i jak nigdy

wiedział, że akurat teraz musi. Musi udawać, że wszystko jest w porządku, że wciąż interesują go głupie domki i jeszcze głupsze foldery reklamowe, które składało się w Corelu, a potem przywoziło z drukarni w wielkich kartonowych pudłach. Jacek poprawiał literówki i odbierał telefony, czasem też, choć niezbyt często, oprowadzał klientów po firmowym ogródku i prezentował im zalety poszczególnych modeli. Piękny taras, dużo miejsca dla dzieci do zabawy, przegrodzone poddasze-to dobrze, bo bardziej intymnie, prawda? Cała ta gadka dla nadzianych jeleni, którą znał na pamięć. Zazwyczaj nieźle mu szło, ale nie dziś — dziś wolał tkwić przy komputerze, a ojciec, zajęty sprawami firmy, na szczęście nie zwracał na niego uwagi. Jacek miał więc czas, by poszukać w internecie informacji o Halinie Kowalik.

Wpisał jej nazwisko w wyszukiwarkę. Altavista wyrzuciła kilkanaście wyników, z których tylko jeden dotyczył właściwej osoby — była to notka z lokalnej katowickiej prasy, mówiąca o tym, że wiolonczelistka Halina Kowalik po tragicznej śmierci męża zrezygnowała z pracy w orkiestrze i przeniosła się na wieś. Dołączone zdjęcie przedstawiało kobietę po trzydziestce, z kurzymi łapkami w kącikach oczu. Jedna z tych miłych twarzy, których właściwie się nie zapamiętuje: ani ładna, ani brzydka. Sympatyczna. Gdyby Jacek miał szukać jakiegoś określenia, wybrałby właśnie to. Na zdjęciu Kowalik miała dłuższe włosy, ale poza tym niewiele się zmieniła.

Jacek przygryzł wargę. Chciał, żeby Halina Kowalik okazała się kimś niezwykłym i tajemniczym, a jednocześnie bał się, że to przeciętna kobieta, zwyczajna samotna wdowa, która wybrała życie na wsi, żeby poradzić sobie z bólem po śmierci męża. W nieskończoność analizował tamtą chwilę pod drzwiami piwnicy, podczas gdy rzeczywistość rozszczepiała się w jego wspomnieniach na dwie równoległe ścieżki.

Słyszał coś, nie było żadnych wątpliwości: w piwnicy siedział zamknięty człowiek.

Nie słyszał niczego, zwyczajnie mu się zdawało, a te tajemnicze szelesty to był odgłos osypującego się śniegu albo dźwięk ich własnych oddechów, albo cokolwiek. Możliwości istniało mnóstwo, a każda bardziej prawdopodobna niż to, że była wiolonczelistka uwięziła kogoś w piwnicy swojego weekendowego domu.

Słyszał.

Nie słyszał.

I gdzieś w tym wszystkim przemykała jeszcze jedna nieprzyjemna myśl: co, jeśli oskarżą go, że wiedział o uwięzionym człowieku, ale mu nie pomógł?

O piątej zadzwoniła matka, w jej głosie jak zawsze brzmiała lekka nuta podejrzliwości — jakby spodziewała się, że zastanie syna nie w pracy, lecz na imprezie z kolegami. Albo, co gorsza, z Dze-siką.

— Wracasz już?

— Ta, powoli się zbieram.

— To kup po drodze olej.

— Okej.

W rozmowie ani razu nie padło imię Dzesiki, ale Jacek wyczuwał jej milczącą obecność między słowami. Czy jutro też przyjdzie, czy to twoja koleżanka, czy może już dziewczyna, sypiasz z nią, a może chciałbyś sypiać? I uważaj, bo złapie cię na dziecko, w tej rodzinie wszystkie z brzuchami chodzą, ledwo od ziemi odrosną.

Matka zawsze powtarzała, że chce dla niego „dobrej przyszłości”. Dobrej, czyli z maturą i dom-kami jednorodzinymi, a bez dziewczyn, które miały pretensjonalne imiona i ojców pijaków. Kiedy byli dziećmi, traktowała jego przyjaźń z Dzesiką z lekceważeniem, lecz bez wrogości, jak uciążliwą, choć w gruncie rzeczy nieszkodliwą dziecięcą przypadłość, coś w rodzaju nocnego moczenia czy pryszczu — nieprzyjemne, prawda, ale przecież z tego się wyrasta. Jacek nie wyrósł, a jego matka znalazła się w pułapce — dawno temu zaakceptowała obecność tej dziewczyny w domu, i teraz nie mogła już się z tego wycofać. Nie bez szczerzej rozmowy o tym, czego naprawdę się boi, a na to nigdy się nie zdobyła. Słowa takie jak seks, nieletnia ciąża i zmarnowane życie zostały więc w domyśle, nigdy niewypowiedziane, a jednak obecne, unoszące się jak złowrogie upiory nad każdą rozmową. Dodatkowe lekcje angielskiego i niemieckiego, szkółka jeździecka, korepetycje z matematyki — wszystko po to, żeby nie skończył w jakiejś norze z kupą dzieciaków. Jacek nie myślał o takiej przyszłości, ale jej widmo majaczyło gdzieś na horyzoncie, na tyle nierzeczywiste, że wciąż dało się spychać w podświadomość, i na tyle realne, że jak dotąd nie podjął poważnych prób dostania się do majtek Dzesiki. Miał osiemnaście lat, ale wciąż nie czuł się tak naprawdę dorosły.

Prawdziwe dorosłe życie czekało na niego za parę miesięcy, po maturze. I czasem cholernie go przerażało.

* * *

W sklepie wciąż był roztargniony, wciąż jedną nogą w jednym świecie, a drugą w drugim. Dzielny chłopak na tropie tajemniczej porywaczki. Naiwny dzieciak, który coś sobie ubzdurał. Dopiero przy kasie uniósł głowę i rozejrzał się — w kolejce przed nim stała Halina Kowalik.

Jej widok tak blisko, tak niespodziewanie, sprawił, że cofnął się gwałtownie i zatrzymał, dopiero gdy wpadł na stojącą z tyłu staruszkę. Przeprosił, uspokoił się. A przynajmniej spróbował. Kowalik z tak bliska wyglądała jeszcze zwyczajniej niż na zdjęciach — miała popękane od mrozu wargi i pryszcz na brodzie. Była w niej jednak jakaś twardość, która Jackowi się spodobała. Tak mogłaby wyglądać prawdziwa porywaczka.

Kobieta zgarnęła resztę i zaczęła pakować zakupy do siatki. Na rachunek, jak większość ludzi, nawet nie zwróciła uwagi. Jacek zapłacił, a potem — znowu czując się trochę jak detektyw, a trochę jak kompletny idiota — zaczekał, aż kasjerka położy na ladzie jego własny rachunek, i niby przypadkiem pomylił go z tym, który zostawiła Halina Kowalik.

* * *

— Widzisz? — Jacek podał Dżesice wymiętoszoną karteczkę. — To dowód.

Było wczesne popołudnie, tuż po pierwszej. Dziesięć minut temu Kowalik wyszła z domu i okrążyła go, niosąc zakryty talerz. Jak wczoraj, przedwczoraj i tyle dni wcześniej — Jacek uświadomił sobie nagle, że nie ma pojęcia, odkąd zamknięty w piwnicy człowiek tam siedzi.

Dżesika uważnie przestudiowała rachunek i oddała go chłopakowi.

— Że trzyma kogoś w piwnicy?

— Że robi zakupy dla więcej niż jednej osoby. Patrz, wszystkiego jest podwójna ilość. Dwa jogurty, dwie bułki, dwie parówki...

— Może kupuje dla siebie na zapas.

— Wtedy kupowałyby jeszcze więcej. Poza tym rozmawiałem z kasjerką. Ta kobieta bywa w sklepie codziennie.

— W soboty też? — Dzisiaj była sobota.

— Też. A sklep zamykają o czternastej, czyli musi się pospieszyć.

— Zaczekamy?

* * *

Piętnaście minut później Halina Kowalik powędrowała drogą w stronę centrum wsi. Jacek i Dzesika odczekali chwilę — trochę dla pewności, trochę po to, by spotęgować przyjemne napięcie. Potem wyszli z domu. Pogoda znowu była piękna, po niebie przetaczały się kłęby chmur, a spadły w nocy śnieg zakrył wczorajsze ślady. Jacek miał silne *deja vu*- już tak szli, w słońcu i wietrze, i zimnej błękitnej lekkości. Jakby piątek wcale się nie wydarzył. Dzesika uśmiechnęła się i w tym uśmiechu odbiły się wszystkie jego nadzieje i obawy. Chciał wziąć ją za rękę, jednak zanim podjął decyzję, dziewczyna odwróciła się i poszła dalej.

Tym razem nie chowali się w lesie, tylko od razu podeszli do piwnicy. Tak jak wczoraj wisiała na niej kłódka i tak jak wczoraj na śniegu obok drzwi widniały ślady stóp, przypominające odciski krągłych kopytek. Dzesika i Jacek nie zwracali na nie uwagi. Ślady już widzieli, a więc były czymś zwyczajnym, nieciekawym.

Prawdziwa tajemnica kryła się w piwnicy.

Dzesika zapukała i przyłożyła ucho do desek.

— Słyszę coś — szepnęła, oczy jej błyszcząły, twarz stała się piękna. Nie prawie piękna, ale po prostu piękna, jaśniejąca całym blaskiem młodości i podniecenia.

Jacek też słyszał-jak mógłby nie słyszeć teraz, w tym wspaniałym momencie, kiedy wreszcie zrozumiał, że jest w Dzesice zakochany?

— Jest tam ktoś? — zawołała dziewczyna w szparę otwierającą się między drzwiami a futryną jak czarne usta. — Przyszliśmy ci pomóc! Kim jesteś?

W piwnicy coś się poruszyło, teraz już wyraźnie, teraz na pewno: ktoś — coś? — pełzło w stronę drzwi. Dzesika odsunęła się nieco, w jej oczach pojawił się strach i nie była już piękna, tylko zwyczajna. Po prostu wystraszona osiemnastoletnia dziewczyna.

Ze szpary wypadło coś ciężkiego, jak martwy biały ptak spadający na śnieg. Jacek pochylił się, jednak Dzesika była szybsza — to ona podniosła plik zapisanych ołówkiem kartek.

— Co to? — zapytał chłopak.

— Nie mam pojęcia.

Ponownie zapukała, ale tym razem za drzwiami panowała cisza. Ktokolwiek siedział w piwnicy, nie zamierzał więcej dawać o sobie znać.

Dzesika schowała kartki do kieszeni kurtki. Było po czternastej, niedługo miała wrócić Halina Kowalik.

Jacek załomotał w drzwi — raczej by pokazać determinację, niż dlatego że miał jakąkolwiek nadzieję. Cisza, jakby plik kartek zmaterializował się z pachnącej piwniczną stęchlizną ciemności.

Podдали się i poszli w stronę domu, by przeczytać to, co wypadło ze szpary.

VI.

Opowieść o powrocie

Marek Chrobran nie należał do ludzi, którzy pielęgnują w sobie sentymentalną tęsknotę za przeszłością. Wręcz przeciwnie — był człowiekiem, który się odcina. Lubił nagły błysk tego słowa, czysty i jasny jak świeżo wytarte ostrze. Odcinać. Zrzucał skórę, zamykając za sobą kolejne etapy. Najpierw najwcześniejsze dzieciństwo, potem podstawówka, liceum i praca. Kiedy przypadkiem spotykał kogoś, kogo znał na starym, już zamkniętym etapie, czuł się nieswojo, jakby niespodziewany powrót przeszłości zmuszał go do przyjęcia dawno zapomnianego kształtu.

Tak właśnie czuł się w towarzystwie Anety. Jego własna skóra nagle stała się zbyt ciasna i kręcił się teraz niespokojnie na fotelu, niepewny, kim właściwie jest. Nie był już Markiem, który dziś po południu wyszedł z domu, wściekły na żonę, ale nie był też maturzystą, który dawno temu znał Anetę. Utknął gdzieś w pół drogi, nie potrafiąc odnaleźć właściwych gestów i właściwego rytmu, podczas gdy siedząca naprzeciwko kobieta przyglądała mu się z napięciem. Miała siniaka na twarzy, w miejscu, gdzie ją uderzył, ale nie sprawiała wrażenia cierpiącej. Marek pamiętał, że ból nie znaczył dla niej wiele — Aneta potrafiła znieść bardzo dużo, żeby osiągnąć cel. I nie zmieniła się od czasów liceum: identyczna chłopięca fryzura, ta sama nietypowa uroda. Pomyślał, że kobieta nie należy do ludzi, którzy się odcinają. Dla niej przeszłość była równie bliska i realna jak teraźniejszość.

— Nie musiałaś nasyłać na mnie tych typów — zaczął na próbę.

— Musiałam, przecież wiesz.

Oczywiście wiedział, a mimo to ciągnął tę rozmowę, wciąż niewygodną, wciąż zbyt ciasną — bo alternatywą była inna, znacznie mniej bezpieczna rozmowa.

— Skąd ich w ogóle wytrzasnęłaś?

Wzruszyła ramionami, a on uświadomił sobie, że na to pytanie również zna odpowiedź. Aneta -jak to określała matka Marka — pochodziła z „nieciekawego środowiska”. I miała nieciekawe znajomości.

— Co teraz? — zapytał, agresywnie i z poczuciem winy jednocześnie.
— Będziemy tak siedzieć i gapić się na siebie?

— Teraz wreszcie mnie wysłuchasz. Bo przecież wiesz, kim jestem?

Tym razem on wzruszył ramionami.

— Chodziłaś do równoległej klasy w ogólniaku i spotkaliśmy się kiedyś na ognisku.

— Jednak pamiętasz.

— Pamiętam, co z tego? To przeszłość, nie ma znaczenia. Nie cierpię takich sentymentalnych wspominek.

— Dlatego mnie uderzyłeś? Bo nie lubisz wspominać?

Poruszył się niespokojnie, gdy poczucie winy popchnęło go krok dalej w stronę dawnego Marka. W stronę Kajka.

— Przepraszam. Sam nie wiem, co mi odbiło. Ale ta rozmowa tak czy inaczej nie ma sensu.

— Ona wróciła.

— Wiem, powiedziałaś już wcześniej. Jaka ona, do cholery?

— Dziewczyna z rynku. Świąteczna dziewczyna.

* * *

Pokręcił powoli głową.

— Coś ci się musiało pomylić.

— Pokażę ci ją, chcesz? Wsiądziemy w samochód i pojedziemy. Sam się przekonasz.

— Jest późno, pokłóciłem się z żoną i muszę wracać do domu.

— Jeśli się pokłóciłeś, tym bardziej nie powinieneś teraz wracać. Daj jej czas, żeby ochłonęła.

Do rana zmięknie i przestanie się wściekać. Możesz jej napisać esemesa, że zostajesz na noc u kumpla, żeby wszystko przemyśleć.

Chciał zaprotestować, jednak to, co mówiła, miało jakiś pokrętny sens. Wiedział, że jeśli teraz wróci, Natalia przywita go na pozór spokojna, ale tak naprawdę w każdej chwili gotowa do nowego wybuchu, czekająca tylko na pretekst. A do rana jej przejdzie.

Aneta musiała wyczuć jego słabość, bo pochyliła się w fotelu.

— Napisz do niej. Albo zadzwoń, jeśli tak ci łatwiej. Nie mamy dużo czasu.

Uznał, że woli napisać.

Dopiero dziesięć minut później, kiedy jechali już ciemną szosą, przyszło mu do głowy, że głupio zrobił. Ta metoda zadziałałaby, gdyby pokłócili się zwyczajnie, jak tyle razy wcześniej. Nie teraz, kiedy Natalia podejrzewała, że Marek może być z inną kobietą. Przez chwilę kusiło go nawet, żeby kazać Anecie zawrócić, ale ostatecznie zrezygnował, nie wiedząc przy tym, czy to akt tchórzostwa, czy wręcz przeciwnie — odwagi.

Od czasu do czasu zerkał na siedzącą za kierownicą kobietę. Światła mijających ich samochodów wydobywały z mroku jej rysy, tę dziwną urodę, która swego czasu — na krótko, na całe życie, tamto życie-tak bardzo go zafascynowała. Pamiętał ten płaski nos, wyraźnie zaznaczone brwi i grube wargi. Cienie układające się na twarzy nadawały Anecie egzotyczny wygląd, ni to indiański, ni afrykański. Pierwotny, może szukał tego właśnie słowa, które prześlizgiwało się z głębi gardła na język, powarkując i pachnąc dymem z ogniska, lasem, a także czymś jeszcze, co budziło niepokój, jak piżmowa woń czającego się w mroku drapieżnika.

Pamiętał też, że długo nie zwracał na Anetę uwagi. Jako dziewczyna z równoległej klasy krążyła gdzieś po orbitach jego życia towarzyskiego, bliska i odległa zarazem. Widywał ją na korytarzu, czasem na szkolnych imprezach, a parę razy też w domach wspólnych znajomych. Była inna, nietypowa: ubierała się w punkowym stylu, miała przekłuty nos i pyskowała nauczycielom, kiedy pozostali uczniowie jeszcze posłusznie kładli uszy po sobie. A o jej rodzinie i znajomych już wtedy krążyły legendy. Wszystko to budziło ciekawość, która wybuchała jasnym płomieniem i gasła jak wypalająca się w mroku zapałka. Aneta nigdy nie obchodziła Marka dłużej, niż potrzeba czasu na wypowiedzenie słów „Dziwna dziewczyna, nie?“, zaraz potem wracał do swojego życia, a ona na powrót stawała się odległym meteorem na obrzeżach jego świata.

Aż do tamtego wieczoru przy ognisku, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją naprawdę.

Cisza zaczęła mu ciążyć. Potrzebował rozmowy, choćby po to, by w mroku sunącego przez noc samochodu określić, kim właściwie jest.

— Ten tekst na komputerze w twoim domu — zaczął. — Przeczytałem go.

— Tak? — Nie wydawała się zła ani zaciekawiona, tylko całkowicie skupiona na prowadzeniu. Już ją taką widział: z lekko zmarszczonymi brwiami, odciętą od zewnętrznego świata i skoncentrowaną na tym jednym jedynym zadaniu, które musiała wykonać.

— To o nas, zgadza się? Najpierw jacyś ludzie rozmawiają o tym, że nie żyję, a potem, w tej drugiej historii, to jesteśmy jakby my, tak? Ambitny chłopak z bogatej, porządnej rodziny i dziewczyna, której nie lubi jego matka.

— Twoja rodzina nie jest porządna ani bogata.

Miała rację. Marka wychowywali wiecznie nieobecny ojciec i matka, która mówiła o sobie, że jest „biedna, ale uczciwa”. I która bardzo nie lubiła Anety — to akurat się zgadzało.

— Miałem kiedyś teleskop, pamiętasz? Wygrałem go w konkursie międzyszkolnym w drugiej klasie. — Jeszcze wtedy, kiedy był pilnym uczniem. Zanim inne rzeczy zaczęły mieć priorytety. Zanim poznał Anetę. — To nie było nic drogiego, zwykła zabawka. Ale czasem lubiłem obserwować niebo.

— I domy sąsiadów?

— Domy sąsiadów też — przyznał bez oporów, dostosowując się do jej ironicznego tonu. Początkowe uczucie niezręczności zaczynało znikać, Marek czuł się coraz swobodniej.

— Dlatego uważasz, że ja to napisałam?

— No wiesz, zawsze byłaś dobra w te klocki.

To też była prawda. Aneta co prawda miała problemy z przecinkami i ortografią, ale miała też talent do pisania — polski był jedynym przedmiotem, z którego zdarzało jej się dostawać oceny powyżej wymęczonej trójki. Marka uderzyło, że właściwie nic o niej nie wie — znał dawną Anetę, ale nie tę, która siedziała teraz obok. Kim była, gdzie pracowała, czy wyszła za mąż i założyła rodzinę?

— Zapomniałem zapytać, co u ciebie — zagadnął, a ona parsknęła krótkim śmiechem, bez śladu prawdziwej wesołości.

— Naprawdę chcesz prowadzić tę rozmowę?

— Czemu nie? — Poczł się urażony. Przecież tylko próbował być uprzejmy.

— Jakoś sobie radzę. Tyle.

— Te historie to jakiś element psychoterapii?

— Uważasz, że mam źle w głowie? — Na ustach Anety błąkał się lekki uśmiech.

— Każdy czasem potrzebuje pomocy. — Powtórzył to, co tyle razy słyszał od Natalii, choć sam nigdy w życiu do żadnego psychiatry by nie poszedł. — No więc? Radzisz sobie z przeszłością, pisząc opowiadania?

Aneta skrzyła w boczną drogę i kiedy był już pewien, że nie odpowie, odezwała się:

— To tylko sny. Nie myśl o nich.

— Czemu w nich umarłem?

Potrząsnęła głową, wciąż skupiona i uśmiechnięta.

— Może dlatego, że zasłużyłeś.

* * *

Zasnął, nim dojechali na miejsce. Musiało to trwać ledwo parę minut, ale we śnie te minuty rozciągnęły się w długie godziny, kiedy błądził po polu, szukając czegoś, a może przed kimś uciekając. Był koniec roku, ta chwila tuż przed nadejściem zimy, kiedy liście już opadną, a śniegu jeszcze nie ma. Listopad, może nawet grudzień. Pusty, zimny świat odarty z ostatnich kolorów jesieni, odsłonięty aż do kości, do najgłębszej istoty swojej brzydoty. Czekaający na pierwszą zimową zawieruchę jak na akt łaski. Ściemniało się, a Marek nie potrafił powiedzieć, czy to efekt nadciągającego wieczoru, czy może tylko zachmurzone niebo. Półmrok zresztą wydawał się dziwny, jakby w powietrzu wisiał pył. Albo jakby Marek tracił wzrok. Brnął przez błoto, potykając się, wstając i znowu potykając, a kiedy oddychał, razem z pylistą czernią wciągał w płuca zapach dymu i ziemi — tej samej ziemi, która pod jego stopami wcale nie była martwa. Pod nim poruszało się życie, ślepe i tak małe, że mógłby je wziąć w ręce. Leżałoby wtedy w jego dłoniach okrągłe i białe jak ptasie jajo, wyrwane z samego serca ciemności. Tak właśnie by było.

Obudził się spocony, oddychając ciężko. Samochód stał na Osiedlu Paderewskiego, a Aneta wyjmowała właśnie ze schowka lornetkę.

— Drugie piętro, pierwsze okno po lewej — oznajmiła rzeczowo. — Zobacz.

Nim zdążył zaprotestować, wepchnęła mu lornetkę w ręce. Marek podkręcił ostrość. Teraz wyraźnie widział okno, przysłonięte gałęziami, które zaczynały wypuszczać pierwsze pąki.

— To na nic, tam rośnie jakieś drzewo... — Chciał oddać lornetkę, ale Aneta odepchnęła jego rękę.

— Patrz.

Spojrzał, nagle zirytowany całą tą sytuacją i swoją własną naiwnością. Po co zgodził się tu przyjechać? Aneta mogła go zmusić, żeby ją wysłuchał, ale przecież nie wpakowałyby dorosłego mężczyzny przemocą do samochodu i nie wywiozła pod ten blok — a może jednak?

Za oknem, zanurzona w ciepłym żółtym blasku, poruszała się kobieta. Przeszła przez pokój, pochyliła się, chyba coś poprawiając, i zdjęła z półki książkę. Marek bardzo chciałby powiedzieć, że nie potrafi jej rozpoznać z powodu rosnącego pod blokiem drzewa, odległości i czasu. Przede wszystkim czasu. To jednak nie byłaby prawda, bo poznał ją od razu. Aneta miała rację: świąteczna dziewczyna wróciła.

* * *

Spędził tę noc u Anety, w jej małym domku. Z jakiegoś powodu to wydawało się właściwe, prawie oczywiste. Teraz, kiedy powiedział Natalii, że wróci dopiero rano, nie miał dokąd pójść. Najpierw rozmawiali długo na tematy, których potem nie pamiętał, które nie miały tak naprawdę znaczenia — może poza tym, że każde słowo zacieśniało między nimi więź. Potem Aneta zasnęła na tapczanie, przykryta cienkim kocem, w podkoszulku i majtkach. Marek nie miał pojęcia, czy zawsze tak się kładła, czy może tylko teraz, kiedy on tu był. Tak wielu rzeczy o niej nie wiedział. Spała z odchyłoną do tyłu głową i odsłoniętą sniąką szyją. Mógłby podejść do niej, położyć ręce na tej szyi i zacisnąć je.

Miał na to ochotę i przez chwilę ta możliwość była tak realna jak obecność trzeciej osoby w pokoju. Czuł na karku jej oddech i wiedział, że gdyby się odwrócił, zobaczyłby, kto za nim stoi. Zamknął oczy, zacisnął powieki najmocniej jak mógł — wrażenie zelżało, choć nadal mógłby się założyć, że nie są w domu sami.

Wyszedł na taras i zapalił papierosa. Mogła być pierwsza, druga w nocy. Może nawet później. Dawno stracił poczucie czasu i nie chciał go odzyskać, spoglądając na ekran komórki. Dobrze mu było w tej czarnej próżni, w pozbawionym winy bezczasie. Rano czekał na niego powrót do domu, ale ta chwila była daleko przed nim. Nie musiał o niej myśleć. Jeszcze nie.

Palił i myślał o Anecie, o tym, jak się naprawdę poznali — tamtego wieczoru przy ognisku na Borkach. Ostatnia klasa liceum, dziewięć miesięcy dzielących ich od matury. Był wrzesień, ciepły prawie jak lato, które odeszło już w zapomnienie. Świat wokół się zmieniał — wyczuwali to wyraźnie, a oni zmieniali się razem z nim, pędząc w stronę dorosłości na ślepo, w mroku pełnym piosenek Nirvany i Pearl Jamu, namiętnych pocałunków i wstydliwych marzeń o seksie. Przerażeni i podnieceni jednocześnie tym, co czekało na końcu drogi. Tamte dni miały w sobie magię, ale też i grozę, którą dopiero teraz dostrzegał. Sobotnie ogniska, teoretycznie organizowane przez Marka i dwóch kolegów, rozrastały się do imprez, nad którymi przestawali panować; przychodzili jacyś starsi bracia i brodaci kumple nie wiadomo kogo, uczniowie z innych szkół, a także punkowe i metalowe niedobitki studentów z długimi skołtunionymi włosami i w ciuchach śmierdzących ziołem. Były też dziewczyny, które najdalej po drugim piwie ściągały spodnie i szły się kąpać. Wracały potem, w koszulkach klejących się do zgrabnych ciał, tak że widać było odznaczające się pod materiałem sutki; wkraczały w jasną przestrzeń ogniska prosto z wody i z ciemności, jak jakieś pradawne erotyczne bóstwa, po czym domagały się kolejnego piwa albo wódki. Pamiętał, że dziewczyna, z którą się wtedy całował, pachniała mułem ze stawu i gorącym kielbasianym tłuszczem skapującym w żar — ten zapach do dziś wywoływał w nim podniecenie.

I była też Aneta, jedna z tych osób, których nie zaprosił, a które mimo to się zjawiały — czy ona też szła się kąpać, a potem wracała w mokrej koszulce? Pamiętał zarys jej piersi pod cienkim materiałem, ale może zapamiętał to, co pragnął zobaczyć, a nie co naprawdę się wydarzyło. Za to rzeczywista musiała już być tamta rozmowa na brzegu stawu, ze stopami w wodzie i butelkami piwa w rękach, na zimnej, szorstkiej trawie, która wyrastała z zimnego, szarego piasku.

— Nie znasz mnie — powiedziała Aneta, podczas gdy płomienie tańczyły za ich plecami, a on bardziej wyobrażał ją sobie, niż widział w ciemności. — Nie wiesz, jaka jestem naprawdę.

— To mi powiedz.

— Nie spodoba ci się.

— Spodoba, zobaczysz — powiedział, bo naprawdę wtedy wierzył, że jest gotów ją przyjąć w całości i bez zastrzeżeń, jak komunię.

Miała rację — nie spodobało mu się. Ale wtedy było już za późno, żeby coś z tym zrobić.

* * *

Spróbował zasnąć, zwinięty w niewygodnym fotelu obok tapczanu, na którym leżała Aneta. Czy nie było tu nigdzie sypialni z normalnym łóżkiem? Przez chwilę kusilo go, żeby wstać i jej poszukać, ostatecznie jednak zwyciężyła konwencjonalna grzeczność — nie wypadało bez zgody właściciela kręcić się po domu. Zresztą bez trudu mógł uwierzyć, że Aneta zawsze sypia na tym wąskim tapczanie, tuż obok szafki z odtwarzaczem DVD i półki, na której, niczym żołnierze podczas warty, stały ustawione w równym rzędzie płyty. W ciemności Marek widział tylko ich zarysy, ale doskonale pamiętał tytuły, które odruchowo przejrzał wczoraj wieczorem: *Obcy*, *Candyman*, *Ukryty wymiar*, *W paszczy szaleństwa...* Nic wesołego czy romantycznego. Gust Anety najwyraźniej nie zmienił się od czasów liceum.

Marek myślał o kobiecie, siedzącej godzinami na starym tapczanie i oglądającej jeszcze starsze horrory, o pustej lodówce, którą widział w kuchni, i resztkę zaskorupiałej kawy w słoiku. O tym, skąd przy takim trybie życia miała pieniądze na utrzymanie. Pokój z komputerem wyglądał trochę jak gabinet, możliwe więc, że pracowała w domu — choć Markowi nie przychodziło na myśl nic, co właściwie Aneta mogłaby robić. Oprócz ewentualnie pisania. Myślał też o młodej dziewczynie, która dawno temu go zauroczyła. Wrzesień, klasa maturalna. Czemu ciągle do tego wracał? Było, minęło. Nie miał się wtedy czym chwalić: on, ten spokojny, zdolny chłopak, z rodziny „biednej, ale uczciwej”, który nagle zaczął opuszczać lekcje, zaczął pić i palić, a parę razy nawet zdarzyło mu się spróbować czegoś mocniejszego. Dorastanie — jego matka powinna zrozumieć, ale oczywiście nie rozumiała. Ta dziewczyna ściągnie cię na złą drogę, mówiła, a Marek, nie przyznając się, że już tam jest, potakiwał, że owszem, na złą drogę. I był szczęśliwy. To, że dotarł na maturę, zawdzięczał wyłącznie matce, która w dzień pierwszego egzaminu wpakowała go do taksówki i pojechała z nim do szkoły. Że zdał, było jego prywatnym małym cudem, w który długo nie mógł uwierzyć.

Zasnął wreszcie i tym razem nic mu się nie śniło, ale kiedy się obudził, miał wrażenie, że jego usta i gardło wypełnia szorstki jesienny dym.

* * *

Nie wiedział, co go właściwie obudziło: może wpadające przez okno promienie wiosennego słońca, a może cicha melodyjka przychodzącego esemesa. Pochylił się w fotelu, masując obolały kark i wykasłując resztki dymu. Tapczan, na którym wczoraj zasnęła Aneta, był pusty, teraz leżał na nim tylko zmięty koc, lekko pachnący cytrusami. Marek schylił się, wymacał komórkę w kieszeni ciśniętej na podłogę kurtki i spojrzął na wyświetlacz. Wiadomość od Natalii. Oczywiście. Powinien się jej spodziewać, a jednak imię żony zaskoczyło go i przeraziło, jak widok ducha w znajomym mieszkaniu.

„Gdzie jesteś?”

Kliknął „odpowiedz” i zawahał się — co właściwie miał napisać?

„Będę później”.

Nie brzmiało to dobrze, ale na tyle potrafił się zdobyć. Kiedy komórka zaczęła dzwonić, zignorował ją. Powie, że włożył telefon do kieszeni i dlatego nie słyszał. Cokolwiek. Kiedyś, nie teraz. Miał cały czas tego świata, żeby wymyślić jakieś usprawiedliwienie.

Poszedł do kuchni, gdzie Aneta, wciąż w podkoszulku i majtkach, parzyła kawę — prawdopodobnie resztki, które widział wczoraj w słoiku. Pachniały zaskakująco dobrze, a Marek poczuł się głodny.

— Dzięki — powiedział, przyjmując z jej rąk kubek. — Dzwoniła moja żona.

— I co jej powiedziałaś?

— Nie odebrałem, wysłałem tylko esemesa. Muszę jeszcze napisać do Eweliny, że nie będzie mnie w pracy.

Skinęła głową i napiła się kawy. Z kubkami w rękach przeszli z powrotem do pokoju, w którym spali. On usiadł w fotelu, ona na tapczanie — a gdy odsunęła zmięty koc, w nozdrza Marka uderzyła fala cytrusowego zapachu zmieszanego z wonią papierosów, zastarzałego potu i dawno niewie-trzonego pomieszczenia. Zapach nory, do której można wpełznąć, żeby poczuć się bezpiecznie.

— Śniadania nie będzie — oznajmiła Aneta. — Chyba że skoczysz po bułki. Powinnam mieć jeszcze puszkę pasztetu.

Skinął głową, że tak, skoczy. Potem. Był głodny, ale nie aż tak bardzo, żeby śniadanie nie mogło poczekać.

— Jak myślisz, czemu ona wróciła? — zapytał.

Aneta parsknęła krótkim śmiechem.

— Może jej się znudziło. Skąd mam wiedzieć?

— Co teraz?

Wyjęła papierosa i zapaliła. Kiedy się poruszała, widział rysujące się pod cienką koszulką piersi i czern włosów łonowych przebijającą przez biel majtek, tuż obok ud oznaczonych bladymi srebrnymi bliznami. Pamiętał te blizny jeszcze z czasów liceum, a może tylko zdawało mu się, że pamięta. Za dużo wspomnień. Zdecydowanie powinien poprosić, żeby założyła spodnie. Nie poprosił i to też mogło równie dobrze być aktem odwagi, jak i tchórzostwa.

— Może ty coś wymyśl — zaproponowała.

— Moglibyśmy obserwować ją przez jakiś czas. Zobaczyć... co planuje.

— Aha. — Głos Anety nie brzmiał zachęcająco, ale Marek brnął dalej. Teraz już nie miał wyjścia. — Dowiedzieć się, jak udało jej się wrócić. I wtedy...

— Wtedy co?

— Nie wiem — przyznał.

Aneta podniosła się, gasząc papierosa w przepelnionej popielniczce.

— Nie martw się — powiedziała. — Coś wymyślę. I idź po te bułki. Chyba że najpierw chcesz się ze mną pieprzyć.

— Co? — Zamrugął, zaskoczony nie tyle niespodziewaną propozycją, co wulgaryzmem. Odwykł od świata, w którym kobiety używały takich słów.

— Gapisz się na moje cycki i moją cipę. Jeśli masz ochotę, nie musisz się krępować.

Jezu, ona mówi poważnie, uświadomił sobie z nagłym podnieceniem i równie nagłą zgrozą.

— Nie, dzięki — odparł, nie z powodu braku ochoty, ale dlatego, że ten akt nie miałby dla Anety znaczenia. Sypiała z mężczyznami czysto użytkowo: żeby zapewnić sobie pomoc, zdobyć coś, na czym jej zależało, przeprosić albo zwyczajnie z nudów, a czasem chyba też z litości. Wiedział o tym prawdopodobnie lepiej niż jakikolwiek inny człowiek.

— Jesteś pewny? — Wzięła jego rękę i włożyła pod koszulkę. — Kiedyś lubiłeś mnie dotykać. Prawda — kiedyś lubił. Teraz jednak całe podniecenie odpłynęło w jasność marcowego dnia, a Marek czuł jedynie bijące pod chłodną skórą serce: miarowe dudnienie jak wzywające go echo

przeszłości. I naraz, pomiędzy jednym uderzeniem a drugim, uświadomił sobie, że nie potrafi już przywołać z pamięci twarzy żony.

* * *

Wy tłumaczyła mu, jak trafić do sklepu, a potem patrzyła z okna — szedł szybkim krokiem, wyraźnie przygarbiony. Z tej wysokości nie potrafiła rozpoznać, czyjego postawa to wyraz rezygnacji, czy wręcz przeciwnie: pochylał głowę jak szykujący się do szarży byk. Tak naprawdę nie miało to znaczenia. Aneta pomyślała, że była naiwna, licząc na jego pomoc. Może zresztą wcale nie liczyła, może chodziło bardziej o to, by nim wstrząsnąć, wyciągnąć go z jego bezpiecznego świata. Ukarać — bo on zostawił przeszłość za sobą, a ona nie. To chyba też nie miało znaczenia. Tak czy inaczej, została z problemem sama. Jak zawsze.

Specjalnie wysłała Marka do dalszego sklepu zamiast do najbliższego spożywcza, żeby mieć trochę czasu dla siebie. Najpierw wzięła gorący prysznic, potem, przebrana w koszulkę ze spraną nazwą punkowego zespołu, usiadła przy komputerze i wcisnęła przycisk „Start”. Ekran ożył, ukazując standardową tapetę systemu Windows: żółte pole, a nad nim błękitne niebo. Kiedyś myślała, żeby ją zmienić na coś bardziej w jej guście, ale dała sobie spokój: ostatecznie należała do ludzi, którzy skupiają się na tym, co najważniejsze, ignorując drobiazgi.

Spojrzała na zegarek — Marek powinien wrócić za jakieś dziesięć minut.

Kilkoma kliknięciami otworzyła „Opowieść o Słoneczku” w miejscu, w którym skończyła pisać, i zabrała się do pracy.

VII.

Opowieść o Słoneczku i bramach

Od kiedy się urodziło i wydało pierwszy krzyk, jego rodzice wiedzieli, że będzie z nim problem. Nie chodziło o to, że było małe, pomarszczone i czerwone, ani o to, że tak głośno krzyczało; tego matka i ojciec, oboje doksztalceni już opowieściami znajomych, przecież się spodziewali. Chodziło o minę położnej — żadna kobieta, odbierając poród zdrowego, bądź co bądź, bo drącego się wniebogłosy dziecka, nie powinna mieć takiej miny. Zmęczona matka w pościeli wyciągnęła rękę, ojciec, zmęczony najwyraźniej do towarzystwa, a przede wszystkim mocno zdenerwowany, też wyciągnął rękę. Położna zawahała się. Pochodziła ze wsi i brakowało jej wykształcenia, jednak jeszcze pół godziny temu upierałaby się, że co jak co, ale o porodach i dzieciach wie praktycznie wszystko. Teraz sytuacja ją przerosła i zdezorientowana kobieta podała ojcu zawiniątko, które kwiliło już tylko cicho. Jan Kowalczyk wziął je na rękę, gotów stawić czoła rzeczywistości — każdej rzeczywistości, niezależnie od tego, jak straszna by była, bo podobnie jak położna uważał się za człowieka znającego życie. Odchylił pieluszkę i obejrzał potomka uważnie. Był już pewien, że dziecko ma wadę: może szpotawą stopę albo zajęczką wargę czy wodogłowie. Może nawet, wbrew pozorom żywotności, było ciężko chore, to też by go nie zdziwiło. Widział już dzieci, które umierały, nim matka zdążyła przystawić je do piersi.

Ale to urodziło się zdrowe i zdecydowanie nie wyglądało na bliskie śmierci.

Ojciec oddał zawiniątko położnej, która przekazała je matce. Potem oboje wyszli, mężczyzna i odbierająca poród kobieta. Helena Kowalczyk została z dzieckiem, wykluczona z tego, co przez następne dwadzieścia minut działo się za zamkniętymi drzwiami: z szeptów i zawołanych gróźb, z przepoconego zwitka banknotów, który zmienił właściciela,

i dwóch kieliszków wódki wypitych na zgodę. Kiedy mężczyzna wrócił, wszystko było ustalone, przyszłość dziecka przypieczętowana. Matka nie miała nic do powiedzenia. Przynajmniej teraz.

Sąsiadom powiedzieli, że urodziło się słabe, a potem w ogóle już nic nie mówili, tylko milczeli ze smutnymi minami, ludzie zrozumieli więc, że nie powinni pytać. Nikt zresztą nie miał ochoty wtrącać się w sprawy Kowalczyków — byli przecież przyjezdni, para, która zjawiała się znikąd, z dwiema obwiązanymi sznurkiem walizkami i starą wiolonczelą, a potem zajęła opuszczony dom. Nie używali góralskiej gwary i mieli problem, żeby dogadać się w miejscowym sklepiku, ubierali się też dziwnie — trochę miastowo, a trochę jakby z cudzoziemska. Przed wojną wieś odrzuciłaby ich jako obcych, ale teraz, kiedy świat lizał rany po ostatniej wojnie, a spod ruin wynurzał się nowy porządek, nikomu już aż tak bardzo nie zależało. Zaakceptowano więc ich, choć bez serdeczności. Kowalczykowie okazali się zresztą zaskakująco zwyczajni: on był pracowity i trochę skąpy, ona pobożna i małomówna. Trzymali się z boku, ale jak trzeba było pomóc, pomagali. Przez jakiś czas we wsi mówiło się, że to artyści — wiolonczela nie była często spotykanym instrumentem w tych stronach. Jednak nikt nigdy nie widział, żeby któreś z Kowalczyków na niej grało, zaczęły więc chodzić plotki, że Jan instrument ukradł i przywiózł jako łup wojenny, co zresztą zdaniem miejscowych nie byłoby jakimś wielkim grzechem — ot, nieszkodliwe dziwactwo, w sam raz do opowiadania przy piwie.

Tymczasem dziecko Kowalczyków rosło otoczone tajemnicą jak miękkim kocykiem, który chronił je przed złem świata. Nadal nie miało imienia, bo żadne do niego nie pasowało: ojciec mówił „ono”, matka — jak miała dobry humor, czyli nie więcej niż dwa, trzy razy w tygodniu — pieszczotliwie nazywała je Słoneczkiem. Z początku o dobrym humorze nie było mowy, Helena uznała bowiem, że dziecko umrze, i zdążyła się nawet z tym pogodzić. Tak byłoby lepiej dla wszystkich, także dla tego małego dziwactwa. Stworzenia przeciwne naturze, wyrosłe z jakiegoś osobliwego, ciemnego i sekretnego miejsca, gdzie nie sięga wzrok Boga, nie powinny żyć. Nie miała co prawda wystarczająco odwagi, by niemowlę utopić czy zagłodzić, ale też i opiekowała się nim raczej niedbale, raczej jak szczenięciem, nad którym człowiek się lituje, niż jak własnym dzieckiem. Jednak maleństwu nie szkodziło ani kąpanie w zimnej wodzie, ani zostawianie na wiele godzin w nieogrzanym pomieszczeniu i w miarę jak

rozwijało się i rosło, Helena czuła, jak w jej sercu rozwija się i rośnie miłość do tego osobliwego stworzenia. Nigdy nie była wielka, nie taka, o jakiej piszą w książkach, ale była, pojawiła się, zupełnie niechciana, i już została. Helena myślała czasem, jak by wszystko się zmieniło, gdyby jej dziecko urodziło się zwyczajne, gdyby chodziła z nim do sklepu, gdzie kupowałyby kolorowe twarde landrynki, a potem prowadziłyby je do szkoły i pomagała w stawianiu pierwszych liter. A czasem też myślała, że dziecko podoba jej się takie, jakie jest: zawieszony w próżni, jakby wciąż się jeszcze nie urodziło, nieochrzczone i bezimienne, a więc nieukształtowane, czysta możliwość. Nikt inny na świecie nie miał takiego dziecka.

Gdy Słoneczko nauczyło się chodzić, zaczęli zamykać je w piwnicy — nie mogli przecież pozwolić, że pobiegnie gdzieś, kiedy oni będą w polu albo przy świniach. Nie mieli z tego powodu wyrzutów sumienia, piwnica była co prawda chłodna, ale sucha i w miarę czysta, a dziecko mogło zabrać ze sobą zabawki, które ojciec odkupił tanio od sąsiada, twierdząc, że chce je podarować siostrzenicy w mieście. Słoneczko nie protestowało — odkąd wyrosło z wieku niemowlęcego, przestało płakać i było teraz kilkuletnim berbeciem patrzącym na świat oczami, które zdawały się zbyt dorosłe jak na jego drobną twarz. Wtedy też, mniej więcej w trzecim roku życia Słoneczka, rodzice odkryli jeszcze jedną nietypową cechę swego potomka, jego stopy były bowiem nadzwyczajnie małe, o dziwnym kształcie, tak iż przypominały ukształtowane z ciała kopytka.

— Mamy w domu diabła — powiedział Jan, gdy pierwszy raz zwrócili uwagę na tę anomalię, a Helena na wszelki wypadek przeczesała jasne włoski Słoneczka, by sprawdzić, czy z główki nie wyrastają różki. Tego wieczoru zostawili dziecko w piwnicy na całą noc i nie przynieśli mu kolacji, ale kiedy rano otworzyli drzwi i zastali za nimi zziębniętego, patrzącego z wyrzutem malucha, bez słowa zabrali go do domu, posadzili przy piecu i dali jeść. Do tematu przypominających kopytka stóp nigdy już nie wrócili.

Dziecko było nie tylko wyjątkowo odporne, ale też inteligentne: samo nauczyło się czytać, a także pisać i nim skończyło sześć lat, nie potrzebowało żadnych zabawek poza ołówkiem i kartką czystego papieru. Ojciec uznał to za wyjątkową oszczędność, matka nawet się nie zdziwiła — jej Słoneczko od początku było niezwykle, więc czegoż innego można by się po nim spodziewać?

* * *

Najwcześniejsze dzieciństwo pamiętało jak przez mgłę: długie szeregi schodów, po których chodziło na czworakach tam i z powrotem, a które po latach, kiedy już podrosło, okazały się niskimi schodkami prowadzącymi do tylnego wejścia, zielone tunele wydeptanych w ogrodzie ścieżek i drzwi do innych światów, otwierające się w miejscach, takich jak lufcik przy piecu, czarna rura komina i cebrzyk na deszczówkę, ustawiony pod przeciekającą rynną. Lata miały wtedy duszny zapach zwierzęcego nawozu i źdźbeł trawy roztartych w spoconych dłoniach, wiosny pachniały burzą, błotem i kwiatami jabłoni, a jesień jałowcowym dymem i pieczonymi w popiele kartoflami. Tylko zimy nie miały żadnej konkretnej woni, ich zapach był zapachem białej, zimnej pustki, kartki papieru albo pokoju, który sam w sobie nie ma znaczenia, ale w którym człowiek czeka, aż coś ważnego się wydarzy. Jak u lekarza — Słoneczko знаło to słowo z książek. Może dlatego zimy tak bardzo je fascynowały. Mogło godzinami patrzeć, jak z nieba sypią się białe płatki, i wodzić palcem po wzorach, które mróz wymalował na szybach. Lubiło też chodzić po śniegu bez butów, a rodzice pozwalali na to — dziecko nie wiedziało przecież, co to gorączka czy kaszel. Oczywiście wyjść z domu mogło tylko wtedy, kiedy nikogo nie było w pobliżu, nauczyło się tego jeszcze jako zupełny maluch, a mimo to matka i ojciec nadal dla pewności zamykali je w piwnicy, kiedy tylko z takiego czy innego powodu nie mogli go pilnować. Robimy to dla twojego dobra, mówił Jan, bo pójdiesz gdzieś i napytasz sobie biedy, a Helena dodawała, że świat na zewnątrz, poza ogrodem, jest okrutny i Słoneczko na pewno nie chciałoby się w nim znaleźć.

Ale Słoneczko oczywiście chciało, i to bardzo. Chciało i bało się jednocześnie, ponieważ wierzyło matce. Świat na zewnątrz był piękny, ale też okrutny — zwłaszcza dla takich jak ono. Bo Słoneczko, choć nikt nigdy nie powiedział mu tego wyraźnie, wiedziało, że różni się od zwyczajnych dzieci, a ludzie nie lubią tego, co inne. Dlatego, choć świat je kusił, nie próbowało uciec. Za każdym razem mówiło sobie: Jeszcze nie. Nie dzisiaj. Później, jak będę duży i silna. „Jeszcze nie” stało się melodią jego dzieciństwa, rozpoznawaną jak miarowe bicie własnego serca w ciemności. Nie dzisiaj. Kiedyś tak, ale nie teraz.

W oczekiwaniu na „kiedyś” żyło, podglądając inne światy, które ukazywały mu się w bramach. Pewnego dnia w beczce na deszczówkę

zobaczyło kobietę przy biurku — była stara, przynajmniej z punktu widzenia Słoneczka, i nieszczęśliwa, choć o tym drugim chyba nawet nie wiedziała. Nie robiła nic szczególnego, po prostu siedziała i paliła papierosa, podczas gdy przez okno wpełzał nieśmiało świt, szary niczym mysie futro i drżący jak zostawiony na zimnie pies. Za plecami kobiety wisiał obrazek przedstawiający różową żyrafę w pomarańczowej czapce. Słoneczko wiedziało, że namalowało go dziecko, którego już nie ma, i że właśnie z tego powodu, a także z wielu innych, kobieta jest smutna.

Innym razem zobaczyło dwoje nastolatków w pokoju. Ona miała na sobie krótką koszulkę i majtki, on nosił spodnie tak wymięte, że wyglądały, jakby w nich spał, a kiedy dziewczyna zaproponowała, że może się z nią pieprzyć, przestraszył się wyraźnie. Słoneczko znało słowo „pieprzyć”, brudne i włochate jak kłęb kurzu i kociej sierści znaleziony pod szafą. Wiedziało, że brzydko jest używać takich słów.

Większość tego, co pokazywały mu bramy, było smutne, ale czasem zdarzały się też radosne sceny, tyle że wszystkie okupione były bólem, bo nie ma radości bez bólu. Żeby być szczęśliwym, trzeba najpierw wyciąć z siebie wszystko to, co przeszkadza — dlatego widziani w bramach ludzie szli do szczęścia, zostawiając za sobą krwawe ślady. Słoneczko wiedziało, że ono też kiedyś tak pójdzie, nie oglądając się za siebie. Kiedyś, nie teraz. Tylko wycinać nic z siebie nie chciało, bo w swoich oczach było doskonałe.

* * *

I tak Słoneczko rosło, a razem z nim rosła miłość jego matki, która dawała jej siłę. Helena coraz rzadziej kiwała posłusznie głową, kiedy jej mąż mówił, co i jak ma być, coraz częściej miała własne, zupełnie inne pomysły. Któregoś dnia, kiedy Słoneczko skończyło jedenaście lat, poszła do męża do stodoły i oznajmiła, że tak dłużej nie może być.

Jan podniósł wzrok znad wideł, które właśnie naprawiał.

— Co, u diabła, masz na myśli? — Tak powiedział: u diabła, a słowo wyskoczyło z jego ust okrągłe, czarne i kosmate.

Helena stała niepewnie, miętosząc w rękach poły fartuszka — bądź co bądź sprzeciwianie się mężowi wciąż było dla niej czymś nowym i nie potrafiła tego zrobić ot tak, po prostu. Każde szczęście musi być okupione bólem, pomyślała, patrząc na sękate pięści Jana i widły w jego dłoniach, a miłość dodała jej odwagi.

— Słoneczko jest coraz większe i starsze — oznajmiła. — Nie możemy trzymać go w piwnicy do końca życia. Musi iść do ludzi, nauczyć się wśród nich żyć. To możliwe — dodała szybko, zanim Jan zacznie krzyczeć, a ją opuści odwaga. — Wyprowadzimy się stąd, sprzedamy wszystko, a potem pojedziemy do Katowic. Mam tam kuzyna, który pracuje dla partii.

Helena umilkła, zadowolona ze swojego wywodu. Praca dla partii wtedy, tuż po wojnie, brzmiała w uszach prostych ludzi jak zakłęcie. Ludzie z partii mogli wszystko — na przykład załatwić Słoneczku dokumenty, powołać je mocą swojej władzy z nieistnienia do istnienia, ukształtować i zmienić całą jego przeszłość tak, jak zmieniali przyszłość Polski. Oczywiście Słoneczko musiałoby pójść do lekarza, ale i to da się przecież załatwić. Istnieją możliwości, powiedziała kobieta, a my grzeszymy, nie chcąc z nich skorzystać.

Jan wzdrygnął się, wypuścił z rąk widły i zacisnął pięści. Helena powtórzyła jeszcze raz to samo — że wszystko można zmienić, i przeszłość, i przyszłość, że kuzyn w partii i dobry lekarz. Mężczyzna wiedział, że jego żona ma rację. Dlatego właśnie ją uderzył — żeby poczuć się lepiej, bo czuł, jak słowo „grzech” rośnie w nim i łaskocze od środka. A kiedy płakała z twarzą zasłoniętą fartuchem, kazał jej się zamknąć — to słowo z kolei wyszło z jego ust metaliczne i pachnące olejem, jak świeżo naoliwione zawiasy.

— Zobaczymy, co da się zrobić — powiedział. * * *

Najpierw zamierzali udać się do lekarza i zapytać, czy Słoneczku w ogóle można pomóc. Jan postawił taki warunek — zanim sprzedadzą majątek i poproszą o pomoc kuzyna z partii, muszą dowiedzieć się, czy to wszystko ma sens. Helena zgodziła się, kiwając milcząco głową jak za dawnych lat. Cieszyła się już, że wygrała.

Wszystko musiało się odbyć w tajemnicy, dlatego wyszli z domu przed świtem, gdy cała wieś jeszcze spała. Słoneczko miało na sobie swoje najlepsze spodnie i różową, piękną bluzeczkę z falbankami — ojciec zażądał, żeby wyglądało „normalnie”, ale matka odparła, że przecież to właśnie jest w przypadku Słoneczka normalne. Jan wyjątkowo nie dyskutował, tylko burknął coś o przynoszących wstyd bachorach, a słowa uleciały z jego ust jak pachnące mydłem bańki i szybko zniknęły, co oznaczało, że nie trzeba się nimi za bardzo przejmować. Może zresztą na łaskawość ojca wpłynęło to, że Słoneczko tak czy inaczej musiało schować

bluzeczkę pod ciepłą kurtką. Była wczesna wiosna, nocą chwytał jeszcze mróz i kałuże na jedynej ulicy we wsi pokrywała warstwa cienkiego lodu. Słoneczko szło między rodzicami, trzymając każde z nich za rękę, a za nimi szedł chudy podwórkowy kundel. Jan usiłował odpędzić go kamieniem, ale pies nadal trzymał się z tyłu i tak odprowadził ich aż na odległy o trzy wsie przystanek autobusowy. Kiedy tam dotarli, niebo prawie całkiem się przejaśniło, mróz puścił, a zamarznęte kałuże zmieniły się w małe błotniste bajorka. Słoneczko nie ominęło żadnej z nich, zdecydowane cieszyć się każdą chwilą tej wyprawy. Potem przyjechał autobus i to też było przeżycie — jechać w tłumie zmierzającym do pracy w fabryce, słuchać rozmów i patrzeć na szare, zmęczone twarze. Słoneczko cały czas czekało z drżeniem, aż ktoś zrobi mu krzywdę, ale nic takiego nie nastąpiło, ludzie okazali się całkiem mili — jedna starsza pani nawet nazwała go „ładną dziewczynką” i dała mu kawałek bułki, a inna, która dosiadła się później, powiedziała, że to już duży chłopak i pewnie pomaga rodzicom w gospodarstwie. Może świat wcale nie jest taki straszny, pomyślało Słoneczko, kiedy autobus zatrzymał się w Żywcu. Może nie muszę więcej czekać.

Później była podróż pociągiem i wreszcie duże, gwarne miasto, które oszołomiło Słoneczko, chociaż wcześniej czytało o takich miastach w książkach i czasem nawet widywało je przez bramy. Szło, odwracając co chwila głowę, patrząc na wysokie budynki, samochody i podzwaniające w rześkim powietrzu tramwaje. Śniadanie zjedli w barze mlecznym — jajecznica i posmarowany masłem chleb, które Słoneczku smakowały jak uczta godna króla. I wreszcie wizyta u lekarza, w zimnym i ciasnym gabinecie, który wydawał się cały z metalu, choć tak naprawdę stało w nim drewniane biurko, dwa zwyczajne krzesła i zielona leżanka za białym parawanem. Lekarz zdjął ze Słoneczka bluzkę z falbankami, spodnie i nawet bieliznę, a kiedy dziecko próbowało protestować, matka uciszyła je syknięciem. Badania trwały długo, prawie pół dnia — bo były jeszcze zdjęcia, żeby zobaczyć, co Słoneczko ma w środku, było kręcenie siwą lekarską głową, mrużenie i poprawianie zjeżdżających z nosa okularów. Wreszcie doktor wydał wyrok. Ciało Słoneczka, oznajmił, w równej mierze wykazuje cechy obu płci i dziecko samo musi zdecydować, czy woli być chłopcem, czy dziewczynką -wtedy zrobi mu się operację i tym samym uczyni normalnym człowiekiem.

* * *

Helena była szczęśliwa, że jej Słoneczko może być, kim tylko zechce, Jan wręcz przeciwnie, zirytował się, jakby naprawdę przez te wszystkie lata sądził, że dziecko jest całkiem zwyczajnym chłopcem, tylko ukrytym za pozorami dziewczynki. Albo odwrotnie — dziewczynką, która trochę udaje chłopca. I stało się to, czego kobieta się obawiała: ojciec zmienił zdanie. Tak po prostu i zupełnie bez powodu. A może powód był, może lekarz podał za wysoką cenę? Helena mogła tylko zgadywać, bo tak jak przed laty, mimo całej swojej odwagi i miłości, z najważniejszej rozmowy została wykluczona.

— To od początku był głupi pomysł — warknął Jan. — I tak nic by z tego nie wyszło, a my tylko stracilibyśmy pieniądze.

Gdy padło magiczne słowo, Helena wiedziała już, że przegrała. Kiedy jej mąż zaczynał mówić o pieniądzach, zacinął się w sobie i cały jakby kamieniał. Jego słowa były wtedy twarde i ostre, jak odłamki skał, którymi ciskał w żonę tak, żeby jak najbardziej ją zranić. A gdy słowa nie wystarczały, w ruch szły pięści. Dlatego Helena nawet nie próbowała protestować. Przez następne dwa tygodnie była tą samą cichą, posłuszną żoną, którą Jan znał przez całe życie, przez dwa tygodnie bez słowa podawała mężowi obiad, sprzątała za nim bałagan, prała jego brudne skarpetki i kiwała głową, kiedy perorował, że przed wojną to były czasy, a teraz tego nie wolno, tamtego nie wolno i do tego jeszcze wszystko takie drogie.

Potem Jan Kowalczyk umarł.

Utopił się w beczce z deszczówką, tej samej, w której Słoneczko dawno temu zobaczyło smutną kobietę z rysunkiem żyrafy za plecami. Takie rzeczy się zdarzają — chłop wraca podpity z karczmy, potknie się na podwórku i nieszczęście gotowe. Dlatego nikt za bardzo nie dociekał, co przydarzyło się Janowi w tę księżycową noc, kiedy tak mocno pachniał las, a do ogrodu przyszły wychudłe po zimie lisy, świecące w ciemności złotymi ślepiami. Helena, jak na wdowę przystało, ubrała się w czarną suknię i zamówiła u księdza pogrzeb. Na jej twarzy nie było wielkiego smutku, ale i to wieś mogła zrozumieć — która baba po piętnastu latach małżeńskiego obijania gnatów będzie szczerze opłakiwać swojego ślubnego?

Na skromnej mszy zjawilo się paru ludzi z wioski, zwabionych bardziej nudą niżli przywiązaniem do zmarłego, a proboszcz wygłosił kazanie o tym, że nie znamy dnia ani godziny, kiedy Bóg do nas przyjdzie i osądzi nasze grzechy. Siedząc w pierwszej ławce, Helena myślała o chwili, gdy Bóg przyszedł do Jana, w ostrym zapachu lasu, w ciemności rozświetlonej księżycem i lisimi oczami, a potem chwycił go i wepchnął do beczki z zimną deszczówką. Pomyślała też o chwili, kiedy to po nią przyjdzie Bóg i złapie ją za kark. Wiedziała, że żadne grzechy nie zostaną jej wtedy wybaczone, ale — silna miłością — nie zamierzała się tym teraz przejmować.

* * *

Słoneczko całą mszę i cały pogrzeb przesiedziało w piwnicy, ubrane stosownie w czarną spódniczkę i białą koszulkę z czarnym krawatem. Helena pozwoliła mu wyjść dopiero wieczorem, kiedy ostatni żałobnicy opuścili jej dom. Nie było ich zresztą dużo — ot, parę kobiet, które poczęstowała domowej roboty winem i które bez większego powodzenia starały się powiedzieć o zmarłym coś pozytywnego. Miał dobrą rękę do roślin, oznajmiła jedna — choć wcale nie miał — a druga dodała, że co prawda pił, ale nie tak dużo jak inni, właściwie to prawie wcale. Pech, że akurat jemu taka śmierć się przytrafiła. Trzecia dorzuciła, że oszczędny był, i to podchwyciły wszystkie, cmokając ze współczuciem — ach, oszczędny, prawdziwa szkoda, że takiego dobrego chłopca tak wcześnie Bóg do siebie zabrał.

Kiedy wreszcie sobie poszły, Helena usiadła ze Słoneczkiem w kuchni.

— Chcę z tobą poważnie porozmawiać — powiedziała. — Stało się nieszczęście, ale musimy jakoś żyć dalej, ty i ja, matka i córka. Albo syn — dodała pospiesznie. — Powinnaś wybrać, kim chcesz być. Powinieneś — poprawiła się, bo kiedy człowiek ma dziecko takie jak Słoneczko, gramatyka może dać mu w kość. — Co wybierasz?

— Nic — odparło Słoneczko. — Nie chcę się zmieniać.

— Musisz — oznajmiła Helena, ale dziecko uparcie kręciło głową. Tego dnia poszło spać bez kolacji, a matka płakała cicho, nie mając odwagi prosić Boga o siłę, bo i tak dał jej dużo.

Następnego ranka jeszcze przed śniadaniem znowu posadziła Słoneczko przy stole i pokazała mu błyszczącą monetę, jedną z tych, które gromadził oszczędny ojciec.

— Skoro nie chcesz wybrać — powiedziała — zdamy się na wyrok Boga. Orzeł chłopak, reszka dziewczynka.

Rzucony w powietrze pieniążek ze słonecznym brzękiem uderzył w stół, potoczył się i spadł, ciągnąc za sobą smugę blasku. Helena schyliła się i zaraz, wiedzona instynktem, wyprostowała plecy. Słoneczka za stołem już nie było, Słoneczko już biegło w stronę drzwi. Matka dopadła je w ogrodzie, skarciła solidnym klapsem i zamknęła w piwnicy, a kiedy wróciła do kuchni, zupełnie zapomniała, że miała podnieść leżącą na podłodze monetę.

* * *

Od tej pory życie toczyło się stałym rytmem: rano Helena przychodziła do piwnicy z pajdą posmarowanego masłem chleba i kubkiem gorącego mleka, stawiała przed Słoneczkiem śniadanie i pytała, czy już wybrało. Słoneczko kręciło głową, więc matka wracała do domu, nigdy nie zapominając o zamknięciu za sobą drzwi. Zajmowała się swoimi obowiązkami, a kiedy przychodziła pora obiadu, szła z talerzem do piwnicy, gdzie wszystko się powtarzało, podobnie jak parę godzin później, w czasie kolacji. Tak minęły wiosna i lato. Słoneczko rosło w tym czasie, a matka przeciwnie: kurczyła się, jakby każda odmowa odbierała jej odrobinę życia, a razem z nim miłości — we wrześniu Helena była już tak chuda i malutka, że wyglądała jak dziewczyna niewiele starsza od Słoneczka. Aż pewnego dnia przestała się kurczyć, zaczęła za to znikać na całe dnie, zaniedbując gospodarstwo. Wyjeżdżała wcześniej rano, starannie umalowana i w eleganckiej sukience, a wracała wieczorem, w pewien sposób zmartwiona i radosna jednocześnie, jak ktoś, kto nie jest pewny, czy zasługuje jeszcze na szczęście, ale bardzo chciałby w to uwierzyć.

Słoneczko wiedziało, że to zły znak, ale nie mogło nic zrobić, czekało więc cierpliwie, przy blasku świecy zapełniając kolejne strony nierównym pismem i zaglądając w bramy do innych światów, które otwierały się w kątach pełnych pajęczyn i kubkach pełnych mleka. Jesień też już mijała, gdy którejs nocy Słoneczko znowu poczuło zapach lasu, przez szparę w drzwiach wpadł blask księżycy tak jasny, że piwniczne schody zapłonęły srebrem, a w ciemności przemknęły lisie cienie — i dziecko wiedziało już, że znowu zdarzy się coś złego. Całą noc przesiedziało z zamkniętymi oczami, a kiedy rano matka pozwoliła mu wyjść, zobaczyło odbite w pierwszym śniegu ślady, biegnące od furtki aż do dziury w płocie. Ślady

te wypełnione były krwią, która wyglądała tak, jakby w odciskach stóp kładła się miękko czerwień wschodzącego słońca.

* * *

— To byli ludzie z miasta — powiedziała Helena. — Przyjechali nocą samochodem, stanęli pod lasem i poszli na pole. Mieli ze sobą coś, co wyglądało jak duży worek, a kiedy wracali, worka już nie było.

— A czemu weszli do naszego ogrodu? — zapytało Słoneczko, pogryzając kromkę chleba z masłem.

— Nie wiem, może byli pijani. Albo zmylili drogę w ciemności.

— Przecież księżyc jasno świecił.

— Dla miastowych nawet takie noce mogą być zbyt ciemne. Oni tam mają tyle lamp, że noc wygląda jak dzień.

— Musieli przynieść krew na butach — uznało Słoneczko, a matka skinęła głową.

— Obserwowałam ich przez okno, a potem, ledwo się rozjaśniło, poszłam na to pole. Ziemia była poruszona, jakby coś zakopali.

— Powiesz o tym komuś?

— To nie nasza sprawa. My musimy myśleć o tym, co dla nas najważniejsze. Zdecydowałeś już, kim chcesz być? Zdecydowałaś?

Gdy Słoneczko zaprzeczyło, Helena zaczęła płakać.

— Tyle dla ciebie zrobiłam — powiedziała przez łzy — a ty jesteś takim niewdzięcznym, złym dzieckiem. Złe dzieci się oddaje, złych dzieci rodzice nie chcą. Zastanów się lepiej nad sobą.

Zamiast się zastanawiać, Słoneczko myślało o krwi w ogrodzie i poruszonej zmarzniętej ziemi.

I o tym, kto mógł pod tą ziemią leżeć. Kiedy ktoś znika, ktoś inny się pojawia, takie jest prawo życia. Czekają więc dalej. Tymczasem zima zaczęła się na dobre, w ogrodzie potworzyły się wysokie do kolan zaspy, a głodne lisy coraz częściej przemykały pod płotem w księżycowe jasne noce.

Matka zacięła się w sobie, skamieniała, zupełnie jak ojciec w dawnych czasach. Słoneczko poznało po tym, że podjęła decyzję i naprawdę zamierza je oddać.

Nie zmieniło jednak zdania.

Przyszli osobno, najpierw chłopak, potem dziewczyna. On zjawił się nocą, kiedy księżyc był cienki jak obcięty paznokieć, a ciemność miała

duszający zapach zwierzęcego futra i strachu. Zbliżył się do drzwi nieśmiało, posapując przez nos, kucnął i spróbował zajrzeć do piwnicy, ale zobaczył tylko mrok, a w nim błyszczące oczy, w których otwierały się bramy do innych światów. Szepnął dziewczęce imię i zapytał:

— To ty? Jesteś tam?

— To ja — odparło Słoneczko. — Pomóż mi, proszę.

— Co się stało?

— Nie mogę otworzyć drzwi.

— Jezu — jęknął chłopak. — Spróbuję cię jakoś wyciągnąć. Zaczekaj.

— Musisz się spieszyć, tu nie jest bezpiecznie.

— Zaraz wrócę — obiecał.

Jednak zamiast niego zjawiła się dziewczyna. Noc, kiedy przyszła, była jasna i srebrzysta, a ciemność nie pachniała niczym i wydawała się tak lekka, że można by złapać ją jedną ręką i zedrzeć ze świata jak zasłonę. Dziewczyna kucnęła przy szparze, wyszeptwała chłopięce imię i zapytała:

— To ty? Jesteś tam?

— To ja — odparło Słoneczko. — Pomóż mi, proszę.

— Co się stało?

— Nie mogę otworzyć drzwi.

— Jezu — jęknęła dziewczyna. — Spróbuję cię jakoś wyciągnąć.

Zaczekaj.

— Musisz się spieszyć, tu nie jest bezpiecznie.

— Zaraz wrócę — obiecała.

* * *

Następnego dnia matka przyszła jak zwykle ze śniadaniem i z płaczem patrzyła, jak Słoneczko pije ciepłe mleko i je kromkę posmarowaną masłem bardziej obficie niż zwykle.

— To już jutro — oznajmiła. — Umówiłam się z pewnym człowiekiem, że przyśle po ciebie swoich ludzi. Będzie ci u niego dobrze, boja nie mogę dłużej się tobą zajmować. Sam przecież rozumiesz — dodała, zaraz poprawiając się na — sama przecież rozumiesz. Nie jestem stara, mogę jeszcze wyjść za mąż, mieć inne dzieci. Takie, które będą normalne i które nie powiedzą „nie”, kiedy każę im coś zrobić. Dlatego właśnie muszę cię oddać, rozumiesz to, prawda?

Słoneczko zrozumiało, że matka w rzeczywistości prosi o wybaczenie, skinęło więc głową — to nie miało znaczenia, bo Bóg i tak miał przyjść po

nią, złapać za kark i wepchnąć do beczki pełnej wody. Nie wierzyło przy tym, że obcy człowiek będzie dla niego dobry, i wiedziało, że matka również w to nie wierzy. Mimo to potakiwało przez cały czas, kiedy kobieta mówiła, a gdy na chwilę odwróciła wzrok, spróbowało wymknąć się z piwnicy. Helena jednak okazała się zaskakująco szybka i silna jak na osobę tak szczupłą, bo nim dziecko zdążyło dotrzeć do schodów, złapała je, po czym uderzyła w twarz.

— O, nie — powiedziała. — Nigdzie nie pójdziesz. Umówiłam się już, że cię oddam, a ten człowiek nie lubi, kiedy nie dotrzymuje się obietnic. Dlatego musisz tu zostać. Rozumiesz przecież, prawda? — dodała, ale tym razem Słoneczko nie skinęło głową.

* * *

Słoneczko starało się nie zasnąć tej nocy. Czuwanie było ważne, czuwanie dawało szansę na ratunek — bo przecież pomoc miała przybyć. Dziecko robiło więc to, co umiało najlepiej: czekało, choć oczy mu się kleiły, a w piwnicy było coraz zimniej. Stojąca na klepisku świeca malała, aż wreszcie został z niej tylko nikły płomyk pełgający w kałuży wosku. W tej kałuży Słoneczko zobaczyło smutną kobietą z rysunkiem żyrafy za plecami. Tym razem naprzeciwko niej siedział ubrany w różowy sweter chłopak o dziewczęcej urodzie.

— Ta historia nie tak miała wyglądać — powiedział. — Ja powinienem umrzeć w tamtym domu, nie ona.

Smutna kobieta paliła papierosa i kiwała głową, że tak, zgadza się — ale tak naprawdę nie słuchała, tylko myślała o innych rzeczach: o domu, o dziecku, które narysowało żyrafę i którego już nie było. Chłopak opowiadał kolejną historię, podczas gdy za oknem wielkimi białymi płatami padał śnieg.

Słoneczko zasnęło, a kiedy się obudziło, w piwnicy było już całkiem ciemno. Dziecko odruchowo wstrzymało oddech, zeszywniałe ze strachu. Po chwili odetchnęło z ulgą: ciemno, znaczy noc, do rana daleko. A matka nie przyjdzie wcześniej niż rano. Jednak ulga nie trwała długo — coś było nie tak, coś się zmieniło. W piwnicy zrobiło się zimniej niż zazwyczaj i jakby... wilgotno? Słoneczko zadrzało, gdy jego twarz musnął chłodnymi palcami wiatr, a zaraz potem poczuło dotyk innych palców, znacznie drobniejszych i bardziej lodowatych.

Do piwnicy wpadał śnieg, a to znaczyło, że drzwi są otwarte.

Wymacując sobie drogę, Słoneczko popęzło schodami w górę, w grudniowe czarne zimno. Drzwi naprawdę okazały się otwarte — dziecko do ostatniej chwili w to nie wierzyło. A za nimi rozciągał się cały wielki świat.

Słoneczko było wolne, mogło teraz wyjść przez ogrodową furtkę i pójść, dokąd tylko chciało. Zamiast tego skuliło się pod drzwiami jak zaleknione zwierzę. Tak długo tkwiło w zamknięciu, że ta nagła zmiana bardziej przerażyła je, niż uszczęśliwiła. I wciąż było ciemno, nie tak bardzo jak w piwnicy, ale jednak zbyt ciemno na samotną wędrówkę w nieznane. Słoneczko rozejrzało się. Wiatr gnał po niebie brzuchate chmury, czarne i srebrzyste na brzegach, gdzie podświetlał je blask księżyca, śnieg przestał już padać, ale nadal panował przenikliwy ziąb. W takie noce nawet lisy nie wychodziły ze swoich nor, żeby poszukać pożywienia.

Brnąc w śniegu po łydki, Słoneczko dotarło do kępy krzewów i przycupnęło w nich. Postanowiło, że zaczeka do świtu, a kiedy tylko trochę się rozjaśni, spróbuje znaleźć drogę na przystanek autobusowy. Matka nie wyjdzie przecież teraz, żeby go szukać — wstawiała co prawda wcześniej, ale nie aż tak.

Chyba że znowu coś ją zaniepokoi, jak wtedy, gdy ludzie z miasta przyjechali w środku nocy ze swoim workiem i wiarą, że zamarznęta ziemia ukryje ich grzechy.

Słoneczko wyrzuciło z głowy tę myśl i spróbowało znaleźć wygodniejszą pozycję. Wciąż było zimno, ale to mu nie przeszkadzało. Przywykło przecież do chłodu i niewygody.

Czekało. Znowu. Czasem miało wrażenie, że całe jego dotychczasowe życie to ciągłe czekanie. Ale już koniec, pomyślało. Dzisiaj wreszcie ucieknie. Nie kiedyś, tylko teraz.

Zza chmur wychynął cienki rogalik księżyca. Srebrzysta poświata spłynęła w dół, zaplątała się w gałęzie kasztanowca i podświetliła mgłę, która sunęła przez ogród niczym forpocza leśnych duchów. Z nieba sfrunął samotny płatek śniegu, a Słoneczko odruchowo chwyciło go na dłoń i zlizalo — smakował chłodnym, nijakim błękitem, jak słowo „wieczność”.

W ciemności skrzypnęła furtka i dziecko drgnęło. Ktoś wszedł do ogrodu, ktoś wysoki i szczupły. Chłopak, może już mężczyzna. Słoneczko wstrzymało oddech, kuląc się w obawie, że dosięgnie je żółty krąg latarki. Ale nieznajomy nie zmierzał w stronę ukrytego dziecka, tylko szedł prosto

do piwnicy. Mruknął coś do siebie na widok otwartych drzwi, a po chwili wahania wślizgnął się do środka.

Od wschodu na niebo wpełzał świt. Mrok rozmywał się coraz bardziej, aż do świetlistej różo-wawej szarości, w której Słoneczko widziało już wyraźnie drzwi do piwnicy, a także kłódkę i spoczywający w niej klucz. Wstało — właśnie wtedy furtka skrzypnęła po raz kolejny, a do ogrodu wślizgnął się drugi cień. Dziewczyna, może już kobieta. Słoneczko wycofało się głębiej w krzewy, ale nieznajoma nie zwracała na nie uwagi. Kierowała się w stronę piwnicy, jakżeby inaczej. Na widok otwartego na oścież wejścia nie mruknęła nic, tylko od razu weszła do środka.

Słoneczko zerwało się, zamknęło za nieznajomą drzwi, a potem założyło kłódkę i przekręciło klucz. Kiedy odchodziło, za plecami usłyszało bębnienie w deski i przerażone okrzyki. Zignorowało jedno i drugie. Nareszcie było wolne.

* * *

Słoneczko miało pecha, bo w szarówce świtu zmyliło drogę i przez dobre dwie godziny błąkało się po lesie. Miało też szczęście, bo wreszcie udało mu się dotrzeć do szosy, gdzie zatrzymało ciężarówkę wiozącą drewno do fabryki mebli. Po wczorajszym świętowaniu urodzin chrześniaka kierowca jeszcze nie do końca wytrzeźwiał i może dlatego widok samotnego zmarzniętego dziecka na skraju drogi nie zrobił na nim większego wrażenia.

— Dokąd? — zapytał, zatrzymując ciężarówkę.

— Nie wiem — powiedziało Słoneczko. — Do miasta.

— Z domu nawiałeś, co? — Kierowca był pełen zrozumienia. On też kiedyś uciekł, dawno temu, kiedy świat był kolorowy i smakował jak lody jedzone na wagarach w pierwszy dzień wiosny. A Słoneczko, choć młodsze, wyglądało na piętnaście, nawet szesnaście lat. I oczywiście mężczyzna uznał je za chłopca, to się rozumiało samo przez się. Dziewczyny nie wycinają rodzicom takich numerów.

— Ojciec tyłek ci spierze, jak wrócisz — powiedział z humorem, jakby to był świetny dowcip, a potem zawiózł niespodziewanego pasażera do Żywca. Niech się młody zabawi, pomyślał, kiedy wysadził go na dworcu. Dopiero później zauważył, że dzieciak zostawił coś na przednim siedzeniu — było to kilkanaście kartek wypełnionych nierównym pismem, wyglądającym trochę tak, jakby ktoś pisał przy bardzo słabym świetle.

Albo nawet w ciemności. Kierowca nie należał do miłośników lektury — ostatni raz książkę miał w ręku jeszcze w szkole — dlatego wepchnął kartki do schowka i zapomniał o nich. Dwa lata później znalazła je jego córka, a pierwszą historią, którą przeczytała, była „Opowieść o dziwadłach”.

VIII.

Opowieść o dziwadłach

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Marek kupował bułki. Spojrzał na wyświetlacz — Natalia, oczywiście. Nie odebrał-też oczywiście. Kobieta przy kasie patrzyła na niego dziwnie, kiedy chował do portfela resztę, a telefon wciąż wygrywał mu w kieszeni melodyjkę *Jingle Bells*. Zainstalował ją specjalnie na święta i zapomniał zmienić. Teraz, trzy miesiące po Wigilii, skoczna muzyczka brzmiała szczególnie absurdalnie, jak nutowy odpowiednik podróżnika w maleńkiej kapsule czasu.

Telefon dzwonił, gdy Marek wychodził ze sklepu i gdy szedł przez parking. Raz, drugi, trzeci. Na wyświetlaczu miał już cztery nieodebrane połączenia, a ludzie, których mijał, patrzyli na niego z dezaprobatą. Przynajmniej tak mu się wydawało. Był już bliski wyrzucenia komórki w krzaki, wyszarpnął ją nawet z kieszeni, zamiast tego jednak — zdesperowany — wcisnął zieloną słuchawkę i przysunął aparat do ucha.

— Gdzie jesteś? — W głosie Natalii nie było złości, tylko niepokój. Aneta jednak miała rację: żonie Marka naprawdę przeszła ochota na awantury.

— Muszę coś jeszcze załatwić. Wrócę niedługo, pewnie dziś wieczorem. Ewelinie powiedziałem już, że nie będzie mnie dzisiaj w pracy.

— Masz dziwny głos... Martwię się o ciebie.

— Wszystko jest w porządku. — Nie zabrzmiało to właściwie. Mieli przecież swoje rytuały, swój prywatny język i ton głosu, jakim przekazywali szczególnie ważne informacje. A Marek powiedział „Wszystko jest w porządku” tak, jak powiedziałby to ktoś obcy.

— Nie wierzę.

Jasne, że nie.

— Niech ci będzie. Mam trochę kłopotów, ale wszystko jest pod kontrolą. Przepraszam, kotku, że tak wyszło. Wrócę wieczorem, to

pogadamy.

Tym razem jakimś cudem udało mu się powiedzieć to prawie naturalnie, jakby na moment stał się dawnym sobą. Wezbrała w nim fala obezwładniającej miłości, która przepłynęła, pozostawiając po sobie osad gorzkiego smutku.

— Chodzi o tę kobietę, która do ciebie dzwoniła, tak? — Niepokój zelżał i w głosie Natalii słychać było już tylko napięcie. — Zresztą nie odpowiadaj, porozmawiamy, jak wrócisz. I lepiej, żebyś miał dobre wytłumaczenie.

Marek cieszył się, że nie musi odpowiadać — po raz drugi nie zdołałby użyć właściwego tonu. Czuł się tak, jakby spadał: dziwne, mdlące uczucie, gdy wyslizgiwał się z samego siebie i szybował w ciemność, gdzie wciąż płonęły jesienne ogniska.

* * *

Kiedy wrócił, Aneta siedziała przy komputerze, nadal w koszulce, choć tym razem innej, z mokrymi po prysznicu włosami.

— Pisziesz coś? — Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że kobieta wpatruje się szklanym wzrokiem w wygaszacz ekranu. Brwi miała zmarszczone, a na twarzy wyraz, którego nie potrafił odczytać.

— Niczego nie piszę. — Dopiero teraz na niego spojrzała. — Daj te bułki, zrobię kanapki.

W kuchni otworzyła puszkę pasztetu i drugą, z paprykarzem szczecińskim. Marek miał ochotę spojrzeć na datę przydatności, ale zrezygnował. Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć.

— To skąd się te historie wzięły w twoim komputerze? — Podniosła na niego wzrok, a on poczuł nagły przypływ irytacji. — Jezu, Aneta, możesz choć raz odpowiedzieć na proste pytanie?

— Przepisałam je.

— Co?

— Nie piszę tych historii, tylko je przepisuję. I nie mam pojęcia, skąd się wzięły. Kiedy mój ojciec zmarł, znalazłam je w szpargałach w jego biurku. Były pisane ręcznie, ołówkiem, i wyglądały na stare. Oryginalnie zresztą powinno ich być więcej, wyglądają na niekompletne.

— I tak po prostu je przepisujesz? Po cholere?

Aneta wzruszyła ramionami.

— Pismo jest już prawie zupełnie zatarte. Powiedzmy, że wydawało mi się ważne, żeby te historie zachować.

— Nigdy nie pytałaś nikogo z rodziny, skąd twój ojciec je wziął?

— Pytałam. Nikt niczego nie wiedział. Jedz. — Wepchnęła mu w rękę talerz z kanapkami i zaraz sama wgryzła się w bułkę. Jadła szybko, żarłocznie, bez śladu elegancji. Pamiętał, że kiedyś to go podniecało.

— Kłamiesz — powiedział świadomie brutalnie, ze złością. Żeby ją zranić, żeby odzyskać kontrolę nad sobą i własnym życiem. — Przez cały czas wciskasz mi jakiś kit. Jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. Te wszystkie głupoty, które opowiadałaś. Że twój ojciec handluje żywym towarem. Pamiętasz?

— Miałam osiemnaście lat i chciałam zwrócić na siebie twoją uwagę. Co innego mogłam zrobić?

— Nie wiem. Umalować się? Pokręcić tyłkiem?

Znowu wzruszyła ramionami — ten gest z jakiegoś powodu irytował i jednocześnie budził rozczylenie. I Marek, mimo całej złości, trochę Anetę rozumiał. Była dziewczyną z patologicznej rodziny, ani ładną, ani specjalnie zdolną. Co innego mogła zrobić, jak nie uczynić siłę ze słabości, dziwacznie się ubierać i opowiadać bajki o ojcu przestępcy? To była jego wina, że dał się na to nabrać.

Patrzyła spokojnym, uważnym wzrokiem, jakby świetnie wiedziała, co mu chodzi po głowie.

— Nie ja wymyśliłam, żeby zabić tę dziewczynę — powiedziała. — To był twój pomysł.

* * *

To wszystko miało sens wtedy, tamtego wieczoru, kiedy siedzieli na brzegu stawu ze stopami w wodzie i butelkami piwa w rękach. Za nimi dogasało ognisko i dogorywała impreza, przed nimi umierał wrzesień, a razem z wrzesniem cała młodość. Marek był o krok od upicia się na smutno, dym z papierosa drapał go w gardło jak pierwsza oznaka szloch. Nie chciał patrzeć w ciemność, ale ona i tak spojrzała na niego, a teraz czekała tylko na zaproszenie, by wejść do środka.

Przed chwilą Aneta powiedziała mu, że jej ojciec handluje żywym towarem.

— Znaczący, dziewczynami? — upewnił się, mając wrażenie, że właśnie robi z siebie koncertowego idiotę.

— I chłopakami. Nie zwykłymi, tylko dziwadłami.

— Dziwadłami? — W ustach Anety słowo miało soczyste, mroczne brzmienie, jak ze starych filmów. W jego zabrzmiało tylko głupio.

— Dziewczyny albinoski, karły i kobiety z brodą. Jak dawniej w cyrku. Są ludzie, którzy płacą za takie rzeczy.

— Za seks?

— Za seks albo i coś innego. Nie wiem, mój ojciec tylko sprzedaje towar.

— Ściemniasz. Twój ojciec przyznał ci się, że handluje ludźmi?

Wzruszyła ramionami, a Marek niespodziewanie poczuł rozchodzący się od strony żołądka chłód. Spotykał już dziewczyny, które na różne sposoby próbowały go wkręcać, ale Aneta nie sprawiała wrażenia jednej z nich. Zachowywała się tak, jakby było jej wszystko jedno, czy Marek uwierzy, czy nie. Może dlatego właśnie, paradoksalnie, zaczynał wierzyć.

— Sama się domyśliłam. Parę razy widziałam, jak przyjeżdżają samochodem. Ojciec zamyka dziwadła w piwnicy, a rano wyjeżdżają innym samochodem. Ma dwóch pomocników, jeden wygląda trochę jak duża, wiecznie głodna Świnia, a drugi jak wychudzony po zimie wilk. Ten świnioваты odzywa się rzadziej, ale tak naprawdę to on w tej parze rządzi. I jest groźniejszy.

— Musisz o tym komuś powiedzieć.

— Mam donieść na własnego ojca? — Roześmiała się. — Cała rodzina by mnie wyklęła. U nas nikt nigdy nie pracował uczciwie. Jedynym wyjątkiem był dziadek, kiedyś jeździł ciężarówką. Ale potem znudziło mu się i skończył w więzieniu. Skazali go w sześćdziesiątym drugim za napad z bronią w rękę.

— Nie wierzę ci — powiedział, choć już przecież wierzył. Łatwiej jednak było udawać, że nie, bo wtedy nie musiałyby podejmować decyzji, co zrobić z tym, co właśnie usłyszał.

— Ponieważ takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach? — Oczy Anety błyszczały w ciemności jak dogasające węgle z ogniska. Za nimi w krzakach migdałiła się jakaś para, Marek słyszał pojękiwania i natarczywe szepty. — Uroczy jesteś, wiesz? Słodki i naiwny.

— W takim razie pójde na policję i wszystko im powiem — oznajmił.

Położyła mu rękę na karku i przyciągnęła jego twarz do własnej. Jej ręka była zimna i wilgotna od trzymania schłodzonej w wodzie butelki

piwa, a oddech pachniał ciemnością. Zamknął oczy, wdychając tę ciemność, wciągając ją w głąb siebie, tak jak parę godzin wcześniej wciągał dym pierwszego papierosa: z poczuciem winy i podnieceniem. Myślał, że Aneta go pocałuje, ale ona tylko zbliżyła usta do jego ucha i wyszeptała:

— Nie powiesz nikomu, bo mój ojciec cię zabije. To będzie nasza wspólna tajemnica, rozumiesz? Coś, co nas ze sobą zwiąże. Od teraz już na zawsze będziemy razem.

* * *

Nie powiedział nikomu ani następnego dnia, ani później. Z początku potrzebował usprawiedliwienia, tłumaczył więc sobie, że nie może tego zrobić, bo ojciec Anety naprawdę gotów jest go zabić. A poza tym dziewczyna pewnie i tak się wygłupia i jeśli pójdzie na policję, zrobi z siebie jeszcze większego idiotę. Potem już usprawiedliwiać się nie musiał, po prostu przyjął całą tę wiedzę w siebie, tak jak wcześniej przyjął ciemność. Czuł ją teraz w środku, czarną jak smoła, przelewającą się w rytm jego ruchów. Znał tajemnicę, a tajemnice dają władzę. Inaczej patrzył na kolegów ze szkoły, wydawali mu się naiwni i dziecinni, zajęci jakimiś zupełnie nieistotnymi sprawami. Spoglądał na nich jak przez szybę, jakby od tamtego wieczoru przy ognisku żyli z Anetą w szklanej bańce, stworzonej tylko dla nich. W miejscu, gdzie wszystko to, co wydarzyło się później, nie tylko miało sens, ale wydawało się wręcz nieuniknione. I naprawdę stali się nierozłączni. Spędzali ze sobą wszystkie przerwy, razem wracali ze szkoły i razem urywali się na wagary, bo Aneta nie zamierzała zawracać sobie głowy czymś tak nudnym jak nauka w maturalnej klasie. Szli wtedy do kina, gdzie w ostatnim rzędzie całowali się i obmacywali, albo do Marka, gdzie robili mniej więcej to samo, tyle że chłopak przez cały czas denerwował się, że matka wcześniej wróci z pracy albo wieczorem znajdzie zagubione rano majtki. Wstydził się zresztą swojego skromnego mieszkania i gdyby miał wybór, zdecydowanie wolałby odwiedzać Anetę, która mieszkała w otoczonym gęstymi drzewami domu na Ptasim Osiedlu. Jednak dziewczyna niechętnie zapraszała go do siebie — przez trzy miesiące ich związku był u niej tylko dwukrotnie. Raz, kiedy się przeziębila, i drugi, kiedy pewnego dnia na początku listopada Aneta ni stąd, ni zowąd zaproponowała, żeby przyszedł na imieniny jej taty — a gdy Marek, cały zdenerwowany, w garniturze i pod krawatem, zjawił się w prog, otworzyła mu drzwi w samej bieliźnie, pękając ze śmiechu.

Wtedy kochali się po raz pierwszy na dywanie w salonie, wśród kiczowatych obrazów, jelenich rogów i pozłacanych bibelotów. Gust bogatego bandyty, Marek pamiętał, że to właśnie sobie pomyślał, kiedy zobaczył wystrój domu.

Wtedy też po raz pierwszy zapalił skręta, a gdy Aneta leżała, patrząc szklistymi oczami w sufit, wstał i na niepewnych nogach podszedł do okna. Ujrzał wówczas coś, co na długo utkwіło mu w pamięci: w ogrodzie stała naga, dwupłciowa istota, brudna i z igliwem we włosach, jakby przed chwilą wyszła z lasu. Marek zobaczył ją, ona zobaczyła jego — nie wystraszyła się, tylko przyłożyła palec do ust, a kiedy chłopak powoli skinął głową, odwróciła się i odeszła, zostawiając na pierwszym śniegu ślady wyglądające jak odbicia małych krągłych kopytek.

* * *

— Opowiedz mi o nich — prosił Marek, a Aneta mówiła. We wrześniu o dziewczynie, która urodziła się z sześcioma palcami u każdej ręki, i oczami, z których lewe było błękitne, a prawe czarne jak smoła. W październiku to był chłopiec jedenasto-, może dwunastoletni, słodki blondynek z dłońmi wyrastającymi wprost z barków. Jak płetwy, powiedziała, wyobraź sobie skrzyżowanie anioła z rybą i będziesz wiedział, jak wyglądał. A w listopadzie nadeszła pora kobiety, która miała płaską, zwierzęcą twarz z wystającymi kłami i trzy zgrabne piersi. Wszystkich tych ludzi Aneta widziała, jak przewijają się przez jej dom — przyjeżdżali późnym wieczorem samochodem z przyciemnionymi szybami i odjeżdżali rano, innym samochodem, a kiedy ojciec — albo któryś z jego pomocników — prowadził ich przez ogród, mieli zarzucone na głowy szmaty, tak że Anecie rzadko udawało się podejrzeć twarze.

Marek wierzył z gorliwością stojącego przy ołtarzu akolity i jeśli kiedykolwiek kwestionował jej słowa, to tylko po to, by czym prędzej dać się przekonać i uwierzyć jeszcze mocniej, zupełnie jakby jego nowa wiara cały czas domagała się wypróbowywania.

— To niemożliwe — powtarzał, z przyjemnym drzeniem czekając, aż dziewczyna zaprzeczy.

— Wszystko wymyśliłaś. Albo zobaczyłaś w jakimś filmie.

— Młody jesteś i nie znasz życia — mówiła mu wtedy Aneta, jakby była od niego o wiele starsza. — A ja widziałam różne rzeczy.

Spróbował więc inaczej, spróbował odrzec całą tę historię z jej niezwykłości i uczynić z ojca Anety zwyczajnego gangstera, handlującego zwyczajnymi, wcale nie dziwacznymi dziewczynami. Zapytał wtedy Anetę, czy jej tato sprzedaje też normalnych ludzi, a ona przytaknęła.

— Oczywiście, z samego handlu dziwadłami przecież byśmy nie wyżyli. Za mało ich jest. Dzisiaj rano widziałam u nas dziewczynę. Była trochę podobna do aktorki, która grała w tych wszystkich horrorach z lat osiemdziesiątych, zapomniałam jej nazwiska. Wiesz, brązowe włosy, pociągła twarz, wąskie usta. Charakterystyczna, ale całkiem ładna. I moim zdaniem zupełnie normalna, choć tego do końca nie wiadomo, prawda? Nigdy się nie wie, co drugi człowiek ma w środku.

Tę właśnie dziewczynę Marek zobaczył następnego dnia na rynku w Katowicach.

* * *

Był dziewiętnasty grudnia. Do zachodu słońca została godzina, ale niebo już pociemniało od nabrzmiałych śniegiem chmur, a zgęstniały nagle mrok przecinały pierwsze białe płatki. Ludzie uciekali przed nadciągającą zadymką, dźwigając siatki wyładowane po brzegi świątecznym dobrem. Tylko ciemnowłosa dziewczyna kręciła się bez celu po rynku, jakby kogoś szukała. Albo — o tym Marek pomyślał później — jakby sama się zgubiła.

Na jej widok Aneta ścisnęła rękę chłopaka.

— To ona — szepnęła, a Marek zapytał „Kto?”, myślami będąc już w domu, przy przedświątecznych przygotowaniach. Powinien wrócić pół godziny temu, powiedział przecież matce, że wychodzi tylko na chwilę, żeby kupić prezent. Teraz nie miał ani pieniędzy, ani prezentu, za to Aneta najwyraźniej chciała nadal się bawić.

— Dziewczyna, która była u nas w domu. Widzisz? Wygląda dokładnie tak, jak ci mówiłam.

Marek widział, a może po prostu chciał widzieć. W tamtej chwili to nie miało znaczenia.

Zresztą i tak zawsze się z Anetą zgadzał.

— Skąd się tu wzięła? — zapytał, a dziewczyna potrząsnęła głową.

— Pewnie uciekła. Ojciec się wścieknie, jak to zauważy. Musimy ją zaprowadzić z powrotem.

— Jak?

— Nie wiem, wymyśl coś. Jesteś w końcu facetem, nie? Rusz się, bo znowu ucieknie.

Popchnęła go, a on omal się nie przewrócił, jakimś cudem jednak udało mu się utrzymać równowagę na oblodzonym chodniku. Zrobił kilka kroków i obejrzał się. Na co liczył? Że Aneta zawoła go ze śmiechem, mówiąc, żeby przestał się wygłupiać? Jeśli tak, przeliczył się, bo rozmyta już przez śnieżycę szara sylwetka skinęła tylko zachęcająco głową.

Marek podszedł do nieznamym dziewczyny.

— Może w czymś pomóc? — zapytał jak grzeczny chłopiec, którym od dawna nie był. Dopiero teraz mógł przyjrzeć jej się dokładnie. Naprawdę przypominała młodą Jamie Lee Curtis. I naprawdę była ładna, a czerwony płaszczyk dodawał kobiecości jej sylwetce.

— Czekasz na kogoś? — zagadnął jeszcze raz.

— Na mojego narzeczonego — odpowiedziała szybko. Wyglądała na trochę starszą od Marka, choć tak naprawdę mogli też być w jednym wieku.

— Umówiliście się tutaj?

Przytaknęła, ostrożna jak kot, któremu niespodziewanie otwarto drzwi klatki. Marek obdarzył ją swoim najbardziej uroczym uśmiechem — tym samym, który zmiękczał serca najtwardszych nauczycielek i sprawiał, że licealistki w punkowych ciuchach opowiadały o sześciopalczystych dziewczynach i chłopcach wyglądających jak skrzyżowanie anioła z rybą.

— No, to już chyba nie przyjdzie — powiedział. — Może wrócił do domu?

— Pewnie tak.

— Gdzie mieszkasz?

— Na Osiedlu Paderewskiego.

— Jak chcesz, podrzucimy cię do domu. W takiej śnieżycy nie ma co czekać na tramwaj. A ja i moja dziewczyna mamy niedaleko zaparkowany samochód.

Wciąż się wahała — w dzieciństwie rodzice musieli ją uczyć, żeby nie rozmawiać z nieznajomymi. Ale przecież Marek był chłopakiem w podobnym wieku, niewiele wyższym od niej chucherkiem o słodkim uśmiechu i niewinnej twarzy pilnego ucznia. Poza tym oczywiście miał rację — zimą tramwaje kursowały bardzo kapryśnie, a kiedy zaczynało padać, szansa na złapanie transportu spadała praktycznie do zera.

— Jedziemy właśnie w kierunku Paderewy — dodał jeszcze zachęcająco. Niepotrzebnie, bo dziewczyna już kierowała się w stronę, którą jej wskazał — do Anety i zaparkowanego pod Skarbkiem samochodu.

* * *

— Jestem Marek, tak przy okazji.

— Aneta.

Nieznajoma wymruczała swoje imię tak cicho, że go nie usłyszeli. Nadal wyglądała na spiętą i ostrożną, choć z jakiegoś powodu nie zdziwiło jej, że nastolatka w punkowych ciuchach prowadzi elegancki samochód — czerwony peugeot należał do ojca Anety, ale dziewczyna, odkąd miesiąc temu zrobiła prawo jazdy, często go pożyczała.

Jechali powoli we wzmagającej się zadymce. Mijające ich auta wynurzały się z bieli i znikwały w niej jak przedpotopowe stwory o tępych pyskach, podążające w sobie tylko znane miejsca. Wycieraczki pracowały ze zgrzytem, zgarniając śnieg, w twarz buchało metaliczne gorąco grzejników. W samochodzie pachniało parującymi w ciepłe mokrymi ubraniami i cytrusami. Nagle cały świat skurczył się do wnętrza peugeota, poza nim istniała tylko zimna biała pustka, a oni płynęli w niej, znikąd donikąd, zagubieni w miejscu, w którym zatarła się różnica między prawdą a zmyśleniem. Marek pocił się, usta miał suche jak pieprz. Jednocześnie było mu niedobrze i czuł niemal bolesne podniecenie. Odbite w lusterku oczy nieznajomej spoglądały czujnie, jakby w każdej chwili gotowa była przekroczyć granicę między niechętną ufnością a przerażeniem.

— Uciekasz przed kimś, prawda? — zapytała Aneta, zupełnie jakby nie czuła napierającej na samochód pustki, tężejącego w powietrzu napięcia ani mdlącego zapachu cytrusów. — Niech zgadnę, przed chłopakiem? Bije cię? Nie, założę się, że to nie to. Pewnie masz go po prostu dosyć.

Zakochałaś się w nim, bo był taki słodki, ale potem się okazało, że to nudziarz. Ciągłe za tobą łąził, chciał robić wszystko to, co ty, powtarzał za tobą każde zdanie jak papuga i nie dawał chwili spokoju... No więc postanowiłaś, że trzeba się od niego odciąć, i teraz boisz się, że facet znajdzie cię i zacznie marudzić. Będzie jęczał, że przecież mieliście być razem do końca życia i takie tam bzdety. Mam rację?

Dziewczyna już miała odpowiedzieć, kiedy nagle jej oczy rozszerzyły się ze strachu.

— Dokąd jedziecie? To nie ta droga!

— Jedziemy objazdem. Wszystko będzie dobrze.

— Zawróćcie, proszę. Muszę wracać do domu.

— Wrócisz, tylko trochę później. Spokojnie.

Ale nieznajoma była tak daleka od spokoju, jak tylko można. Samochód, który i tak już jechał w ślimaczym tempie, na zakręcie zwolnił jeszcze bardziej i dziewczyna najwyraźniej dostrzegła swoją szansę, bo chwyciła kłamkę, otworzyła drzwi i wyskoczyła.

Aneta zaklęła, hamując.

— Łap ją! — powiedziała, a Marek też otworzył drzwi i pobiegł, jak zawsze, kiedy mówiła mu, co ma robić. Nieznajoma była szybka, ale on okazał się szybszy-a może po prostu bardziej zdeterminowany. Krew pulsowała mu w skroni, kiedy chwycił za brzeg czerwonego płaszcza i pociągnął. Przewrócili się oboje. Dziewczyna krzyczała, Marek chyba nie, choć wcale nie był tego pewien. Uderzyła go-jak na dziewczynę miała zaskakująco silny cios. On też ją uderzył, klęcząc obok, najpierw pięścią, a potem kamieniem, który namacał pod śniegiem. Gdyby nie ten kamień, może wszystko potoczyłoby się inaczej. A może i tak skończyłoby się tak samo. Wtedy, w tej krótkiej chwili, istnieli tylko on i ona, nawet Anety z nimi nie było. Pustka wokół napierała, biała, chłodna i czysta. Miejsce, w którym wszystko miało sens. Marek bił, wciąż czując krew pulsującą w skroni. Myślał o wszystkich tych chwilach, kiedy potakiwał Anecie i zgadzał się na każde jej szaleństwo. Kiedy dzwonił do niej rano i wieczorem, żeby się upewnić, że następnego dnia znowu się spotkają.

I znowu. O dniu, kiedy kupił sobie koszulkę z nazwą jej ulubionego zespołu, zafarbował włosy i pociął nożyczkami spodnie, żeby mieć takie same, jak Aneta. Żeby wyglądać jak ona.

Kiedy dziewczyna znieruchomiała, nie pamiętał już, co właściwie tak bardzo go rozwścieczyło, a pustka wokół nich nie była już biała, tylko czerwona.

* * *

— Nigdy nie mówiłam, że masz ją zabić. Co ci wtedy odbiło?

— Powiedziałaś...

— Pamiętam, co powiedziałam. To była zabawa. Głupia zabawa. Myślałam, że postraszymy ją trochę i puścimy.

Bała się, że jej nie uwierzy, ale na szczęście uwierzył. Zawsze był naiwny i łatwo dawało się nim manipulować. Aneta czasem uważała to za

wadę, a czasem za zaletę.

— Teraz to już i tak nie ma znaczenia, prawda? — Marek dopił herbatę i zapalił papierosa.

Ręce mu drżały, a w oczach miał coś, co jej się nie podobało. Jakby wrócił z miejsca, w którym Aneta nigdy nie była, i przyniósł stamtąd coś obcego, o czym nie sądziła, że w ogóle może istnieć. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że Marek, mimo całej swojej słabości, może pod pewnymi względami być bystrzejszy od niej. Że może wiedzieć więcej.

— Musimy tam pojechać — powiedział.

— Dokąd? Na Osiedle Paderewskiego? Już tam byliśmy.

— Na pole, gdzie ją zakopaliśmy.

— Po co, na litość boską? Minęło siedem lat, znajdziemy szkielet, jeżeli w ogóle coś zostało.

Nie patrzył na nią i chyba w ogóle jej nie słuchał.

— Musimy tam pojechać — powtórzył, a ona zrozumiała, że nie zdoła go powstrzymać.

* * *

Dał się namówić, żeby zaczekali do wieczora — tyle zdołała osiągnąć. Wyjechali, ledwo mrok zaczął gęstnieć, a gdy dotarli na miejsce, było już całkiem ciemno. Aneta wyjęła ze schowka latarkę i zapaliła ją. Nie wiedziała, czego się właściwie spodziewa: że po tylu latach zastaną zbudowany na polu — tym polu, ich polu — supermarket? Albo cokolwiek innego? Ale nic się nie zmieniło. Był pachnący igliwem las, było puste stare kartoflisko i jedyny w okolicy dom, na szczęście zbyt oddalony, by dało się z niego cokolwiek zobaczyć. Chyba. Siedem lat temu nie miała co do tego wątpliwości, ale teraz nie była taka pewna. Poza tym wtedy przyjechali w środku nocy, a nie wieczorem.

— Daj spokój — spróbowała jeszcze raz. — Ktoś może nas zauważyć. Patrz, w tych oknach się świeci.

Marek zabrał już z bagażnika łopatę i szedł na pole jak po sznurku, jakby po tych wszystkich latach wciąż doskonale pamiętał drogę. Aneta zacisnęła usta. Miała ochotę odwrócić się i odejść, jednak powstrzymała ją myśl, że jeśli Marek jak ostatni idiota da się złapać, wsypie także ją.

Poszła za nim.

Zatrzymał się i zaczął kopać. Z początku wolno, bo grunt po zimie wciąż był zmarznięty, potem szybciej, zupełnie jakby ziemia zmiękła

i zdecydowała się wpuścić go do środka. Aneta miała przedziwne *deja vu* — już tak kiedyś stali, na tym polu, w ciemności, nie słysząc nic poza własnymi nerwowymi oddechami. Wtedy był grudzień, ale śnieżycą, która sparaliżowała komunikację w Katowicach, tutaj nie dotarła, tu wciąż panowała późna jesień, pachnąca lasem i dymem, kolczastym jak wyrastające z ziemi suche i zimne chwasty. Dopiero kiedy skończyli, zaczął padać śnieg. Aneta pomyślała, że to dobrze, bo zakryje ich ślady, a potem, wracając, zgubili drogę, weszli do ogrodu i w świetle księżycy zauważyli, że na butach wciąż mają krew.

Marek klęknął i zaczął rozgrzebywać ziemię palcami. Mówił coś, ale jego słowa zlewały się w bełkot. Zwariował, pomyślała Aneta z chłodnym żalem, bo przecież żałowała nie jego, tylko własnych wspomnień z młodości. Byli naprawdę szczęśliwi, dopóki on wszystkiego nie zepsuł.

— Musimy iść. — Pochyliła się i dotknęła jego ramienia. Niecierpliwie, ze złością, jakby zwracała się do krnąbrnego dziecka, jednego z tych, które rodzice próbują kochać, ale tak naprawdę nie potrafią i tylko udają.

Marek potrząsnął głową.

— Patrz — powiedział, kierując strumień światła w wykopany dół.

Nie chciała patrzeć. Chciała wrócić do domu, usiąść na tapczanie i spokojnie się nad wszystkim zastanowić, bo po raz pierwszy w życiu czuła, że sytuacja ją przerasta.

Mimo to spojrzała.

W dole była twarz, zmasakrowana z jednej strony i sina z drugiej. Szeroko otwarte oko wpatrywało się w ciemność, obłe i białe, jak ukryte w gęstych krzewach ptasie jajo.

— Widziałem to w snach — powiedział Marek, a kiedy skończył mówić, przez gałkę oczną przebił się długi blady robak, który popęzł wzdłuż nosa. Aneta wzdrygnęła się.

— Jezu, to obrzydliwe.

Ciało leżało w płytkim dole, zwinięte w pozycję płodową, bo zabrakło im czasu, a także ochoty, żeby wykopać porządny grób. Nieznajoma wciąż miała na sobie płaszcz, który stracił już czerwony kolor. Marek chwycił go i podciągnął — dla Anety było to odrażające i fascynujące jednocześnie — a potem odsunął rozpadającą się w rękach resztę ubrań, odsłaniając całą gnijącą prawdę.

Dziewczyna nie była dziewczyną, tylko chłopakiem.

* * *

— To jakiś żart — powiedziała Aneta, kiedy wrócili do domu. — Chory, kurewski żart. Nigdy jeszcze nie widziałam niczego tak bardzo popieprzonego.

Zapaliła papierosa i podała paczkę Markowi. Mężczyzna zgodził się z nią, kiwając głową, ale z jakiegoś powodu miała wrażenie, że kłamie, że dla niego to wszystko wcale nie jest tak bardzo popieprzone jak dla niej. On dostrzegał sens i to ją irytowało. Bardzo nie lubiła czuć się z czegoś wykluczona.

— Chcę przeczytać wszystkie historie, które znalazłaś w biurku ojca.

Tak właśnie powiedział: „chcę”, nie „chciałbym” ani nie „proszę”. Jakby miał prawo rządzić się w mieszkaniu Anety. Uderzenie złości prawie odebrało jej oddech, papieros smakował jak palona guma.

— Naprawdę? A może ja wcale nie chcę, żebyś je czytał? Może wolę, żebyś spierdalał z mojego życia?

— Aneta, proszę. To ważne.

Proszę. Nareszcie. Skrzywiła się, gasząc papierosa. Oczywiście wiedziała, że się zgodzi — była zbyt zmęczona, żeby kłócić się na poważnie.

Do diabła z nim.

— Część jest w komputerze, a część jeszcze na kartkach, bo przepisałam na razie te, które najłatwiej było odczytać. Reszta jest strasznie wyblakła i chyba będę musiała czytać przez lupę albo coś. Jak chce ci się z tym bawić, to proszę bardzo.

Włączyła Markowi komputer, pokazała odpowiedni plik i dorzuciła stertę pożółkłych kartek. Przez jakiś czas zaglądała mu przez ramię, a potem zasnęła na kanapie w drugim pokoju.

IX.

Opowieść o piwnicy

— Myślisz, że ono tam jest? — zapytała Dzesika, odkładając zapisane ołówkiem kartki. — Słoneczko?

Jacek, który do tej pory czytał jej przez ramię, odsunął się z ociąganiem.

— Nie mam pojęcia. Ale ktoś musi w tej piwnicy siedzieć, nie? Te notatki nie wzięły się znikąd.

— Dlaczego w takim razie nie poprosił o pomoc? Albo nie poprosiła?

— Może prosiło w taki właśnie sposób. Znaczący, przekazując nam te kartki. Skąd wiesz, w jakim stanie może być psychika kogoś, kto całe życie spędził w zamknięciu? Może ono nie umie się normalnie porozumiewać.

Dzesika rozważyła tę myśl. Brzmiała prawdopodobnie, choć niespecjalnie jej się podobała — dziewczyna wolałaby ocalić zwyczajne dziecko, takie, które dziękowałoby jej ze łzami w oczach, niż bełkoczące nie wiadomo co. Oczami wyobraźni widziała już siebie w programie TVN, obejmującą ramieniem rozkosznego malca. Chłopca czy dziewczynkę, wszystko jedno.

Spojrzała na Jacka, odpowiedział jej spojrzeniem. Przez chwilę wyglądali jak bliźnięta, jak lustrzane odbicia — z rozjaśnionymi oczami, niepewni i zachwyceni jednocześnie. Dzesika uśmiechnęła się na próbę, Jacek też się uśmiechnął. Nagle w jaskrawym rozbłysku zimowego słońca zobaczyła całą ich możliwą przyszłość. Związani tajemnicą, zostaliby na zawsze razem i z wiekiem coraz bardziej by się do siebie upodobniali. Mówiliby swoim własnym językiem, powtarzali po sobie gesty, nabrali identycznych nawyków. Aż wreszcie któreś z nich by się znudziło i zapragnęło się od drugiego odciąć.

Prawie parsknęła śmiechem. Kiedy człowiek ma osiemnaście lat, myśl o starości wydaje się zabawnie abstrakcyjna.

— Co teraz? — zapytała cicho, prowokacyjnie. — Idziemy z tym na policję?

— Nie — odpowiedział, dokładnie tak, jak się spodziewała. Jak miała nadzieję. — To nasza sprawa.

— W porządku. To co robimy?

— Pójdziemy tam dziś w nocy. Pożyczę od wujka wytrych i spróbujemy otworzyć kłódkę w tych drzwiach. A potem się zobaczy.

* * *

Nastawiła budzik na drugą w nocy, ale i tak nie udało jej się zasnąć — kręciła się tylko na łóżku i co chwila zerkała na fosforyzujące w ciemności wskazówki, aż wreszcie, pięć minut przed pobudką, wyslizgnęła się spod kołdry. Marcela i Żaneta posapywały przez sen, jedna siostra cicho, druga, od paru lat chorująca na zatoki, głośniejsze i bardziej chrapliwie. Gdyby się obudziły, Dzesika sprzedałaby im bajkę o chłopaku, z którym chce się dziś w nocy spotkać. Cieszyła się jednak, że nie musi tego robić — im mniej osób wiedziało o eskapadzie, tym lepiej.

Przygotowała już ubranie: solidne buty, sweter i spódnice. Lepsze co prawda byłyby spodnie, ale wszystkie trzy pary, które Dzesika miała, były zdecydowanie zbyt porządne jak na nocną wyprawę do cudzej, pewnie brudnej piwnicy. Tak więc spódnica, ta kupiona w lumpeksie parę miesięcy temu, kiedy zima wydawała się odległa jak starość, a Dzesika na krótko uległa urokowi błękitnego materiału w białe gwiazdki, choć już wtedy widziała, że jest sprany i zetlały. Niech będzie.

Ubrała się pospiesznie, pewna, że nawet teraz, w starej spódnicy i jeszcze starszym różowym polarze, który zakładała, kiedy wychodziła nakarmić kury, wygląda ładnie. Taka już była i nic nie mogła na to poradzić. Niektórzy tak mają, a inni nie. Życie.

Wymknęła się z domu. Pies przy budzie obudził się i jego oczy rozbłysły w ciemności.

— Cicho, Ajaks — powiedziała. — Nic się nie dzieje.

Niepotrzebnie, bo stary kundel wcale nie zamierzał czekać. Dziewczyna minęła go i skierowała się w stronę głównej drogi. Nie obejrzała się, a kiedy zostawiała za sobą dom, miała wrażenie, że jest w tym coś ostatecznego. Nie w sensie dosłownym — wiedziała przecież, że będzie tu mieszkać jeszcze do końca liceum — ale metaforycznym. Jakby dzisiejsza noc miała zerwać na zawsze jej więzy z tym miejscem. I tak

nigdy tu nie pasowała. Pomyślała o pokrytych tłustym osadem tapetach w kuchni, o rozpadających się meblach i tapczanie, który tak przesiąkł kocimi i dziecięcymi sikami, że nie pomagało mu nawet pranie w niemieckich proszkach. O ojczymie, który każdego wieczoru rozsiadał się przed telewizorem, czerwono nosy, z wielkim brzuszyskiem i szarymi majtkami wystającymi ze spodni, a także o matce, kiedyś ładnej jak Dzesika, która snuła się po obejściu, wychudzona i poszarzała jak wyżęty przez czas duch. O dwóch starszych siostrach, niańczących już gromadkę wrzaskliwych pociech, i o młodszym rodzeństwie, które myślało, że metafora to maść do nacierania pleców. Dzieci w tej rodzinie nie miały ambicji większych niż to, żeby uniknąć lania i być może wycygnąć w sklepie jakiś drobiazg, a dorośli myśleli głównie o pełnych flaszkach.

Tylko Dzesika była inna, ładna i zdolna. Miała przed sobą przyszłość. Najpierw matura — dziewczyna nie wierzyła za bardzo w sens wykształcenia, ale uznała, że lepiej ją mieć, potem wyjazd do Niemiec, gdzie urządziła się już kuzynka. A tam... Na samą myśl o możliwościach, jakie otwierały się przed ambitną osiemnastolatką w obcym kraju, Dzesice zaczynało się kręcić w głowie.

Nie mogła się doczekać.

Jacek stał już obok przystanku autobusowego, w połowie drogi między jej domem a jego. Tak jak się umówili. Miał czapkę nasuniętą prawie na oczy, postawiony kołnierz kurtki i wystraszoną minę.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć.

O tej porze było tu pusto, tylko pod zamkniętym sklepem siedział półprzytomny pijaczek, który na widok Dzesiki spróbował zagwizdać. Dziewczyna pokazała mu wyprostowany palec, a potem przyciągnęła Jacka do siebie i pocałowała.

— Masz to? — zapytała, kiedy chłopak złapał oddech.

Skinął głową.

— Wujek o coś pytał?

— Zabrałem, jak nie patrzył — przyznał z ociąganiem.

— Świetnie.

* * *

Podkradli się do białego domu jak prawdziwi detektywi. Albo prawdziwi złodzieje, pomyślała Dzesika z humorem. Było tak jasno, że

właściwie nie potrzebowali latarki. Na rozgwieżdżonym niebie wisił księżyc, wielki i okrągły niczym twarz Boga, a śnieg miał barwę połyskującej srebrem rybiej łuski. Nawet ciemność wokół nich była srebrzysta i lekka, jak przesiana przez sito. Dzesika wzięła Jacka za rękę, a on zacisnął zimne palce. Razem przeszli przez ogród i ostrożnie zbliżyli się do piwnicy. Razem też zamierzali zmierzyć się z kłódką, ale tym nie musieli się już kłopotać.

Drzwi okazały się otwarte.

— Ktoś tu był przed nami — powiedział Jacek cicho. — Jak w tej opowieści, pamiętasz? Ktoś wchodzi do otwartej piwnicy, a Słoneczko zamyka go w środku.

— Przecież tamci przyszli osobno, a my jesteśmy razem. Poza tym skąd Słoneczko miałoby wiedzieć, co się wydarzy?

— To co, wchodzimy?

— Zaczekaj.

Omiotła światłem latarki schody prowadzące w głąb piwnicy. Strumień blasku sięgał kilku pierwszych stopni, a potem ginął, pochłonięty przez ciemność.

— Słoneczko? — szepnęła. — Jesteś tam?

— Jest tam ktoś? — zawołał Jacek.

Dzesika dla pewności spojrzała na ogród. Czy ktoś ukrywał się w krzakach, czekając, aż wejdą do środka? Chyba nie. Zresztą do diabła z tym. Nie mogła pozwolić, żeby ominęła ją taka przygoda.

Ostrożnie zanurzyła się w mrok i stanęła na pierwszym stopniu. Jacek poszedł za nią, tak jak zawsze szedł, prawie następując jej na pięty. Na karku czuła jego oddech. Odwróciła się. Chciała mu powiedzieć, żeby na wszelki wypadek poczekał na zewnątrz, ale zanim zdążyła otworzyć usta, drzwi zatrzasnęły się i w zamku zgrzytnął klucz.

* * *

Najpierw krzyczeli i walili w deski, potem zaczęli krzyczeć na siebie nawzajem.

— To twoja wina — powtarzała Dzesika. — To był twój głupi pomysł!

Rozpłakała się, a kiedy objął ją niezdarnie, wtuliła się w niego ze szlochem.

— Zobaczysz, wszystko będzie dobrze — pocieszał ją. — Jesteśmy razem, a Halina Kowalik jest sama. Jak tylko otworzy rano drzwi, damy

sobie z nią radę.

Uwierzyła mu i trochę się uspokoiła — dopiero znacznie później przyszło jej do głowy, że Jacek był wtedy równie przerażony jak ona. Że starał się zachować spokój, żeby jej zaimponować. Robił to wszystko dla niej, a ona go zdradziła. I nigdy w gruncie rzeczy tego nie żałowała. Czasem nie ma innego wyjścia, jeśli chce się przeżyć.

Siedzieli w ciemności, przytuleni do siebie. Jacek pogłaskał ją po mokrym od łez policzku, a potem pocałował. I mimo całego strachu — a może właśnie dzięki niemu — to też była magiczna chwila, jak z książki albo filmu. Po prostu część przygody, niebezpiecznej, a jednocześnie takiej, z której człowiek wychodzi cało, żeby potem opowiadać wszystkim, jak świetnie sobie poradził.

Zdołali nawet zasnąć na kilka niespokojnych minut. Obudził ich zgrzyt klucza w zamku. Dzesika pierwsza poderwała głowę, zaraz za nią to samo zrobił Jacek. Jak bliźnięta, jak lustrzane odbicia, tym razem zdecydowanie dalekie od zachwytu, zdecydowanie bardziej zmęczone i wystraszone, ale wciąż nietracące nadziei na *happy end*w prawdziwie hollywoodzkim stylu.

Halina Kowalik zapaliła światło i zaczęła schodzić w głąb piwnicy. Nie była sama — zaraz za nią szedł postawny mężczyzna w czarnym golfie i staroświeckich workowatych spodniach. Na widok skulonych pod ścianą nastolatków zatrzymali się i szeptali coś do siebie przez dłuższą chwilę.

Dzesika wstała, Jacek też.

— Co tu robicie? — zapytała Kowalik.

Chłopak chciał się odezwać, ale dziewczyna go uprzedziła.

— Zamknęliśmy nas w tej piwnicy. Nie macie prawa tego robić!

— Wracamy do domu i możecie się cieszyć, jeśli nikomu o tym nie opowiemy. — Jacek chwycił Dzesikę za rękę i pociągnął w stronę drzwi. Przez moment dziewczyna sądziła, że im się uda, że tak po prostu wyjdą. Zarówno Halina Kowalik, jak i jej towarzysz wyglądali na zbyt zaskoczonych, by zareagować. Mężczyzna jednak szybko się otrząsnął i chwycił Jacka za ramię.

— Nigdzie nie pójdziecie — powiedział, podczas gdy kobieta złapała Dzesikę.

— Puść mnie! — wrzasnął Jacek, a mężczyzna go uderzył. I zrobił to nie jak ktoś, kto bije, bo jest zdesperowany, ale jak człowiek, który przywykł do rozwiązywania konfliktów pięścią — o tym też Dzesika

pomyślała później. Teraz znieruchomiła, patrząc na krew spływającą z rozbitej wargi Jacka.

Właśnie wtedy zrozumiała, że sytuacja naprawdę jest poważna.

* * *

— Nie możemy was wypuścić — powiedział mężczyzna. — Nawet gdybyśmy chcieli.

— Dla ścisłości, jedno z was może odejść — dodała Halina Kowalik. — Drugie zostaje. Wybierzcie sami. Przykro mi.

Nie wyglądała, jakby było jej przykro. Wyglądała, jakby się bała. Miała wyraz twarzy zaszczutego, zdesperowanego człowieka, który wpakował się w kłopoty, a teraz zrobi wszystko, żeby ratować tyłek. Dzesika często widywała taki wyraz najpierw u własnego ojca, potem u ojczyma.

— Nie zamierzamy niczego wybierać — oznajmił Jacek. — A jeśli wypuści pani tylko jedno z nas, to zaraz przyjdzie tu policja. Więc lepiej niech się pani zastanowi.

— On mówi prawdę — wtrąciła szybko Dzesika. — Nie mam pojęcia, o co tu w ogóle chodzi, ale obiecuję, że jeśli nas uwolnicie, wrócimy grzecznie do domów i nikomu nie powiemy o tym, co robicie w tej piwnicy. Zresztą i tak pewnie nikt by nam nie uwierzył. A tak dostanie pani wyrok za porwanie. Naprawdę tego pani chce?

Kowalik zawahała się i spojrzała na swojego towarzysza — w tej parze najwyraźniej to on podejmował decyzje.

A mężczyzna nie zamierzał okazywać litości. Ani zresztą, jeśli już o tym mowa, zdrowego rozsądku.

— Jedno zostaje, drugie może odejść — powiedział i rysy kobiety zaraz stwardniały.

— Zgadza się, jedno zostaje, drugie może odejść. A jeśli nie potraficie wybrać, ja wam w tym pomogę. — Wyjęła z kieszeni monetę, która zamigotała niechętnie w świetle wiszącej pod sufitem zakurzonej żarówki. — Orzeł chłopak, reszka dziewczyna. Potem zostawimy was tutaj, a kiedy po was przyjdą, macie być gotowi. Jedno z was pójdzie z nimi, a drugie wróci do domu.

* * *

Wypadła reszka.

Dziewczyna.

Potem znowu zostali sami.

Dzesika rozplakała się i nie było w tym już nic z filmu czy książki. Po prostu rozryczała się jak zwyczajna przerażona nastolatka. Jacek spróbował ją objąć, ale odepchnęła go.

— Odpieprz się, kurwa! To wszystko twoja wina! Ta porąbana baba ma nasrane w głowie! I ten facet też!

— Posłuchaj...

— Nie na ciebie wypadło, więc się ciesz!

— Powiedziała: oni.

— Co? — Nadal była wściekła, ale przynajmniej na niego spojrzała.

— Jacyś oni mają po nas przyjść i zabrać dziewczynę, tak?

— I co z tego? — Dzesika wytarła nos.

— Mogę włożyć twoje ciuchy.

— Popierdoliło cię? Przecież zaraz się zorientują.

— Nie, posłuchaj. — Ścisnął ją za ramię, aż zabołało. — Mamy czapki i szaliki, a ja i tak zawsze wyglądałem trochę na dziewczynę. Pamiętasz, jak w podstawówce mnie przezywali? A w drugiej klasie dyrektorka zrobiła mi awanturę, że niby dziewczynom nie wolno przychodzić na apel w spodniach. Jeśli założę twoją spódnicę i polar, to nikt się nie zorientuje. A nawet gdyby, to co? Przecież nie będzie gorzej niż teraz.

— Czemu niby miałbyś iść zamiast mnie?

— Bo jestem chłopakiem i dam sobie z nimi radę.

Dzesika powstrzymała się od komentarza, że właśnie przed chwilą nie dał. Mogła to zrobić równie dobrze z litości, jak i z wyrachowania. Nie zastanawiała się nad tym ani wtedy, ani nigdy później.

— Zwłaszcza jeśli wezmą mnie za dziewczynę — dodał Jacek. — Nie będą się niczego spodziewać, a ja bez problemu ucieknę.

— To głupi pomysł — powiedziała Dzesika dla porządku. Miała nadzieję, że chłopak zacznie nalegać.

Zaczął, a ona pozwoliła się przekonać.

* * *

Zjawili się chwilę później, ledwo Dzesika i Jacek zamienili się ubraniami. Było ich dwóch, jeden niższy i gruby jak wieprzek, a drugi chudy, z wilczą twarzą.

— Dziewczyna idzie z nami, chłopak zostaje — oznajmił ten drugi.

Jacek ścisnął jeszcze jej rękę, a potem odszedł. Patrzyła za nim, kiedy wspinał się po schodach i zniknął w złocistym blasku świtu. Ten świt ją

zdziwił, była pewna, że jest później. Tak właśnie zapamiętała tę scenę: czarna sylwetka na tle jasności, jak wypalona w słońcu dziura, i zdumienie tym, że pora jest nie taka, jak się spodziewała. Czekwała potem, licząc uderzenia serca, jednak nie usłyszała niczego poza trzaskiem samochodowych drzwiczek i warkotem silnika.

Halina Kowalik otworzyła drzwi piętnaście, może dwadzieścia minut później. Wtedy świt przeszedł już w ranek, ale powietrze wciąż miało w sobie różowawą świetlistość i lekkość musującego szampana. W tym świetle doskonale widoczna Dzesika rzuciła kobiecie wyzywające spojrzenie. Spodziewała się, że Kowalik jakoś skomentuje niespodziewaną zamianę, ale ona tylko wskazała ruchem głowy wyjście z piwnicy.

— Idź — powiedziała. — I nie kłopotz się sprowadzaniem policji. Jak przyjadą, mnie już tu nie będzie.

Gdy Dzesika wróciła do domu, dochodziła ósma, ale cała jej rodzina jeszcze spała. Ostatecznie był weekend, dlatego mieliby wstawać wcześniej? Dziewczyna rozebrała się, wcisnęła ubranie w dziurę za piecem i wślizgnęła się do łóżka. Leżała potem z otwartymi oczami, myśląc o Jacku, o tym, jak wyszedł z piwnicy prosto w światło, taki odważny i pełen poświęcenia. I wcale nie wyglądał dziwacznie w tej starej spódnicy i starym polarze. To sytuacja była dziwaczna, nie on.

Nie uwierzyliby jej, tak to sobie tłumaczyła. Ale przynajmniej-jeśli cokolwiek to znaczyło — naprawdę chciała, żeby mu się udało.

O dziewiątej, kiedy najmłodsze dzieci już się obudziły, matka przygotowywała im śniadanie, a ojczym wciąż odsypiał wczorajszego kaca, do drzwi zapukali rodzice Jacka. Wtedy Dzesika wyparła się wszystkiego: nie, nie była z nim nigdzie tej nocy, co to w ogóle za pomysł? Cały czas grzecznie spała w łóżku. A czy wie, gdzie Jacek może się podziewać? No, w sumie to nie do końca, ale chłopak miał obsesję na punkcie kobiety z białego domu pod lasem. Obserwował ją przez teleskop i opowiadał, że ona chyba trzyma kogoś w piwnicy — Dzesika nigdy nie brała tego poważnie. Ale może mówił serio i poszedł sprawdzić?

Tyle mogła dla niego zrobić i tyle zrobiła.

* * *

Policja przeszukała biały dom, ale nikogo w nim nie znalazła. Nie odnaleziono nigdy ani Jacka, ani Haliny Kowalik, czy też tajemniczej osoby, która wcześniej siedziała w piwnicy-jeżeli ktoś taki naprawdę istniał.

Przesłuchiwana Dzesika twardo trzymała się swojej wersji — tak, Jacek opowiadał jej o kobiecie z białego domu, mówił, że podejrzewa ją o porwanie kogoś i przetrzymywanie w piwnicy. Nie, nigdy tam razem nie byli, jeśli poszedł sprawdzić, to sam. Ona uważała to wszystko za zwyczajne wygłupy i bardzo jej z tego powodu teraz przykro.

Ubranie chłopaka spaliła, kiedy rodziców nie było, a potem dokładnie rozgrzebała popiół. Zastanawiała się też nad spaleniem kartek, które wypadły ze szpary w piwnicy, ostatecznie jednak zrezygnowała. Te zapiski były zbyt dziwaczne, żeby się ich pozbyć, a poza tym Dzesika założyła, że i tak nie zwrócą niczyjej uwagi-gdyby ktoś z jej rodziny półanalfabetów je znalazł, uznałby pewnie, że to „coś ze szkoły” i tyle. Miała rację, bo kartki, ukryte w starym zeszyście do PO, przeleżały bezpiecznie aż do matury, a kiedy dziewczyna wyjeżdżała, zabrała je ze sobą.

Do rodzinnej wsi wróciła czternaście lat później jako dyplomowana fryzjerka. Jej życie nie potoczyło się tak, jak planowała jako osiemnastolatka — w każdym razie nie była sławna ani bogata — ale z młodzińskich marzeń zdążyła już przecież wyrosnąć. Miała za to niezły zawód i wystarczająco dużo zaoszczędzonych pieniędzy, żeby założyć własną działalność. Na parterze kamienicy przy Głównej urządziła zakład, a dla siebie wynajęła mieszkanie piętro wyżej. Przez jakiś czas pracowała sama, potem zatrudniła dziewczynę po kursie fryzjerskim — na razie nadającą się tylko do mycia klientom włosów i golenia głów maszynką, ale Dzesika wierzyła, że wszystkiego ją nauczy. Tak czy inaczej jakoś sobie radziły. Z rodziną rzadko się spotykała, choć mieszkali niedaleko; właściwie ich kontakty ograniczały się do tego, że matka od czasu do czasu wpadała z wieściami o starszym i młodszym rodzeństwie, a ojczym przychodził prosić o pożyczkę — czego zawsze odmawiała. I jeśli ktoś we wsi jeszcze pamiętał, że Dzesika była zamieszana w tajemnicze zniknięcie maturzysty, to wspomniano o tym coraz rzadziej. Rodzice Jacka zresztą dawno się wyprowadzili, a rodzinny biznes przejął szwagier. W białym domu nikt nie mieszkał — Dzesika podejrzewała, że z powodu niejasnego statusu prawnego będzie stał pusty, aż wreszcie popadnie w ruinę. Dlatego mocno się zdziwiła, kiedy pewnego sierpniowego dnia, idąc do lasu na grzyby, zobaczyła w ogrodzie dziewczynę. Mogła mieć dwadzieścia parę lat, może mniej. I była ładna — Dzesika zawsze porównywała urodę obcych kobiet z własną.

Zatrzymała się i przez chwilę patrzyła na nieznajomą. Ubrana w białą koronkową sukienkę dziewczyna leżała na kocu, podczas gdy przesiane przez koronę jabłoni słońce rzucało na nią rozmigotane cętki. Wyglądała na odprężoną i leniwą, jak wygrzewająca się w ciepłe jaszczurka, cała utkana ze światła, cienia i złota lekko opalonej skóry. Obok w trawie leżał srebrzysty przedmiot: czytnik albo smartfon. Dzesika, która właśnie uświadomiła sobie, że chyba się gapi, już chciała odejść, kiedy nieznajoma drgnęła, podniosła telefon i zrobiła sobie zdjęcie — słoneczny promień ześlizgnął się po srebrnej obudowie i wybuchł pod powiekami Dzesiki jaskrawym, bolesnym blaskiem.

Tego dnia po raz pierwszy od wielu lat sięgnęła po notatki, które dawno temu znaleźli z Jackiem, i przeczytała je jeszcze raz. Nadal nic z tego wszystkiego nie rozumiała, ale obudzona na nowo ciekawość nie dawała jej spokoju. Tydzień później założyła stronę internetową i wkleiła pierwszą historię. Nie było tam możliwości komentowania, był za to adres mailowy Dzesiki, taki, którego nigdzie indziej nie podawała i którego w żaden sposób nie dało się z nią powiązać. Jako tła użyła znalezionej w sieci obrazka na wolnej licencji, przedstawiającego biały dom, dokładnie taki, jaki zapamiętała z tamtej zimy. A stronę zabezpieczyła hasłem, bo z jakiegoś powodu wydawało jej się to właściwe. Nie chciała, żeby każdy mógł tę historię przeczytać. Chciała, żeby przeczytał ją Jacek, który dawno temu, kiedy chodzili jeszcze do szkoły, dla zabawy zapisywał słowa od tyłu.

Od czasu do czasu sprawdzała wiadomości, ale skrzynka była pusta — nikomu nie udało się złamać hasła. Aż do grudnia, kiedy napisał do niej student z Katowic, przedstawiający się jako Piotrek. Szukał swojej dziewczyny, Marty, która zniknęła podczas świątecznego jarmarku. I która była autorką zimowego obrazka z białym domem.

Dzesika w nagrodę za jego starania wrzuciła na stronę kolejną opowieść, a potem, po długim wahaniu, odpisała na maila:

From: Biały dom <opowiesci@interia.pl>
To: Piotr Bogdanik <piotr_bogdanik@gmail.com>
Subject: Re: kontakt
Datę: Mon, 28 Dec 2015 13:17:43

Nie wiem, gdzie ona może być. Ale widziałam ją chyba parę miesięcy temu, w sierpniu.

Mieszkała wtedy w białym domu. Podobno kupiła go jakaś rodzina z Katowic. Więcej nie udało mi się dowiedzieć.

Piotrek odpisał dwadzieścia minut później:

From: Piotr Bogdanik
<piotr_bogdanik@gmail.com>
To: Biały dom <opowiesci@interia.pl>
Subject: Re: Re: kontakt
Datę: Mon, 28 Dec 2015 13:37:51

Byłem w tym domu, ale otworzył mi jakiś chłopak. Mówił, że żadnej Marty z nim nie ma. Myślisz, że kłamał i moja dziewczyna jednak tam jest?

Dzesika znowu ociągała się z odpowiedzią.

From: Biały dom <opowiesci@interia.pl>
To: Piotr Bogdanik <piotr_bogdanik@gmail.com>
Subject: Re: kontakt
Datę: Mon, 28 Dec 2015 14:09:05

Nie wiem, możesz sprawdzić. Tylko uważaj. To niebezpieczne miejsce.

From: Piotr Bogdanik
<piotr_bogdanik@gmail.com>
To: Biały dom <opowiesci@interia.pl>
Subject: Re: kontakt
Datę: Mon, 28 Dec 2015 14:16:33

Nie ma więcej tych historii? Tylko tyle, co na stronie?

From: Biały dom <opowiesci@interia.pl>
To: Piotr Bogdanik <piotr_bogdanik@gmail.com>
Subject: Re: kontakt
Datę: Mon, 28 Dec 2015 14:22:11

Są jeszcze dwie. Nie sędzę, żebyś chciał je czytać.

From: Piotr Bogdanik
<piotr_bogdanik@gmail.com> To: Biały dom
<opowiesci@interia.pl>

Subject: Re: kontakt

Date: Mon, 28 Dec 2015 14:26:06

Owszem, chcę.

Dzesika zastanawiała się, dlaczego ludzie zawsze to robią: ostrzega się ich, a oni i tak wślazą w ciemne, wilgotne nory i pchają ręce w gniazda pełne szerszeni. Bo chcą wiedzieć? Bo zaspokojenie ciekawości wydaje im się ważniejsze niż cokolwiek innego?

Wysłała mu plik z pierwszą historią, a chwilę później kolejny, z drugą. Chce, niech ma.

Potem skasowała konto mailowe i całą stronę.

Ona była mądrzejsza i wiedziała już, że ciekawość nie jest tego warta. Dlatego zrobiła to, co powinna była zrobić lata temu — spaliła wszystkie notatki i nie myślała więcej o nich. A przynajmniej starała się nie myśleć. Czasem miała wrażenie, że coś przeszło obok niej, coś niewyobrażalnie obcego i wielkiego, jakby w ciemnym lesie na moment spoczął na niej wzrok bestii albo anioła. Nigdy nie żałowała, że udało jej się przed nim uciec, choć gdyby ktoś ją przycisnął, prawdopodobnie przyznałaby, że wciąż potrafi opowiedzieć tamte historie. Na przykład tę, której dała tytuł „Opowieść o czekaniu”.

X.

Opowieść o czekaniu

Piotrek czekał. Minęły święta i zbliżał się sylwester, a on czekał. Na telefon, dzwonek do drzwi, maila. Na wiadomość, że Marta żyje i ma się dobrze. Że go porzuciła. Że została zamordowana i jej ciało właśnie odnaleziono na jakimś polu pod lasem. Każdego dnia nadzieja umierała w nim i rodziła się na nowo. Bywały takie chwile, kiedy już-już łapał jako taką równowagę i zaczynał wierzyć, że cokolwiek przyniesie los, zdoła sobie z tym poradzić, to zaraz potem świat usuwał mu się spod nóg i Piotrek spadał w ciemność, krzycząc. Zawsze wtedy krzyczał, choć ludzie wokół niczego nie zauważali.

Nie myślał, co będzie później. Koniec przerwy świątecznej i powrót na uczelnię wydawały się niewyobrażalnie odległe, jak coś, co miało się przydarzyć komuś innemu, w innym, szczęśliwszym życiu. Wiedział też, że jeśli Marta nie wróci, będzie musiał się wyprowadzić — mieszkanie należało do niej, nie do niego, ale o tym również nie chciał myśleć. Wprowadzenie się do na wpół szalonej matki mieszkającej w starej kamienicy, bez centralnego ogrzewania, a za to z grzybem na ścianach, wydało się jeszcze bardziej abstrakcyjne niż powrót na uczelnię, do zwykłego studenckiego życia.

Nie myślał o tym. Czekał.

Czekając, przetrząsał mieszkanie, jakby spodziewał się, że znajdzie wśród rzeczy Marty odpowiedź na wszystkie pytania. Gdzie ona teraz jest? I jeszcze — może nawet przede wszystkim — kim tak naprawdę była?

Jest. Była. Czasem nie miało znaczenia, którego z tych czasowników używał. Chciał wiedzieć, tak po prostu. Zamykał oczy i przypominał ją sobie: oto piękna, inteligentna dziewczyna, pewna siebie, ale bez przesady. Trzymająca się trochę z boku — też bez przesady. Jedna z tych, które wiedzą, czego chcą, i nie ulegają głupim modom. Dziewczyna, która od

początku, od chwili, kiedy ją poznał w pierwszej klasie liceum, wstydziła się swojego bogactwa, jakby to było piętno. Piotrek nigdy nie rozumiał tej jej chęci wtopienia się w tłum, udawania, że jest taka, jak inni, choć przecież nie była. Gdyby on miał tyle pieniędzy, toby z nich korzystał, co z tego, że Marta dostawała je od rodziców, a nie zarabiała sama? Ale ona upierała się, że mają żyć zwyczajnie, i była przy tym dość niekonsekwentna — nie mieli samochodu, bo Marcie auto wydawało się niepotrzebnym luksusem, a jednocześnie zakupy robili w Piotrze i Pawle, nie w Biedronce czy Tesco, jak większość ich znajomych. Piotrek podejrzewał, że Marta w gruncie rzeczy niezbyt rozumie wartość pieniędzy. Dziwactwo, choć na swój sposób sympatyczne. Była to zresztą jedyna jej cecha, która w jakikolwiek sposób odbiegała od normy. Poza tym jego narzeczona zawsze wydawała się doskonałym przykładem zdrowia psychicznego i umysłowej równowagi. Nie było w niej nic mrocznego, nic, co by usprawiedliwiało tak nagłe zniknięcie. Im dłużej Piotrek myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że ma rację-to on, ze swoim nieszczęśliwym dzieciństwem i swoimi tajemnicami, powinien zniknąć tamtego dnia. Nie Marta.

Ta historia nie tak miała wyglądać.

* * *

28 grudnia przyszedł wreszcie mail — Piotrek, który sypiał z komórką pod poduszką i co chwila sprawdzał pocztę, żeby niczego nie przegapić, odebrał go kwadrans po tym, jak został wysłany.

From: Biały dom <opowiesci@interia.pl>
To: Piotr Bogdanik <piotr_bogdanik@gmail.com>
Subject: Re: kontakt
Datę: Mon, 28 Dec 2015 13:17:43

Nie wiem, gdzie ona może być. Ale widziałam ją chyba parę miesięcy temu, w sierpniu. Mieszkała wtedy w białym domu. Podobno kupiła go jakaś rodzina z Katowic. Więcej nie udało mi się dowiedzieć.

Odpisał:

From: Piotr Bogdanik <piotr_bogdanik@gmail.com>
To: Biały dom <opowiesci@interia.pl>

Subject: Re: kontakt

Date: Mon, 28 Dec 2015 13:37:51

Byłem w tym domu, ale otworzył mi jakiś chłopak. Mówił, że żadnej Marty z nim nie ma. Myślisz, że kłamał i moja dziewczyna jednak tam jest?

Pół godziny później dostał odpowiedź:

From: Biały dom <opowiesci@interia.pl>

To: Piotr Bogdanik <piotr_bogdanik@gmail.com>

Subject: Re: kontakt

Date: Mon, 28 Dec 2015 14:09:05

Nie wiem, możesz sprawdzić. Tylko uważaj. To niebezpieczne miejsce.

From: Piotr Bogdanik <piotr_bogdanik@gmail.com>

To: Biały dom <opowiesci@interia.pl>

Subject: Re: kontakt Date: Mon, 28 Dec 2015 14:16:33

Nie ma więcej tych historii? Tylko tyle, co na stronie?

From: Biały dom <opowiesci@interia.pl>

To: Piotr Bogdanik <piotr_bogdanik@gmail.com>

Subject: Re: kontakt Date: Mon, 28 Dec 2015 14:22:11

Są jeszcze dwie. Nie sędzę, żebyś chciał je czytać.

From: Piotr Bogdanik <piotr_bogdanik@gmail.com>

To: Biały dom <opowiesci@interia.pl>

Subject: Re: kontakt

Date: Mon, 28 Dec 2015 14:26:06

Owszem, chcę.

Kiedy odbierał kolejny mail, znów poczuł, że spada w ciemność i przez dłuższą chwilę musiał siedzieć nieruchomo, trzymając się krawędzi stołu i czekając, aż uspokoi mu się serce. Teraz, kiedy był już tak blisko, nagle

dopadły go lęk i niedowierzenie. Już tam przecież był, w białym domu. Miał do niego wrócić i znowu łudzić się nadzieją?

Tak, zdecydowanie tak, odpowiedział sam sobie.

Plik przesłany w ostatnim mailu zgrał na komórkę — nie miał czasu go teraz czytać — a potem zadzwonił do Kaśki. Nie odebrała, więc zostawił jej wiadomość:

„Hej, słuchaj, jakaś dziewczyna napisała do mnie, że Marta jednak może być w białym domu, wiesz gdzie. Pojadę tam jeszcze raz i sprawdzę. Za pół godziny mam pociąg, jeśli się pospieszę, to zdążę. Przyjedź do mnie, jak tylko będziesz mogła”.

Zdjął z wieszaka różowy polar Marty i założył, pozwalając, żeby otuliło go ciepło i delikatny zapach cytrusów. Jej zapach. Potem włożył jeszcze spodnie Marty, uczesał się jej grzebieniem i użył błyszczyka do ust. Dlaczego nie? To był dobry błyszczyk. I też pachniał Martą. Piotrek wiedział, że ludzie na ulicy będą na niego dziwnie patrzeć, ale nie zamierzał się tym przejmować. To było w pewien sposób właściwe, może nawet oczywiste.

Wyszedł, ignorując chęć, żeby natychmiast wrócić. Od czasu zniknięcia Marty, zawsze kiedy tylko tracił z oczu blok, w którym mieszkali, natychmiast zaczynało mu się wydawać, że dziewczyna właśnie zmierza do domu i że się z nią rozminie. Nawet gdy wychodził na zakupy do pobliskiego sklepiku, zdarzało mu się wracać po kilka razy. Szaleństwo, ale co ostatnio w jego życiu było normalne? Był chłopakiem, który stracił swoją narzeczoną, a teraz jechał ją odszukać, w damskim polarze i damskich spodniach, z warstwą różowego błyszczyku na ustach.

To wszystko miało sens.

Zdążył na pociąg i dopiero tam, siedząc w przedziale obok grubej kobiety i jej równie grubego dziecka, w zwyczajnym miejscu bez mroku i tajemnic — oprócz tych, które przyniósł z sobą — przeczytał ostatnią opowieść.

* * *

Telefon zadzwonił przed czwartą, gdy Kaśka wkładała naczynia do zmywarki. Spojrzała na wyświetlacz — Piotrek, jakżeby inaczej. Nie odebrała, ale kiedy tylko wytarła ręce, odsłuchała nagrany wiadomość:

„Cześć, Kaśka, nie uwierzysz, co przeczytałem... A może właśnie uwierzysz? Jesteś teraz w domu u rodziców, prawda? Stoisz w kuchni,

przed chwilą włożyłaś naczynia do zmywarki i wytarłaś ręce. Tu jest wszystko: o mnie, Marcie i o tobie. Od jak dawna wiesz? Kiedy ci się przyznała? Zresztą mniejsza z tym, zamierzam Martę znaleźć i porozmawiać. Przekonam ją, zobaczysz. Jeszcze będziemy razem".

— Kto dzwonił? — Matka Kaśki weszła do kuchni. — Pomóc ci w czymś?

— Już skończyłam. A dzwonił Piotrek.

— Ach, on. — Pionowa zmarszczka przecięła czoło kobiety. — Nigdy mi się ten chłopak nie podobał.

— Nieprawda, mamó. Na początku wszyscy go lubiliśmy. Zwłaszcza ty, pamiętasz? Zapraszałaś go na święta, a raz nawet zabrałaś do sklepu i kupiłaś mu trochę porządnych ubrań, bo wszystkie miał dziurawe.

— Nie podobało mi się, jak traktuje Martę. Chodził za nią niczym pies i zawsze jej potakiwał.

Jak ona powiedziała, że woli góry od morza, to on też, jak jej się odmieniło, to jemu też. Nawet dowcipy opowiadał takie same. To nie jest przecież normalne. Człowiek chce być z drugim człowiekiem, a nie ze swoim lustrzanym odbiciem.

— Wiem, Marta powiedziała coś bardzo podobnego. Ale to nie wina Piotrka, że taki jest.

— Kiedy ona wróci?

— Za parę dni. Musi odpocząć, odciąć się od wszystkiego. Tak mówiła.

Kobieta usiadła ciężko na krześle. Ostatnie dni przeorały jej twarz, zostawiając głębokie bruzdy, skórę wciąż miała poszarzałą i obwisłą na wyostzonych kościach, ale oczy odzyskały już blask.

Irena Kozłowska była jak ofiara katastrofy, która cała zakurzona wygrzebuje się z gruzów i rozgląda niepewnie, wciąż jeszcze niezupełnie wierząc, że udało jej się przeżyć.

— Jezu, ja kiedyś przez tę dziewczynę oszaleję. Mało zawału nie dostałam. Co jej strzeliło do głowy, żeby tak nagle zniknąć? I to przed świętami? Czemu nie zostawiła żadnej wiadomości?

— Nie mam pojęcia. Jak wróci, to ją zapytamy.

— Powinnam jej przetrzepać skórę.

— Mamó, ona jest dorosła.

— Co z tego? — powiedziała kobieta zawzięcie. Radość z niespodziewanej wiadomości zdążyła już ustąpić miejsca gniewowi. —

Powinna dostać lanie. I te jej koleżanki, które ją ukrywały, też. Jak można tak bezczelnie kłamać?

— Prosiła, żeby nie mówić nic Piotrkowi. — Kaśka rozsądnie zmieniła temat. — Na razie mu nic nie wspominałam, ale...

— Ale co? — Oczy Ireny Kozłowskiej rozbłysły czujnie. Złość złością, jednak swojego dziecka zamierzała bronić.

— To trochę nie w porządku, nie uważasz? Ten chłopak też się przecież martwi. — Kaśka nie dodała, że kiedy go ostatni raz widziała, Piotrek wyglądał, jakby zaczynał tracić rozum.

— Jeśli prosiła cię, żebyś mu nie mówiła, to pewnie miała swoje powody. No i to przecież od niego uciekła.

Kaśka pokręciła głową, nieprzekonana.

— On wie — powiedziała. — O Marcie i nawet o tym, że jestem teraz u was.

— Nonsens, skąd miałby wiedzieć. Po prostu zgaduje, bo chce cię podpuścić. Wychodzisz już? Chcesz ciasta? Albo krokietów? — Irena Kozłowska rzuciła się w stronę lodówki. — I pierogi jeszcze mam, zamrożone. Dam ci do domu. Oczywiście dla Marty trzeba coś zostawić, jak wróci, też będzie chciała zjeść. Całe święta ją ominęły, biedactwo... Ale i tak dużo zostało. Weź makowca i trochę sernika, i jeszcze to ciasto z orzechami...

Kaśka patrzyła, jak jej matka pędzi w stronę normalności, jak wskakuje w nią tak gorliwie, jakby sądziła, że jeśli się nie pośpieszy, całe to zwyczajne, świąteczne i poświęczone życie znowu jej ucieknie.

— Mam pełną lodówkę.

Ale z matką się nie dyskutowało i ostatecznie Kaśka wyszła z mieszkania rodziców, dźwigając siatkę pełną bożonarodzeniowych specjałów. Powinna teraz jak najszybciej jechać do domu, włożyć pierogi do zamrażalnika, a resztę do lodówki — jeżeli znajdzie w niej miejsce. Zamiast tego skierowała się w stronę Osiedla Paderewskiego, gdzie mieszkali Marta i Piotrek. Po drodze — który to raz z rzędu? — analizowała wiadomość od Marty. Była krótka, ledwo parę zdań:

Cześć, to ja, Marta. Postanowiłam się odezwać, bo pewnie się o mnie martwicie. Przepraszam za to zniknięcie, ale musiałam na trochę wyjechać, odciąć się od wszystkiego. Zwłaszcza od Piotrka. Nie mów mu, że się odezwałam, OK? Mamie powiedz, ale jemu nie. Nie chcę, żeby próbował

mnie szukać. I nie musicie się martwić, u mnie wszystko w porządku, nikt mnie nie porwał ani nic w tym stylu. Jestem z koleżankami i wracam za parę dni. Jeszcze raz przepraszam, głupio wyszło. Naprawdę mi przykro. A, i nie dzwoń do mnie, proszę. I tak nie odbiorę. Ale się odezwę, obiecuję. Pa.

Kaśka przesłuchiwała wiadomość kilkanaście razy, szukając w głosie młodszej siostry strachu czy choćby cienia sztuczności świadczącej o tym, że ktoś mógł ją do tego nagrania zmusić. Niczego takiego nie znalazła. Wręcz przeciwnie, dziewczyna mówiła zupełnie swobodnie, w tle słychać było radosne chichoty. W porządku: Marta była idiotką i kompletnie nieodpowiedzialną egoistką—ale żyła i miała się dobrze. To o Piotrka Kaśka się teraz martwiła, nie o nią.

* * *

Piętnaście minut później, kiedy zbliżała się do Osiedla Paderewskiego, Piotrek znowu zadzwonił i nagrał wiadomość. Kaśka odsłuchiwała ją, stojąc pod jego blokiem w zacinającym deszczu ze śniegiem, w paskudnej, zupełnie nieświętecznej pogodzie, kiedy cały świat wokół ociekał szarością zachmurzonego nieba. Drżała z zimna, ale nie wsiadła z powrotem do ciepłego wnętrza samochodu. Stała pod klatką, jakby ta wiadomość miała pomóc jej podjąć decyzję. Wejść i zrobić to, co zamierzała, czy może wrócić do auta i odjechać, pędząc pospiesznie w stronę normalności, tak jak pędziła jej matka.

To jeszcze raz ja, powiedział Piotrek. Stoisz teraz pod moim domem, pod naszym domem, a śnieg zacina ci prosto w twarz. Tu, gdzie jestem, nie pada, ale tutaj chyba zawsze pogoda jest inna niż w Katowicach. No nic, mniejsza z tym. Idziesz teraz do mnie — do nas. Masz klucze, od lata,

od ostatnich wakacji, kiedy daliśmy ci zapasowe, żebyś mogła podlewać kwiatki. Chcesz się rozejrzeć i poszukać czegoś, co mogłoby świadczyć o tym, że zwariowałem, prawda? Jeśli się tym martwisz, mogę cię uspokoić: jestem zupełnie normalny. Ale przecież i tak nie uwierzysz mi na słowo. Sam bym sobie nie uwierzył. Zwłaszcza że wiem, co dzisiaj się stanie.

Jestem teraz w pociągu, minęliśmy już stację Wilkowice Bystra, niedługo dojedziemy do Radzie-chowego-Wieprza. Zabawne mają tu nazwy. Przedział jest pusty, w zimie na tej trasie chyba w ogóle nie ma wielu podróżnych. W każdym razie wszyscy ci, którzy jechali ze mną, już wysiedli i zostałem sam. Słońce prawie całkiem zaszło, na niebie została jeszcze tylko cienka kreska czerwonego blasku, jak odbłask ognia sączący się przez

szparę w drzwiach piwnicy. Potrafię być całkiem poetyczny, jak widzisz. Ale nie o to chodzi. Kiedy wysiądę, będzie ciemno, a ja pójdę przed siebie. Najpierw prostą, oświetloną drogą, potem skręcę w górę, tam, gdzie nie ma latarni ani jasnych witryn sklepów. Mógłbym powiedzieć, że to metafora całego mojego życia, ale to nie byłaby prawda — czasem mam wrażenie, że nigdy nie szedłem jasną, prostą drogą, że przez cały czas poruszałem się w mroku. Może z wyjątkiem tego czasu, kiedy kochałem Martę i wierzyłem, że ona kocha mnie.

W ciemności zgubię się i minie dobra chwila, zanim odnajdę właściwą ścieżkę. To zabawne wiedzieć coś takiego z wyprzedzeniem, prawda? Jednak nic nie mogę na to poradzić: wiem, że się zgubię, ale w końcu trafię tam, gdzie chcę dojść.

Do białego domu.

Będzie opuszczony, a przynajmniej takie sprawi wrażenie. Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że ten dom nigdy naprawdę nie jest pusty.

Furtka skrzypnie, kiedy ją otworzę. Wejdę do ogrodu — cicho, jak najciszej, jakbym bał się oczu, które spojrzą na mnie zza ciemnej, zakurzonej szyby. Jakbym wierzył, że ktoś tam jest. Bo będę wierzył, to oczywiste, niewiara w tym przypadku byłaby czystą głupotą. W tym czasie włączysz naszego laptopa — nie martw się, ani ja, ani Marta nie weźmiemy ci tego za złe. Sprawdzisz mojego Facebooka, strony, które odwiedzałem, i moją pocztę. Ze zmarszczonymi brwiami poszukiwać będziesz śladów mojego szaleństwa, choć mówiłem ci przecież, że jestem tak normalny, jak nigdy wcześniej. Tych wątpliwości też nie będę ci miał za złe. Może przekona cię to, co znajdziesz w mojej skrzynce pocztowej. Będzie tam opowiadanie, którego ja już nie poznam. Nie wiem, co właściwie przeczytasz, i tak naprawdę niezbyt mnie to obchodzi.

Jeśli znajdę dzisiaj Martę, nic więcej nie będzie miało znaczenia. Jeśli nie znajdę... też nie będzie miało.

Ale powinienem powiedzieć ci o tym, co się ze mną stanie. Na czym skończyłem? Jak wślizguję się do ogrodu, tak. Cicho, najciszej, choć okna domu są ślepe jak oczy umarłego. Dalej wejdę po schodach na ganek i otworzę drzwi — nie będą zamknięte na klucz, to także wiem. Kluczyk od piwnicy znajdę na gwoździu tuż przy framudze. Wystarczy trochę pomacać, nie trzeba nawet zapalać latarki. Zdejmę go, włożę do kieszeni, a potem

wycofam się jeszcze ciszej, jakbym sam już umarł i został duchem. Jakby mnie wcale tam nie było.

Zamknę drzwi i pójde w stronę piwnicy. Śnieg będzie skrzypiał pod moimi stopami, a ciężkie granatowe chmury rozstąpią się, odsłaniając księżyc. Jego blask spadnie na ogród jak powłóczysty srebrny welon, jak kołęda płynąca przez ciemność w najcichszą i najświętszą noc w roku. Tak właśnie powinno wyglądać prawdziwe Boże Narodzenie.

Żałuj, że tego nie zobaczysz.

W świetle księżycyca podejde do drzwi piwnicy i otworze kłódkę. Dopiero wtedy zapalę latarkę, a potem pójde schodami w dół- nie mam pojęcia, po co, skoro i tak wiem, kogo tam zastanę. Widocznie jednak to musi się wydarzyć, dlatego nie zamierzam niczego zmieniać. Jeśli zrobię wszystko tak, jak zostało zapisane, odnajde Martę. Jestem o tym przekonany.

W piwnicy zobaczę śpiące kilkunastoletnie dziecko nieokreślonej płci, brudne, w obszarpanym ubraniu. Nie obudzę go — dlaczego miałbym to zrobić? Wyjde na zewnątrz, zostawiając otwarte drzwi. Tyle będę mógł dla niego zrobić i tyle zrobię.

Zresztą w chwili, gdy na powrót znajde się w ogrodzie, nie będę już o dziecku pamiętał, bo właśnie zobaczę, jak po schodach na ganek wchodzi zgrabna dziewczęca postać. Marta, jestem prawie pewien, że to będzie Marta.

Prawie, bo w tym momencie kończy się moja wiedza i mogę jedynie zgadywać — wiem tyle, że nieznajoma będzie miała sylwetkę Marty, jej sposób poruszania się i podobną krótką fryzurę.

A więc ona. W to zamierzam wierzyć.

Wejdzie do domu, a ja wejde za nią i zawołam ją po imieniu, już nie przejmując się tym, że powinienem być cicho.

Nie wiem, co będzie dalej, ale myślę, że wszystko skończy się dobrze. Wrócimy razem do domu i zapomnimy o tej całej historii. Twoja matka może mnie nie lubić, ale ja i Marta nadal się kochamy.

A, i gdyby przyszło ci do głowy, żeby do mnie zadzwonić, z góry ostrzegam, że tu jest bardzo słaby zasięg.

Ale i tak zadzwonisz, prawda?

* * *

Miał rację — Kaśka natychmiast zadzwoniła. Sama nie wiedziała, czego właściwie się spodziewa. Że Piotrek odbierze i wyjaśni jej, że to

wszystko to jakiś piętrowy dziwaczny żart?

Nie odebrał i dziewczyna, bez większego zdziwienia, schowała telefon. Potem weszła do klatki — była już nieźle zmarznięta, a ręce miała zsiniałe od mrozu — i wspięła się na drugie piętro, do mieszkania Marty i Piotrka.

Nie wierzyła, że chłopak jest zdrowy psychicznie — pod tym względem także miał rację. Nikt, kto wygaduje takie rzeczy, nie może być normalny.

W mieszkaniu zdjęła płaszcz i buty, a potem włożyła zapakowane przez matkę specjały do lodówki. Pierogi do zamrażalnika, ciasta i krostki na górną półkę. Marta i Piotrek nie będą głodni, kiedy wrócą. Jeśli wrócą — Kaśka nie miała wątpliwości, że jej stuknięta siostra prędzej czy później się pojawi, ale Piotrek... Piotrek to co innego. W jego przypadku nie była pewna.

Włączysz laptop, powiedział.

Kaśka nie włączyła laptopa. Zamiast tego usiadła na tapczanie i zapaliła papierosa. Siedziała tak przez chwilę, gapiąc się w ścianę i zastanawiając, co u licha powinna teraz zrobić. Bo w przeciwieństwie do Marty, która tylko dobrze udawała, Kaśka naprawdę była całkowicie zwyczajna. Całe jej życie do tej pory było uporządkowane, ułożone precyzyjnie jak koszulki i skarpetki w szufladach. Najpierw dobre liceum, potem elitarne studia, praca i pięcie się po kolejnych szczeblach kariery, po drodze może związek z mężczyzną, który spełniałby jej oczekiwania — na razie żaden nie spełniał, ale Kaśka wierzyła, że w końcu kogoś odpowiedniego spotka. Wreszcie małżeństwo i dwójka słodkich ciemnowłosych dzieci — wybrała już nawet imiona. Jasna, prosta ścieżka, na której nie ma miejsca na szaleństwo i sekrety. Ani na skręcanie w ciemność. Zniknięcie młodszej siostry mieściło się jeszcze w definicji słowa „zwyczajny” — takie przypadki były tragiczne, ale przecież się zdarzały i Kaśka potrafiła sobie z nimi radzić. Chłopak, który przez telefon oznajmiał, że zna przyszłość, który wiedział, gdzie Kaśka w danej chwili jest i co robi, już zdecydowanie do tej definicji nie pasował. Dlatego czuła się tak bezradna. To był inny, obcy świat, którego nie rozumiała i nie chciała zrozumieć.

Gdy skończyła papierosa, włączyła wreszcie komputer. Kiedyś przecież i tak musiała to zrobić. Zamiast jednak zajrzeć na pocztę, odpaliła odcinek serialu, który znalazła na pulpicie. „Wikingowie”, sezon drugi. Niewiele z niego rozumiała: główny bohater, Ragnar, wybaczył swojemu bratu zdrajcy, ale jednocześnie zabronił mu ze sobą rajdować. Potem wykluczył

z wyprawy sprzymierzonego jarla, który nie dogadywał się z innym jarlem, i popłynął do Anglii. Po drodze sztorm zniósł bohaterów z kursu i kilka statków utonęło, a kiedy wylądowali wreszcie w Wessex, Ragnar dowiedział się od uwięzionego mnicha, że miejscowy król jest taki, jak on, czyli pewnie sprytny.

Oglądała to wszystko, myśląc o dziecku w piwnicy i sylwetce na schodach, która wyglądała jak Marta, choć przecież Martą być nie mogła — Kaśka za nic by nie uwierzyła, że jej młodsza siostra uciekła na wieś, do opuszczonego domu. Latem coś takiego miałoby sens, ale nie zimą.

Oglądała, rzucając w ten sposób wyzwanie przeznaczeniu.

Przeczytasz opowiadanie, powiedział Piotrek, a ona włączyła serial i nie potrafiła teraz powiedzieć, czy ta decyzja ma jakiegokolwiek znaczenie. Możliwe zresztą, że Piotrek i takie zachowanie przewidział, tylko z jakiegoś powodu nie chciał jej o tym powiedzieć—to również przyszło jej do głowy.

Wreszcie odcinek się skończył, a Kaśka musiała coś zrobić. Pewnych rzeczy nie da się uniknąć. Od telefonu Piotrka minęło sporo czasu — zapewne odnalazł już biały dom i wszedł przez furtkę, która skrzypnęła cicho w ciemności. Za moment zdejmie z gwoźdźca klucze, otworzy drzwi piwnicy i zastanie tam pogrążone we śnie dziecko.

Niektóre rzeczy po prostu muszą się wydarzyć.

Kaśka kliknęła na skrzynkę pocztową Piotrka, znalazła załącznik do ostatniego maila i zaczęła czytać.

XI.

Opowieść o żyletce

Aneta obudziła się w nocy z naciskającym jej na piersi dojmującym poczuciem osamotnienia. Znała je dobrze: nieruchomość zastygłego powietrza i gorliwe tykanie zegara na próżno starającego się wypełnić ciszę.

Marek zniknął, wiedziała o tym, jeszcze zanim na dobre otworzyła oczy. Wstała. Za oknami było ciemno, ale coś podpowiadało jej, że do świtu już niedaleko. Pstryknęła włącznik wiszącej pod sufitem lampy i jaskrawy blask zalał pokój, podkreślając całą jego brzydotę. Światło zapalane o piątej rano w zimową noc ma blady, szpitalny odcień i zawsze wydaje się zbyt ostre. Jak nóż albo żyletka, z jakiegoś powodu Aneta pomyślała właśnie o żyletce. Poszła do kuchni, ścigana przez anemiczny, rozwodniony cień, zaparzyła kawę, a potem, czekając, aż gorący płyn ostygnie, zadzwoniła do Marka.

W drugim pokoju — tym, który nazywała gabinetem — rozległa się skoczna melodyjka *Jingle Bells*, brzmiąca w ciszy płasko i metalicznie, jakby wygrywały ją duchy minionych świąt. Dziewczyna zmarszczyła brwi. Niech to chuj strzeli. Marek pojechał gdzieś, zostawiając komórkę. I oczywiście zostawiając ją, Anetę. Niech to strzeli chuj jeszcze większy. Usiadła w fotelu, rozdrapując strup na kolanie, i patrzyła w okno, podczas gdy na stoliku obok stygła kawa. Oczy Anety miały zamglony, mydlany połysk, jak okna domu, w którym ktoś umarł. Wciąż myślała o żyletce.

Ocknęła się kilka minut później i palcami lepкими od krwi sięgnęła po telefon — nie swój, tylko Marka. Odszukała numer, na który najczęściej dzwonił, opisany jako „Natalia”. Różowo-seledy-nowe imię, stosowne w sam raz dla kochającej kucyki dziewczynki ze wstążkami we włosach.

Aneta bez trudu domyśliła się, że to żona Marka.

Wcisnęła zieloną słuchawkę i czekała, przekonana, że minie dłuższa chwila, zanim ktoś odbierze — w końcu był środek nocy. Jednak Natalia odezwała się już po dwóch sygnałach, zdyszana, jakby biegła do telefonu gdzieś z końca świata, z innej, znacznie bardziej zwyczajnej rzeczywistości.

— Marek? Co się dzieje?

— Nazywam się Aneta Lelich, jestem koleżanką Marka, jeszcze z liceum. Był u mnie, a potem gdzieś pojechał, zostawiając telefon. Nie wie pani, gdzie on może być?

Żadnych tłumaczeń, żadnego usprawiedliwiania się, tylko chłodny oznajmiający ton i proste pytanie. Jeśli różowej i seledynowej Natalii to się nie podobało, to już jej sprawa.

Nabrzmiała emocjami cisza po drugiej stronie linii świadczyła o tym, że owszem, nie podobało się. Aneta czekała, wyobrażając sobie tamtą kobietę, ściskającą w rękę telefon i w szpitalnym, zbyt jaskrawym świetle patrzącą oszołomionym wzrokiem w ścianę. Nagle zobaczyła ją w odmłodzonej wersji na okładkach książek młodzieżowych, jednych z tych, którymi jako nastolatka tak bardzo pogardzała. *Natalia jedzie na wakacje, Natalia poznaje pierwszą miłość, Natalia i Nagłe Zniknięcie Męża.*

Aneta zachichotała, rozdrapując kolejny strup. Myśl o żyletce oplatała ją, ciernista i szara jak papierosowy dym.

— Wyjechał jakieś pół godziny temu — powiedziała wreszcie Natalia. — I zabrał samochód. Nawet bym go nie zobaczyła, gdyby nie to, że nie spałam i usłyszałam warkot silnika. Zbiegłam na dół i zrobiłam mu awanturę. Pytałam, co się dzieje, kiedy właściwie zamierza wrócić do domu.

— Co odpowiedział?

— Że musi jeszcze tylko gdzieś pojechać, bo to ważne. Nie wiem gdzie. — Sądząc po głosie, Natalia była bliska płaczu. — Nie rozumiałam go zbyt dobrze. Zachowywał się, jakby mnie nie poznawał, jakbym była dla niego obcą osobą. O co w tym wszystkim chodzi?

Aneta mogła odpowiedzieć, że też nie ma pojęcia. Zamiast tego wcisnęła czerwoną słuchawkę i rozłączyła się. Wiedziała już to, co chciała wiedzieć.

* * *

Do jednej kieszeni włożyła komórkę Marka, a do drugiej — po namyśle i jednocześnie zupełnie bez namysłu — żyletkę, którą osadziła

w drewnianej rękojeści brzytwy. Był czas, kiedy cienkie srebrne ostrze było jedynym, co ratowało ją w długie zimowe noce, gdy budziła się, czując naciskającą na jej pierś samotność i słysząc tykanie zegara. Kiedyś, dawno temu. Zanim nauczyła się, że jeśli trzeba kogoś zranić, lepiej zrobić to komuś innemu, nie sobie.

Gdy wsiadała do samochodu, niebo na wschodzie pojaśniało; cienka na razie czerwona i pomarańczowa linia, jak odblask ognia widoczny w szparze zamkniętych drzwi piwnicy. Aneta ruszyła, kierując się w stronę Osiedla Paderewskiego. Marek tam pojechał, to wydawało się oczywiste.

Chciał rozprawić się raz na zawsze z dziewczyną, która tak niespodziewanie wróciła z za grobu — też oczywiste. Sama o tym myślała, choć pewnie zachowałyby większą ostrożność.

Zaparkowała samochód pod blokiem, wysiadła i spojrzała w okna na drugim piętrze. Były ciemne, ale to o niczym nie świadczyło, o tej porze większość mieszkańców spała jeszcze głębokim snem, jaki zdarza się tuż przed świtem, gdy świat zamiera pełen niechęci, niczym człowiek na trampolinie, ociągający się przed skokiem do zimnej wody.

Zapaliła papierosa i stała tak przez chwilę, patrząc to na ciemne okna, to znów na zamknięte drzwi klatki schodowej. Ona też zamarła. Zawsze była cierpliwa i potrafiła czekać. Miała przy tym szczęście, bo nim skończyła papierosa, z klatki schodowej wyszła zaspana, okutana w płaszcz postać, która somnambulicznym krokiem skierowała się w stronę przystanku autobusowego.

Aneta rzuciła niedopałek na ziemię, w kilku skokach znalazła się przy drzwiach i złapała je, zanim zdążyły się zatrzaskać. Weszła i wspięła się na drugie piętro. Który numer mieszkania? Zastanowiła się: okna były pierwszymi oknami po lewej, więc szukała prawdopodobnie ósemki.

Przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała. Nic, żadnych odgłosów świadczących o tym, że zmartwychwstała dziewczyna przyjęła właśnie niespodziewanego gościa, żadnych dźwięków sugerujących brutalność rozcinanego ciała i rozlewającej się po podłodze krwi. Nasłuchiwała, podczas gdy żyłtka wierciła się w jej kieszeni, a rany zadane dawno temu samej sobie zaczynały swędzieć, jakby też się niecierpliwiły. Nagle drzwi mieszkania naprzeciwko otworzyły się i Aneta odskoczyła gwałtownie, przyszpilona do ściany bystrym spojrzeniem starej kobiety. Sąsiadka miała na głowie papiloty, a na pizamę zarzuciła dziurawy szlafrok. Nie wyglądała

na kogoś, kto o tej porze wybiera się do pracy, prawdopodobnie więc była jedną z tych nieszczęśliwych dusz, którym z powodu bezsenności noc zlewa się z dniem.

— Nic tu pani nie wystoi — powiedziała. — Wyjechali.

— Wyjechali? — powtórzyła Aneta głupio.

— Ano, wyjechali, ona to już dawniej, a on wczoraj. Nie wiem, czy wróca.

— Dziękuję.

Dźwięk *Jingle Bells* ocalił ją przed koniecznością prowadzenia dalszej rozmowy. Odebrała, a starsza kobieta, pełna niejasnej dezaprobaty, jakby Aneta przeszkodziła jej w czymś ważnym, schowała się z powrotem w głąb mieszkania.

— Halo?

— Marek właśnie do mnie dzwonił — oznajmiła Natalia. — Z obcego numeru, podobno z komórki jakiejś kobiety. Powiedział, że spotkał ją po drodze i że razem jadą do białego domu. Wie pani, gdzie to jest?

— Chyba wiem.

— Gdzie?

— Góra Matyska, ostatni dom tuż przed szczytem.

— Ale...

— Zadzwoń do pani, jak tylko się czegoś dowiem. — Nie zamierzała tego robić, ale Natalia nie musiała o tym wiedzieć.

Aneta rozłączyła się, schowała komórkę i wsiadła do samochodu. Gdy jechała przez budzące się powoli Katowice, a potem przez Tychy i Bielsko, powietrze pachniało jeszcze chłodną, wczesną wiosną, ale kiedy minęła tabliczkę z napisem Radziechowy, zima wróciła i zaczął padać śnieg.

* * *

Kim była kobieta, którą spotkał Marek? Aneta doszła do wniosku, że to świąteczna dziewczyna. Ta, którą zabili. Albo przynajmniej chcieli zabić, bo zamiast niej zginął chłopak. O znalezionym na polu ciele nie zamierzała myśleć, bo to prowadziło w ciemne miejsca, tam, gdzie nie chciała zaglądać. Jak w opowiadaniach o Sherlocku Holmesie: trzeba odrzucić wszystko to, co zbyt skomplikowane i nieprawdopodobne, żeby móc się skupić na rzeczach prostych i zrozumiałych. A więc dziewczyna. Ona wyjechała i Marek też wyjechał — wniosek, że są teraz razem, wydawał się logiczny. Choć Aneta niczego już nie była pewna. Parę dni temu zobaczyła

dziewczynę po raz pierwszy od wielu lat, również na katowickim rynku, jakby to było przeznaczenie albo złośliwy żart losu. Tamta wychodziła właśnie ze Skarbka, w rozpiętym czerwonym płaszczu i z czapką w rękę, bo niespodziewanie zrobiło się ciepło. Miała dłuższe włosy niż siedem lat temu, ale Aneta i tak ją rozpoznała. Zawsze chwaliła się swoją pamięcią do twarzy, a świąteczna dziewczyna nie zmieniła się prawie wcale.

Aneta podjęła błyskawiczną decyzję, poszła za czerwonym płaszczem i wsiadła razem z nim do autobusu. Śledziła dziewczynę aż na Osiedle Paderewskiego, a potem jeszcze długo obserwowała postać poruszającą się za szybą. W pewnym momencie szczupła dziewczęca sylwetka stanęła w oknie, odsunęła firankę i spojrzała w dół, prosto na Anetę.

Gdyby nie tamto spojrzenie, mogłaby może odpuścić, uznać, że się pomyliła. Wrócić do domu i o wszystkim zapomnieć. Ale świąteczna dziewczyna popatrzyła na nią, a Aneta poczuła się w tym momencie naga, odsłonięta. I wiedziała już, że tamta wie. Dlatego właśnie musiała odnaleźć Marka, a potem coś z tym zrobić. Tak właśnie myślała: coś z tym zrobić, jakby problem dotyczył zapchanej toalety albo niedziałającej kuchenki gazowej.

Dowiedziała się, gdzie Marek mieszka, wyciągnęła nawet od jakiejś Eweliny w zakładzie fotograficznym numer jego telefonu. Nie zdziwiło jej, że chłopak ułożył sobie życie, ożenił się, miał dwójkę dzieci i dobrą pracę. Nie zdziwiło, ale trochę rozzłościło. Ona wciąż mieszkała w domu, który odziedziczyła po rodzicach, a starszy o dziesięć lat przyrodni brat płacił rachunki i czasem wpadał sprawdzić, jak sobie radzi. W pracy nigdy nie udało jej się utrzymać dłużej niż miesiąc — po upływie tego czasu niezmiennie wyrzucano ją za arogancję, lenistwo albo spóźnianie się. Albo wszystko naraz. Aneta nie żałowała, bo żadne zajęcie jak dotąd jej nie zainteresowało. Z wyjątkiem może pisania, pisać lubiła, tyle że niczego nie potrafiła skończyć. Zawsze zaczynała, pełna świeżych pomysłów, docierała do połowy i znudzona, porzucała powieść, żeby po kilku miesiącach zacząć następną. Większość dni spędzała na czytaniu książek, oglądaniu filmów albo włóczeniu się po osiedlu. Miewała chłopaków, ale ci nudzili jej się jeszcze szybciej niż projekty literackie. Bywa. Nie narzekała na swoje życie, przynajmniej do czasu, aż znowu spotkała Marka. W liceum naprawdę się w nim kochała, co prawda krótko, ale jednak. Był taki słodki, kiedy go pierwszy raz zobaczyła, ubranego w granatowe, zaprasowane

w kant spodnie i białą koszulę. Miał zabawnie przylizane włosy i oczy wystraszonego zwierzątka, które po raz pierwszy odważyło się wychnąć ze swojej nory i teraz nie ma pojęcia, co się wokół niego dzieje. Uśmiechnęła się na wspomnienie, jak w drugiej klasie podczas apelu dyrektorka pomyliła go z dziewczyną. Taki ładny, niewinny chłopiec. Wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby zerwać go jak smaczny owoc. Zawsze ją pociągał i jednocześnie irytował — najpierw trochę, potem bardzo. I teraz, po tych wszystkich latach, dawne uczucia wróciły. Aneta była już starsza, mądrzejsza. Wiedziała, że nie wytrzymałaby ze sobą długo. A właściwie ona nie wytrzymałaby z nim. Nie miałyby jednak nic przeciwko temu, żeby Marek odszedł od żony i zamieszkał z nią. Na krótko, tydzień, może dwa. Góra miesiąc. Potem wystawiłaby go za drzwi i kazałaby wracać do rodziny. To byłoby zabawne. I mogłoby się wydarzyć, nie miała co do tego wątpliwości.

Oczywiście zakładając, że najpierw poradzą sobie z najważniejszym problemem, czyli niespodziewanym powrotem świątecznej dziewczyny. Jeśli Aneta miała szczęście, Marek już się nią zajął. Jeśli nie, zamierzała mu w tym pomóc.

* * *

Gdy zaparkowała samochód przy stacji Drogi Krzyżowej, śnieg już prawie przestał padać.

Z nieba spływały jeszcze tylko pojedyncze płatki — Aneta odchyliła głowę, otworzyła usta i złapała ostatni z nich na język. Był lodowato zimny, pozbawiony smaku i znaczenia, jak wysłana z zaświatów pusta wiadomość, biały szum na ekranie telewizora. Kiedy szła w stronę szczytu, słońce wynurzyło się zza horyzontu. O tej porze nie dawało ani dużo światła, ani ciepła, było zamgloną kulą żaru spowitą w chmury, których gęstość i kolor zapowiadały kolejny atak śnieżycy. Niebo miało czerwoną barwę, jakby płonęło z wściekłości, a żyłtka w kieszeni Anety znowu poruszyła się niecierpliwie. Dziewczyna widziała już biały dom i tym razem nawet nie spojrzała w stronę pola, gdzie pochowali ciało. To nie było ważne, nie teraz. Weszła do ogrodu, zastanawiając się, czy Marek i tamta już tu są. Nie widziała samochodu, ale przecież mogli go zostawić gdzieś wcześniej, tak jak ona. Mało które auto dawało radę wjechać pod tę górę, zwłaszcza zimą, a najprostsze odpowiedzi są zawsze najlepsze. Poza tym w ogrodzie na świeżym śniegu zobaczyła ślady męskich butów.

Wspięła się na ganek, zajrzała w ciemne okna i zapukała, a kiedy nikt nie odpowiedział, nacisnęła kłamekę. Drzwi okazały się otwarte i z jakiegoś powodu wcale jej to nie zdziwiło. Weszła.

W domu tykał zegar, ale nie słyszała w jego głosie gorliwości, a cisza poruszała się jak trącona delikatnie struna. Na stole w kuchni Aneta znalazła zdjęcie trzech dziewcząt — świątecznej i dwóch innych, których wcześniej nie widziała. Siedziały w ogrodzie, w słońcu, zielonej trawie i puszystych lekkich mleczach. I przynajmniej dwie sprawiały wrażenie szczęśliwych.

Wyglądało na to, że świąteczna dziewczyna była tu już wcześniej, być może nawet dom należał do niej. A Aneta i Marek zupełnym przypadkiem wybrali pole tuż obok, żeby pochować jej ciało. Ciało chłopaka, którego za nią wzięli, wszystko jedno. Jak duża była szansa na zaistnienie takiego przypadku? Aneta próbowała sobie przypomnieć, dlaczego w ogóle zdecydowali się na to miejsce. Marek chciał wywieźć zwłoki do lasu i po prostu porzucić, ale ona uznała, że muszą je zakopać.

Ado kopania potrzebowali miękkiej, niezamarzniętej ziemi i niezłej widoczności — dlatego jechali tak daleko, poza zasięg zimy i śniegu. Wtedy, w tamtej sytuacji, to miało sens.

Odwróciła się, słysząc skrzypnięcie drzwi, a potem odgłos kroków.

— Marta? — zawołał ktoś i chwilę później w drzwiach kuchni stanęła szczupła postać. „Świąteczna dziewczyna!”, pomyślała Aneta w pierwszej chwili, ale to nie była ona, tylko chłopak ubrany w różowy damski polar i z błyszczkiem na ustach, jak kompletny idiota. Z daleka może i ktoś dałby się nabrać, ale na pewno nie z bliska, a Aneta była zbyt mądra, żeby pozwolić się oszukać po raz drugi. Ta mistyfikacja jeszcze bardziej ją rozwścieczyła.

— Marta? — powtórzył chłopak raz jeszcze niepewnie, jakby naprawdę spodziewał się, że Aneta odpowie: Tak, to ja. — Nie widziałas jej?

Spojrzał na leżące na stole zdjęcie i jego oczy rozszerzyły się nagle, desperacką nadzieją.

— To ona! — oznajmił. — Była tutaj!

Aneta chwyciła go za różowy polar i popchnęła na ścianę.

— Kim, u diabła, jesteś i co zrobiłeś Markowi?

— Jakiemu Markowi? Puść mnie!

— Powinien tutaj już być. — Nie zamierzała puszczać, a chłopak, tak jak się spodziewała, okazał się słabszy od niej. — Średniego wzrostu, ciemne włosy, dwadzieścia parę lat...

— Nie wiem nic o żadnym Marku! Przyjechałem, żeby znaleźć Martę!

— Czyli jesteś chłopakiem dziewczyny ze zdjęcia, tak? — Aneta upewniła się. — Co o mnie wiesz?

— Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. — Ale miał pojęcie, widziała to w jego oczach.

— Przyjrzyj mi się dokładnie. Co ty i twoja dziewczyna o mnie wiecie?

Patrzyła na niego i przyciskała do ściany, aż wreszcie przestał wić się, wierzgać i kłamać. I skapitulował.

— Jezu, to jesteś ty — powiedział. — Czytałem o tobie...

Wtedy wyjęła z kieszeni mocno już zniecierpliwioną żyłkę i poderżnęła mu gardło.

* * *

Nie pamiętała potem, które z nich umarło tamtego dnia, wiedziała jedynie, że przyjechali po nią zdumiewająco szybko, zanim zdążyła dopić kawę, którą znalazła w szafce nad zlewem. Siedziała przy stole, wpatrując się w schnące na podłodze czerwone ślady, kiedy weszli. Było ich dwoje, młody barczysty mężczyzna i starsza kobieta w džinsach i tanim swetrze, z farbowanymi jasnymi włosami. On na widok Anety trochę się odprężył, ona wciąż miała czujne spojrzenie kogoś, kto spodziewa się najgorszego, a ręka trzymająca broń nawet nie drgnęła.

— Pani pójdzie z nami — powiedziała kobieta.

Aneta nie patrzyła już na krew, tylko na zdjęcie, które wciąż leżało na stole. Dwie dziewczyny śmiały się radośnie, uśmiech trzeciej był melancholijny jak uśmiech kogoś, kto ma tajemnicę, ale nauczył się z nią żyć tak, że na co dzień prawie o niej nie pamięta. Ta dziewczyna miała włosy ścięte na pazia i twarz smutnego elfa, z wąskimi ustami i wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi.

Im dłużej Aneta na nią patrzyła, tym bardziej wydawała jej się znajoma, jak ktoś dawno niewidziany, kogo poznaje się dopiero po dłuższej chwili.

— Pani pójdzie z nami — powtórzyła policjantka.

Aneta skinęła głową, że tak, pójdzie z nimi. Kobieta wyglądała na wdzięczną i starała się nawet być delikatna, kiedy zakładała jej kajdanki.

Zabrali Anetę na posterunek, gdzie pozwolili jej się umyć, a potem przebrać w czysty sweter. Policjantka zdjęła go z kaloryfera — na rękawach był jeszcze odrobinę wilgotny, miał też łaty na łokciach i kilka dziur wyglądających jak wygryzione przez mole. Gdyby Aneta miała zgadywać, powiedziałyby, że to robocze ubranie ciecica, coś, co zakładał, kiedy szedł odśnieżyć podjazd albo naprawić kapryśny bojler w piwnicy. Choć równie dobrze sweter mógł należeć do któregoś z policjantów, bo posterunek nie wyglądał na taki, który może sobie pozwolić na dozorcę. Był mały, ledwo dwa pomieszczenia i ubikacja wielkości schowka na miotły, choć komputer na biurku wyglądał na stosunkowo nowy. Aneta rozejrzała się, rejestrując jeszcze wiszący na drzwiach kalendarz rolniczy, padający za oknem śnieg i absurdalny rysunek różowej żyrafy w pomarańczowej czapce, który z jakiegoś powodu zdobił jedną ze ścian.

Policjantka pozwoliła na te oględziny, a potem zażądała wyjaśnień.

* * *

— Mieliśmy zawsze być razem — powiedziała Aneta. — Ale takie rzeczy nigdy nie wychodzą, co?

— Nie rozumiem. Jak to mieliście zawsze być razem. Pani i kto?

— Marek. On też pojechał do tego domu. Powinien być tam przede mną.

Policjantka wolno skinęła głową.

— W porządku, proszę opowiedzieć mi o Marku.

— Źle się czuję — poskarżyła się Aneta. — Chyba muszę jechać do szpitala.

— Przykro mi. — Policjantka wskazała na okno, za którym szalała śnieżycyca. — Wygląda na to, że nie ruszymy się stąd przez parę godzin. No więc jak będzie? Opowie mi pani o Marku?

— To wszystko nie ma sensu. — Aneta oblizwała spierzchnięte od mrozu usta. Choć przecież sens chyba miało. Zaczęła go dostrzegać w kuchni białego domu, gdy patrzyła najpierw na czerwone ślady, a potem na zdjęcie trzech dziewcząt. Człowiek potrafi dostrzec różne rzeczy, kiedy patrzy na krew. Zupełnie jakby miała przed oczami jeden z tych obrazków, na których chaotyczna z pozoru plątanina tworzy konkretny rysunek, jeśli spojrzy się pod odpowiednim kątem. Wystarczy jednak lekko drgnąć albo przestać się koncentrować, żeby porządek znów zmienił się w chaos.

A Aneta nigdy nie wytrzymała na tyle długo, żeby zrozumieć, co właściwie widzi. Bywały chwile, kiedy wydawało jej się, że już-już ten sens chwyta, a za moment prawda wyslizgiwała jej się jak wilgotna kostka mydła. Rozbolała ją tylko głowa. Zresztą wszystko ją bolało, nawet ręce. Naprawdę powinna pojechać do szpitala. I naprawdę wiedziała, że przynajmniej chwilowo nie ma na to szans.

— To nie jest formalne przesłuchanie? — upewniła się jeszcze.

— Nie, na razie po prostu sobie rozmawiamy.

— W takim razie może chciałaby pani posłuchać pewnej historii?

— O Marku?

— O nim, a także o kimś innym.

— Niech będzie. — Policjantka zapaliła papierosa, a po chwili wahania poczęstowała też Anetę. Ignorując narastający ból, dziewczyna skoncentrowała się. Nadal nie potrafiła dostrzec całości, ale widziała przynajmniej kawałek.

Zaczęła mówić.

XII.

Opowieść o Kaśce

Dziewczyna, o której chcę opowiedzieć, nazywała się Katarzyna, ale wszyscy, od najwcześniejszego dzieciństwa poczynając, mówili na nią po prostu Kaśka.

A więc Kaśka. Dziewczyna, która miała wadę. Była bowiem lojalna, a przynajmniej starała się taka być. Nie miła, nie sympatyczna, tylko właśnie lojalna. Wobec krewnych, przyjaciół i znajomych. Nawet wobec byłego chłopaka młodszej siostry, którego w gruncie rzeczy niezbyt lubiła. Uważała, że po tych wszystkich latach, kiedy praktycznie był częścią rodziny, coś mu się od nich należy. Zwłaszcza że Marta potraktowała Piotrka naprawdę paskudnie i Kaśka, niejako w jej imieniu, czuła się teraz winna. Dlatego nie mogła tak po prostu pójść do domu i zapomnieć o tym, co przeczytała. Choć była tego bliska — tłumaczyła sobie, że to wszystko bzdury, jakiś dziwaczny żart, w którym nie ma ochoty brać udziału. Piotrek wiedział, że Kaśka odbierze jego wiadomość w domu rodziców, owszem — ale przecież w święta dziewczyna bywała tam prawie codziennie. I zawsze po obiedzie pomagała matce sprzątać, to nie była żadna tajemnica. Potem natomiast, kiedy powiedział, że Kaśka stoi właśnie pod klatką schodową, podczas gdy śnieg zacina jej w twarz... I to można było jakoś wytłumaczyć. Chłopak mógł się domyślić, że Kaśka zechce pojechać do jego mieszkania, mógł też wynająć kogoś, żeby ją śledził, albo obserwować dziewczynę przez zainstalowaną gdzieś kamerę. Wyjaśnienie mało prawdopodobne, jednak lepsze niż to, że Piotrek znał przyszłość. Czegoś takiego nie zamierzała dopuścić do świadomości.

Wszystkie argumenty przemawiały za tym, żeby przestać się przejmować i wrócić do domu. Żaden nie przemawiał za tym, żeby utkwąć w mieszkaniu Piotrka jak kołek. A jednak Kaśka to właśnie zrobiła — została w mieszkaniu na Osiedlu Paderewskiego, jakby spodziewała się, że

chłopak za chwilę wróci, cały i zdrowy. Co jakiś czas do niego dzwoniła, ale telefon oczywiście milczał. Zadzwoiła więc do Marty, a siostra, ku zdziwieniu Kaśki, tym razem odebrała.

— O rany, przecież mówiłam, żebyście się nie martwili — powiedziała zdyszczanym głosem.

— Wrócę przecież. Na sylwestra będę w domu, *don't worry*.

— Nie pytam, kiedy wrócisz, tylko gdzie ty właściwie jesteś.

— W Wiśle, a co?

— Nie w Radziechowym?

— Nie, co miałabym tam robić w środku zimy? To dziura, miła, ale dziura. Byłam tam w lecie, na weekend, kiedy zmusiłam Piotrka, żeby wreszcie odwiedził matkę. Nawet mu nie mówiłam, bo znowu byłby zazdrosny.

— Czyj to dom?

— Rodziców Ewki. Jeżdżą tam latem.

— Czyli teraz ten dom stoi pusty?

— Pewnie tak. Nie wiem, mogę zapytać Ewkę, jest teraz ze mną. Eeeeeewaaa!

Kaśka cierpliwie wysłuchiwała serii trzasków przetykanych fragmentami rozmowy. Chwilę później Marta znowu się odezwała:

— Dom jest pusty. Po co ci to w ogóle?

— Bo Piotrek tam pojechał. Szukać ciebie.

— Rany, co mu strzeliło do głowy? I skąd wiedział o tym domu?

— Znalazł stronę z obrazkiem, który narysowałam.

— A, ta strona! Trafiłam na nią przypadkiem i próbowałam złamać hasło, ale mi nie wyszło.

— Piotrkowi się udało. Martwię się teraz o niego. Myślę, że może mu coś grozić...

— W Radziechowym? — Marta roześmiała się. — Odmrozi sobie co najwyżej tyłek. Daj spokój i przestań się tak przejmować. Będzie dobrze.

Kaśka pozwoliła się przekonać — przynajmniej na chwilę, bo pięć minut później dzwoniła już na posterunek policji w Węgierskiej Górcie.

* * *

Zadzwoiła tutaj, prawda? Zgaduję po pani minie, że tak. Poprosiła, żebyście zwrócili uwagę na dom stojący tuż pod szczytem Matyski, bo może się tam zdarzyć coś złego, a wy... Założę się, że zlekceważyliście jej

telefon. Wydawał się wam zbyt absurdalny, żeby brać go na poważnie, przecież tutaj nigdy nic się nie dzieje. Zapewniliście jednak Kaśkę, że zajmiecie się zgłoszeniem, a ona, uspokojona, wróciła do oglądania „Wikingów”, bo nie mogła spać, a powrót do domu wydawał jej się z jakiegoś powodu niewłaściwy.

A więc „Wikingowie”. Niewiele rozumiała z fabuły, ale przynajmniej główny bohater był przystojny, a krajobrazy ładne. Choć kiedy chrześcijański biskup ukrzyżował poganina za herezję, trochę się zirytowała. Czemu Marta i Piotrek tracili czas na takie bzdury?

Nieważne, oglądała dalej, podczas gdy wątpliwości rozrastały się w niej jak trujący bluszcz. Piotrek był gdzieś tam, w ciemności, i być może potrzebował pomocy.

Z drugiej strony, jak właściwie mogłaby mu pomóc? Nawet jeśli chłopakowi rzeczywiście groziło niebezpieczeństwo, Kaśka słabo nadawała się na superbohaterkę. Była zwyczajną dziewczyną, na co dzień siedzącą za biurkiem. Ze sportów uprawiała tylko amatorsko wspinaczkę i od czasu do czasu, kiedy jej się chciało — a chciało się rzadko — jogging. Piotrek, choć szczupły i jak na chłopaka drobny, i tak był silniejszy niż ona. Jeśli on sobie nie poradzi, tym bardziej nie da rady Kaśka.

Kolejny racjonalny argument, który z każdą chwilą tracił na znaczeniu. Około czwartej nad ranem, gdy główny bohater „Wikingów” dowiedział się, że tajemniczy jarl obiecujący mu wsparcie to jego własna żona, dziewczyna wstała, wyłączyła komputer i wyszła.

* * *

Jechała w stronę Żywca ze świadomością, że powinna była zrobić to znacznie wcześniej, że teraz może być już za późno. Dla Piotrka, może także dla niej. Na długim, pustym o tej porze odcinku między Katowicami a Tychami spróbowała raz jeszcze zadzwonić do chłopaka. Wybrała jego numer i przez krótką chwilę nie patrzyła przed siebie, tylko na wyświetlacz.

A kiedy uniosła głowę, na środku drogi, dokładnie przed maską kii, stał jakiś nastolatek.

Wdepnęła hamulec, samochód zatańczył, na kilka rozmazanych sekund chwytając w światła szpaler rosnących na poboczu brzoź. Kaśka zdążyła jeszcze kilka razy zakląć, zanim zatrzymała się bezpiecznie. Nieznajomy biegł do niej, machając rękami. Otworzyła drzwi. Zimno uderzyło ją

w twarz i na moment, gdy schodziła z niej adrenalina, dziewczynę oszołomił bogaty leśny zapach grudniowej nocy. Otrząsnęła się.

— Zwariowałeś? — powiedziała. — Chcesz, żeby ktoś cię przejechał?

— Przepraszam. — Nieogolony, wychudzony, ze zmierzwionymi włosami i błędnym spojrzeniem, wyglądał niczym ostatni ocalały w filmowym horrorze. I nie był wcale nastolatkiem, jak założyła na początku, mógł być w wieku Kaśki, choć jakimś cudem sprawiał wrażenie jednocześnie młodszego i bardziej doświadczonego.

— Muszę się dostać do Radziechowego, a zepsuł mi się samochód. Zabierze mnie pani? Proszę! Chociaż do Bielska...

— Jadę do Radziechowego... — Niemal natychmiast pożałowała, że się do tego przyznała. Chłopak uczeplił się samochodu z nadzieją i nagłą gwałtowną desperacją.

— Proszę, błagam...

— Niech pan wsiada.

Ostatecznie: co innego mogła powiedzieć?

* * *

— Jestem Kaśka. Możemy chyba mówić sobie po imieniu.

— Marek.

Przez dłuższą chwilę w samochodzie panowało milczenie. Chłopak siedział skulony na przednim siedzeniu, dziewczyna prowadziła. Dopiero po chwili Marek odezwał się niepewnie:

— Przepraszam, że tak na ciebie wyskoczyłem... Ale to ważne, rozumiesz.

Kaśka rozumiała, a przynajmniej tak jej się wydawało.

— Coś się stało? — zapytała. — Ktoś umarł?

Zabrzmiało to jak niestosowny żart i zaraz się zawstydziała. Marek milczał.

— Gdzie cię podrzucić? — zapytała, żeby złamać jakoś niezręczną ciszę.

Zakłopotał się.

— Do centrum wsi chyba wystarczy. Dalej pójde pieszo i jakoś trafię.

— A dokąd się wybierasz? — Kaśka starała się być cierpliwa.

— Do białego domu. Można tam dojechać z dwóch stron, od Przybędzy i od Radziechowego. Dom stoi niedaleko szczytu, pod samym lasem. Pewnie nie wiesz...

— Owszem, wiem. Ja też tam jadę. — Kaśka zwolniła. — Kim ty, u diabła, jesteś?

— Marek Chrobran, przecież mówiłem.

— On nie żyje.

— Co?

— Rozmawiałam z twoją żoną, powiedziała, że nie żyjesz.

— No cóż. — Patrzył na swoje dłonie, jakby własne istnienie trochę go dziwiło. — Przecież tu jestem, prawda? Nie mam pojęcia, czemu Natalia coś takiego powiedziała. Ostatnio jest na mnie wkurzona.

— Może powinieneś do niej zadzwonić?

— Zapomniałem komórki.

Kaśka sięgnęła do torebki.

— Zadzwoń z mojej, jeśli znasz numer.

Marek wziął od niej smartfona i przyjrzał mu się, marszcząc brwi.

— Fajny sprzęt — powiedział. — Ale chyba nie umiem go obsługiwać.

Kaśka westchnęła.

— Dawaj. — Wzięła telefon w jedną rękę, a drugą wciąż trzymała na kierownicy. — Podyktuj numer.

Oddała mu potem smartfona i skupiła się na prowadzeniu. Rozmawiał krótko, prawie oschle, jakby wstydził się Kaśki. A może po prostu taki był, ostatecznie, co ona o nim wiedziała? Kiedy skończył, przekazał jej telefon. Brwi nadal miał zmarszczone, dłonie spoczywały bezwładnie na kolanach. Wciąż na nie patrzył.

— Nie pamiętam jej twarzy — powiedział. — Widziałem ją dziś rano, ale nie potrafię sobie przypomnieć jej twarzy. Czy to normalne?

— To stres — zawyrokowała Kaśka. — Przejdzie ci.

— Aha. — Nie wyglądał na przekonanego.

— Po co w ogóle jedziesz do tego domu?

Pokręcił głową, jakby nie potrafił albo nie chciał odpowiedzieć. Kaśka nie naciskała.

— A ty? Po co tam jedziesz?

— Chłopak siostry, właściwie były chłopak, ma kłopoty.

— Piotrek?

— Skąd wiesz?

— Czytałem o nim.

— Taaa, ja czytałam o tobie.

Parsknął śmiechem, w którym nie było prawdziwej wesołości.

— Strasznie to pokręcone, nie? Nie wydaje ci się czasem, że cały świat zwariował?

— Nie. — Kaśka pokręciła głową, chociaż myślała: Tak, o Jezu, tak.

* * *

Gdy skończyła się autostrada, zgubili się dwukrotnie — w tym raz omal nie utknęli w błocie pod lasem — i w rezultacie kiedy znaleźli wreszcie właściwą drogę, było już jasno.

— To tutaj — powiedziała Kaśka. — Nie dam rady wjechać na szczyt, jest zbyt ślisko. Musimy...

— Wysiąść i iść dalej pieszo. Wiem.

Spojrzała na niego, zirytowana.

— W porządku, chodźmy. — Zerknęła jeszcze w górę. Od północy na niebo wpełzała ciemność, skłębione gniewne chmury o podświetlonych czerwienią brzegach. — I chyba powinniśmy się spieszyć, zaraz zacznie sypać.

Na razie panowała cisza. Wiatr umilkł, śnieg skrzył się różowawo w pierwszych promieniach słońca. Po chwili gdzieś daleko rozszczękał się pies, a potem rozległ się dźwięk startującego silnika i te zwykłe codziennie odgłosy wydały się Kaśce w jakiś sposób niewłaściwe, jakby należały do innego porządku. Na karku czuła oddech zbliżającej się śnieżycy, subtelny na razie, ale wyraźny cień narastającego za plecami zagrożenia.

— Nie musisz się mnie bać — powiedział nagle Marek.

— Co? — Zamrugła, zaskoczona. — Nie boję się. — Mówiła prawdę. Jeśli Marek sprawiał wrażenie wariata, to nieszkodliwego, jednego z tych, którzy prędzej zrobią krzywdę sobie niż komuś innemu.

— Nie musisz się mnie bać — powtórzył. — Kiedyś kogoś skrzywdziłem, ale to było dawno temu. Byłem wtedy innym człowiekiem. Ludzie się zmieniają.

— Pewnie. — Patrzyła przed siebie. Jeden krok, drugi, trzeci. Nad horyzontem wisiało rozdęte żarem czerwone słońce, a śnieg miał kolor klinicznej bieli, tak jasnej i czystej, że od samego patrzenia bolały oczy. Tak dużo czerwieni i bieli, pomyślała. I jeszcze: Jezu, co ja właściwie tu robię?

— Ochronię cię — oznajmił Marek.

— Co takiego?

— Cokolwiek tam na nas czeka, ochronię cię.

— Dzięki. — Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Ten facet rzeczywiście miał nierówno pod sufitem.

— Naprawdę, ja...

— Cicho.

W ich stronę szła postać, wysoka, szczupła i czarna na tle słońca jak włożona w ogień drzazga. Kaśka zmrużyła oczy. Piotrek, pomyślała, ale to nie był on, tylko obcy chłopak. Albo dziewczyna. Nosił — nosiła — podarte džinsy i różową koszulkę z krótkim rękawem. Nie wyglądała, jakby było jej zimno. I co najbardziej zdumiewające, chodziła boso.

— Spóźniliście się — powiedziała. — To już się stało.

— Piotrek? Tam jest Piotrek? — Kaśka czuła, jak w jej gardle rośnie ciężka i twarda kula paniki.

— On nie żyje — oznajmiła dziewczyna, która chyba jednak była chłopakiem. — Musimy zadzwonić na policję.

— Powinniśmy tam iść...

Chłopak pokręcił głową.

— Nie. Ona wciąż tam jest. Dajcie mi telefon.

* * *

Pozwolili mu zadzwonić, a potem wrócili do samochodu. Nie uzgodnili tego, po prostu tak się stało. Siedzieli później i patrzyli, jak przejeżdża obok nich fiat bravo, który musiał należeć do policji. Szyby były zbyt ciemne, żeby zobaczyć, kto znajduje się w środku. I nie pojawiła się karetka, to Kaśkę zdziwiło. Może uznali, że nie zdążą przed śnieżycą? Pogoda psuła się z każdą chwilą, pierwsze płatki śniegu już uderzyły o szybę, pchnięte oddechem narastającej burzy.

Nie mogłam mu pomóc, myślała dziewczyna. Co niby miałam zrobić?

Nie pomogło i nadal czuła się winna.

— Znam go — powiedział Marek. — Albo ją.

— Kogo? Tę dziewczynę, która do nas wyszła? Czy to był chłopak?

— Jedno i drugie. To Słoneczko, mieszkało kiedyś w tym domu. Widziałem je już wcześniej, chociaż nie pamiętam gdzie.

— Gdzie ono się podziało? — Kaśka rozejrzała się. Pamiętała, że nieznajomy oddał im komórkę i gdzieś przepadł. Nie było w tym nic tajemniczego, mógł zwyczajnie odejść w stronę lasu, podczas gdy oni szli do samochodu. Ale i tak poczuła się trochę nieswojo. Jaki normalny rodzic wypuszcza nastolatka — obojętnie jakiej płci — boso na śnieg?

— Co teraz? — zapytał Marek.

— Spróbujemy się czegoś dowiedzieć. — Dziewczyna włączyła wycieraczki, które zrzuciły z przedniej szyby warstwę śniegu. Chwilę później samochód wolno ruszył w stronę Węgierskiej Górki.

* * *

To wszystko przeszłość, teraz dochodzimy do chwili obecnej. Kaśka właśnie zmierza na posterunek. Za dziesięć, może piętnaście minut wejdzie tutaj i zacznie wypytywać o to, co właściwie stało się w białym domu, czy był tam Piotrek, czy jest ranny, czy może aresztowany.

Będziecie zbyt oszołomieni, żeby zrobić cokolwiek poza schowaniem się za standardowymi procedurami i formułkami. Spiszecie jej dane, potem wysłuchacie relacji o podróży z Katowic, Słoneczku i telefonie. Wreszcie, gdy Kaśka będzie się upierać przy swoich pytaniach, poinformujecie ją, że w białym domu znaleźliście tylko dziewczynę, żadnego chłopaka tam nie było.

Odmówicie podania mojego imienia i nazwiska, bo w końcu to nie jej sprawa. Powiecie, żeby „pozostała do dyspozycji policji”. Będziecie się później zastanawiać, co mogliście zrobić więcej, i dojdziecie do wniosku, że nic-trudno przecież aresztować kogoś za to, że przyszedł na posterunek.

Tak więc Kaśka wróci do Marka, który będzie na nią czekał w miejscowej knajpce, kiwając się sennie nad talerzem jajecznicy z szynką. Dziewczyna zamówi dwa tosty i kawę, narzekając w duchu, że lokal wygląda jak żywcem przeniesiony z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Potem zadzwoni jeszcze raz do Piotra — już odruchowo, zupełnie bez nadziei, że chłopak odbierze. W telefonie po raz kolejny włączy się poczta głosowa, a Kaśka poprosi, żeby dał jakiś znak życia, bo ona bardzo się o niego martwi. Tak właśnie powie, „znak życia”, i nie spodoba jej się brzmienie tych dwóch słów. Będzie w nim coś ostatecznego, jak zgrzyt klucza w drzwiach celi.

— Mam tego wszystkiego dość — oznajmi chwilę później. — Nie spałam przez całą noc i padam z nóg. Muszę odpocząć. — I zaraz się poprawi — oboje musimy. Wyglądasz, jakbyś miał zaraz zemdleć.

Zapyta barmankę, czy można tu gdzieś wynająć pokój, a ona skinie głową i nawet narysuje mapkę. Kaśka i Marek zapłacą za śniadanie. Po chwili, idąc już w stronę drzwi, chłopak przyzna się z ociąganiem, że wydał właśnie ostatnie pieniądze.

Kaśka westchnie.

— Mogę ci dać kluczyki, żebyś przespał się w samochodzie — powie.
— Chyba że wolisz, żebym pożyczyła ci na bilet powrotny do Katowic?

— Nie chcę wracać.

Już w wynajętym pokoju zacznie się zastanawiać, czy Marek nie zniknie przypadkiem z jej samochodem. Uzna jednak, że to mało prawdopodobne — z jakiegoś powodu ten cichy, zagubiony chłopak budzi w niej zaufanie. Poza tym nawet gdyby miał to zrobić, Kaśka stratę przeżyje, zielona kia coraz częściej odmawia posłuszeństwa i dziewczyna stanowczo powinna kupić sobie coś nowego.

Weźmie więc prysznic, a potem, owinięta w suchy ręcznik, położy się na łóżku i będzie słuchać odgłosów objadającej się o okno śnieżycy, aż wreszcie zaśnie, jeśli nie całkowicie odprężona, to przynajmniej na tyle spokojna, by wierzyć, że wszystko jeszcze skończy się dobrze.

Obudzi ją głęboka, znieruchomiła cisza — nagłe milczenie wiatru i brak uderzającego w szybę śniegu będą w pewien sposób bardziej niepokojące niż dźwięki wichury. Kaśka usiądzie na łóżku, wciąż owinięta w ręcznik, i zerknie na komórkę. Godzina druga czterdzieści będzie oznaczała, że dziewczyna przespała dzwonek budzika. Zaklnie, a potem podejdzie do okna, żeby zobaczyć świat powtórnie narodzony w bieli, świeży i czysty jak ze świątecznej pocztówki — i jeśli gdziekolwiek na tym świecie będzie istniał jeszcze grzech brzydoty albo brudu, zostanie on tak głęboko ukryty pod warstwą śnieżnych zasp, że nikt już o nim nie będzie pamiętał.

Dwudziesty dziewiąty grudnia, pomyśli. Półtora tygodnia temu Piotrek zadzwonił z informacją, że Marta zniknęła. Kaśce z trudem przyjdzie uwierzyć, że minęło tylko dziesięć dni; będzie się czuła, jakby było ich znacznie więcej. Miesiąc, może nawet rok. Jakby tamten telefon odebrała inna osoba.

A teraz Marta się znalazła, za to zniknął Piotrek. Wypoczęta Kaśka będzie myślała znacznie jaśniej, świecące za oknem słońce na dobre uwolni ją od nocnych strachów. Nie będzie miała już wątpliwości, co powinna zrobić.

Ubierze się we wczorajsze ciuchy i zejdzie na dół, gdzie na parking, oparty o maskę zasypanej śniegiem kii, będzie stał Marek. Poczęstuje ją papierosem z wymiętej paczki i poda ogień.

— Dobra, to teraz tak — powie Kaśka, kiedy już zaciągnie się dymem.
— Zamierzam wrócić do tego domu i się rozejrzeć. Jeśli Piotrek tam dotarł, może znajdę jakieś ślady. Jeśli nie, spróbuję popytać w okolicy dworca. Był jedyną osobą, która wysiadła wczoraj na tej stacji, i ktoś mógł go zapamiętać.

— A jeśli nie wysiadł z pociągu?

— Tym będę się martwić później. — Rzuci niedopalonego papierosa na ziemię i oznajmi — większość dróg i tak pewnie jest nieprzejezdna, ale podjadę tak blisko Matyski, jak tylko się da, a potem pójdę pieszo.

Marek bez słowa wsiałdzie za nią do samochodu.

* * *

Wychowana na amerykańskim kinie Kaśka spodziewać się będzie przejścia zagrodzonego taśmą jak z policyjnych filmów, ale niczego takiego nie zastaną — dom będzie wyglądał jak zawsze: zwyczajny, pomalowany na biało piętrowy budynek, coś pomiędzy wiejską chałupą a eleganckim domkiem letniskowym. Nic niepokojącego, nic, czego można by się bać. Furtka skrzypnie, gdy Kaśka wejdzie do ogrodu, światło zachodzącego słońca ześlizgnie się po czapach śniegu zdobiących bezlistne drzewa i krzewy.

Wejdą na ganek, najpierw ona, potem on. Drzwi okażą się otwarte. Kaśka będzie się chwilę nad tym zastanawiać, ale ostatecznie uzna, że to bardzo dogodny zbieg okoliczności — dzięki temu w razie wpadki nikt nie będzie mógł oskarżyć ich o włamanie.

W środku powita ich zapach letniego słońca uwięzionego w drewnie i niedawno zaparzonej kawy. Krew wyczują dopiero później, kiedy wejdą do kuchni — tu powietrze będzie ciężkie, zgęstniałe od zastygłego strachu. Na stole znajdą zdjęcie trzech dziewcząt w ogrodzie, a na podłodze zaschnięte czerwone ślady.

— Jezu — powie Kaśka. — Naprawdę tu ktoś umarł.

— Niekoniecznie — zaprzeczy Marek. — Tej krwi wcale nie ma dużo.

Będzie miał rację, ale dziewczyna nie poczuje się od tego lepiej. Pomyśli o Piotрку — gdzie w tej chwili jest? Żyje czy nie? Z jakiegoś powodu ta druga ewentualność wyda jej się całkiem prawdopodobna i serce Kaśki ściśnie nagły smutek, bliźniaczy brat poczucia winy.

Rozejrzą się najpierw po parterze, a potem po piętrze, ale nie znajdą niczego ciekawego. Dom wciąż będzie irytująco zwyczajny, jakby nie krył

zupełnie żadnych tajemnic. Albo jakby je złośliwie przed nimi chował. W lodówce będzie trochę wolno psujących się produktów: puszki z pasztetem, fasolą i kukurydzą, kostka smalcu i karton mleka UHT; w jednym z pokoi znajdą zapomniany kryminał Agathy Christie, a także różowy kardigan — Kaśka dotknie go i przez chwilę będzie jej się wydawało, że wyczuwa jeszcze odległe jak zanikające echo ciepło ciała, które sweter nosiło. W korytarzu przy drzwiach trafią na ubłocone robocze buty, kosiarkę z resztkami zeschniętej trawy na ostrzu i wiszący na wieszaku płaszcz przeciwdeszczowy, zielony i zakurzony jak porzucona wężowa skóra.

Oto typowy dom, który żyje tylko latem, a na zimę zamiera, pogrążony w letargu, pomyśli dziewczyna, choć będzie wiedziała, że to nieprawda.

— Dobra, spadamy — powie z energią, której wcale nie poczuje. — Niczego tu nie znajdziemy.

Ku jej zdumieniu Marek, dotąd tak potulny, pokręci głową.

— Ja zostaję — oznajmi. — Do zmroku niedaleko.

— Po ci zmrok?

— Wtedy oni przyjdą. Tak myślę. Chcesz coś zjeść?

— Co? Marek, Jezu, odbiło ci?

Chłopak pójdzie do kuchni i omijając plamy krwi, podejdzie do lodówki. Zdezorientowana Kaśka podąży za nim.

— Nie możemy tu zostać — powie i zaraz pomyśli, że właściwie to dlaczego nie? W końcu to dom koleżanki jej siostry, nawet gdyby ich tutaj przyłapano, prawdopodobnie zdołaliby się wykręcić stosunkowo tanim kosztem.

Marek weźmie jej milczenie za zgodę. Z lodówki wyjmie puszkę pasztetu i posmaruje nim kromkę chrupkiego pieczywa, które znajdzie w szafce. Potem w dwóch kubkach zaparzy herbatę. Zjedzą i wypiją w pokoju na piętrze, z daleka od rozmazanej na podłodze krwi. Marek włączy staroświeckie stereo i dom wypełnią dźwięki muzyki.

— Zatańczysz? — zapyta. Kaśka pokręci głową, ale w końcu się zgodzi. „Dlaczego nie?“, będzie dudniło jej w głowie w rytm muzyki. Jedno głupstwo mniej i tak mnie nie uratuje.

Gdy Marek zmieni płytę, za oknem zapadnie już ciemność, a przez noc popłyną dźwięki *White Christmas*:

*I'm dreaming of a white Christmas
With every Christmas card I write
May your days be merry and bright
And may all your Christmases be white*

Wtedy właśnie usłyszą pukanie do drzwi.

Kaśka znieruchomieje w objęciach Marka, Marek zatrzyma się z ręką na biodrze Kaśki.

— To policja — szepnie dziewczyna. — Albo właściciele.

— Oni by raczej nie pukali, policja zresztą też nie... Możemy udawać, że nas tu nie ma.

— Za późno. Słyszeli już muzykę i widzieli światło w oknie.

Pukanie rozlegnie się jeszcze raz, tym razem mocniejsze, jakby każde *stuk-stuk* podkreślał wykrzyknik.

— Otworzę — powie Kaśka, ale Marek powstrzyma ją.

— Nie, ja otworzę. Zaczekaj, zaraz wracam.

Kaśka będzie czekała: jedną minutę, drugą i trzecią. Z dołu dobiegną odgłosy rozmowy, ale muzyka i tak zagłuszy jej sens.

*I'm dreaming of a white Christmas
With every Christmas card I write
May your days be merry and bright
And may all your Christmases be white*

Rozmowa ucichnie, Kaśka nadal będzie czekała. Na płycie skończy się *White Christmas* i zacznie się kolejna piosenka. Ciemność na zewnątrz stanie się bardziej aksamitna i srebrzysta, na niebo wypłynie księżyc okrągły jak twarz Boga, a do ogrodu wślizgną się wychudzone lisy o płonących oczach.

Chłopak nie wróci.

* * *

— Marek? — Kaśka zejdzie na parter. — Jesteś tu?

Obejdzie wszystkie pokoje i wszystkie okażą się puste tą nagłą, balansującą na granicy niewiary pustką, jaka pojawia się, gdy ktoś niespodziewanie znika: na stole kubek z resztkami ciepłej jeszcze herbaty, na krześle kurtka, która zachowała kształt ciała, w powietrzu delikatny

zapach cytrusowej wody kolońskiej. Wspomnienie Marka wciąż wyraźne jak ślad odcisnięty w mokrym piasku, ale jego samego już nie ma.

Kaśka wyjmie latarkę z szuflady w kuchni i wyjdzie do ogrodu.

— Marek? — zawoła. — Mareek!

Oświetli wyłaniającą się spod śniegu płataninę krzewów i w ciepłym kręgu blasku rozbłyszczą zimne lisie oczy. Obejdzie dom — nigdzie ani śladu Marka. Już będzie chciała zawrócić, kiedy zobaczy drzwi. Proste, zbite z desek drzwi z żelazną kłódką, prowadzące prawdopodobnie do piwnicy. Kaśka zawaha się, ale ostatecznie podejdzie bliżej, bo pewnych rzeczy nie da się uniknąć, pewne rzeczy po prostu trzeba zrobić. W środku usłyszy szelest, jak odgłos ciała przesuwającego się po kamiennej posadzce.

Zbliży usta do szpary w drzwiach i szepnie:

— Marek, to ty? Jesteś tam?

— To ja — odpowie jej cichy głos. — Pomóż mi, proszę.

— Co się stało?

— Nie mogę otworzyć drzwi.

— Jezu — jęknie dziewczyna. — Spróbuję cię jakoś wyciągnąć.
Zaczekaj.

— Musisz się spieszyć, tu nie jest bezpiecznie.

— Zaraz wrócę.

Kaśka pobiegnie do domu po siekiere — tę, która stoi w korytarzu tuż przy drzwiach — i znowu do piwnicy, a kiedy do niej dotrze, niebo na wschodzie będzie jasne, a drzwi okażą się otwarte.

— Marek? — zapyta jeszcze raz. Tym razem nikt nie odpowie, ale ona i tak odwróci się od światła i ostrożnie, jakby wciąż jeszcze wierzyła, że mimo wszystko udało jej się ocalić odrobinę rozsądku, zejdzie w ciemność.

Zdąży zrobić trzy kroki, gdy ktoś zamknie za nią drzwi.

* * *

To już prawie koniec. Co jeszcze mogę powiedzieć? Że w piwnicy będzie Marek, który chwyci Kaśkę za rękę i zapewni, że ochroni ją niezależnie od tego, co dalej się stanie? Że gęsta ciemność będzie pochłaniać światło latarki, a sama latarka, zmęczona nierówną walką z mrokiem, wkrótce zgaśnie? To banał, sami o tym wiecie. Takie właśnie rzeczy dzieją się w piwnicach.

Ale jest jeszcze coś i może zdążę o tym powiedzieć, zanim Kaśka zapuka do waszych drzwi, żeby wypytać o dzisiejszą interwencję. O, chyba

ją słyszę. Nie, proszę zaczekać, zostały tylko dwa zdania.

W piwnicy dziewczyna zauważyła na podłodze plamę po stopionej świecy i skierowała na nią strumień światła w kolorze słabej herbaty. Wtedy właśnie, nim latarka całkiem zgasła, w kałuży zastygłego wosku otworzyła się brama, a w niej oboje, Kaśka i Marek, zobaczyli kobietę przy biurku, a także rysunek różowej żyrafy na ścianie za jej plecami.

XIII.

Opowieść o prostej drodze

Milknę, a kobieta za biurkiem patrzy na mnie uważnie. Nie potrafię odgadnąć wyrazu jej twarzy-jest znudzona? zdegustowana? niepewna? A może odwrotnie: zaciekawiona i pełna współczucia? Widzę, jak mrok porusza się pod jej skórą, jak oplata ją gęsta sieć sekretów. Słowa takie jak „niemożliwe” i „tajemnica” mają swój własny smak, kolor i zapach, są gęste, lejące się jak płynny miód i tak samo oblepiają człowieka, który się z nimi zetknął.

Starsza aspirant Elżbieta Budzioł patrzy na mnie, a potem strząsa i wytrząsa to wszystko z siebie z taką energią, że przez moment zamiast niej widzę za biurkiem psa pozbywającego się wody z futra.

— Bzdury — mówi. Słowa porządkują rzeczywistość, a to ma szczególną siłę, jest jak słoneczny promień wpuszczony do ciemnego pokoju i przeganiający cienie. — Po co ja w ogóle tego słucham?

Chcę zaprotestować, że nie, żadna bzdura, to wszystko ma sens — lecz tego sensu też przecież już nie widzę. Był, ale go nie ma, został ślad jak powidok słońca odbitego na wewnętrznej stronie powieki, a potem i on znika.

Godzę się więc pokornie, że tak, bzdura. Wiem, co starsza aspirant o mnie myśli — jestem rozpuszczonym neurotycznym dzieciakiem, jednym z tych, które nie potrafią docenić tego, co mają.

I wpadają mi do głowy głupie pomysły. Wszystko, co zdarzyło się w białym domu, zostaje sprowadzone właśnie do tego: głupi pomysł.

Słyszę pukanie, a po chwili do pokoju wsuwa głowę młody mężczyzna w mundurze.

— Przyszła Katarzyna Kozłowska — mówi. — Wpuścić ją?
Starsza aspirant kiwa głową, że tak, wpuścić.

Tak naprawdę nie znam Kaśki — to starsza siostra koleżanki, nikt bliski. Ale tak się złożyło, że akurat była w Żywcu i kiedy Marta do niej zadzwoniła, zgodziła się po mnie przyjechać. Moi rodzice są daleko, ojciec w Australii, a matka z nowym mężem i nowymi dziećmi w Gdańsku. Ja radzę sobie na studiach w Katowicach. Przynajmniej taka jest oficjalna wersja — że sobie radzę.

Kaśka patrzy na mnie z dezaprobatą i prawdopodobnie myśli coś o głupich dzieciakach, które miewają głupie pomysły.

Załatwiamy formalności, potem starsza aspirant pyta, czy nadal chcę jechać do szpitala.

Mówię, że nie, że czuję się dobrze, co nie do końca jest prawdą, ale wierzę, że wkrótce nią będzie.

* * *

Śnieg już nie pada, gdy wsiadamy do zielonej kii, która zapala niechętnie.

— Może jednak potrzebujesz lekarza? — pyta Kaśka. — Błado wyglądasz.

Potrząsam głową.

— Wszystko w porządku — upieram się, a potem mruczę — Ewa będzie wkurzona.

Kaśka zaraz mnie uspokaja.

— Nie sądzę, żeby jej rodzice wniesli oskarżenie. Zresztą porozmawiaj z nią. Ona i Marta są teraz w Wiśle. Świątują rozstanie Marty z Piotrkim.

Przytakuję, jakby to było oczywiste, choć nie pamiętam, skąd o tym rozstaniu wiem.

— Naprawdę drzwi do domu były otwarte? — pyta Kaśka.

— Tak.

— Dziwne.

— Dziwne — przyznaję i przez chwilę patrzę, jak słowo unosi się pod sufitem niczym pomarań-czowo-różowy motyl, a potem rozmywa się i niknie. W tej sprawie jest całe mnóstwo tajemnic, ale żadna z nich już mnie nie obchodzi.

Zostawiamy za sobą górę Matyskę i biały dom, a w nim to, co musiało zostać odcięte. Zawsze byliśmy razem, myślę, ale te słowa nie mają już znaczenia. Byliśmy — a więc przeszłość. Terazniejszość to zupełnie coś innego.

Kiedy mijamy tabliczkę z napisem „Radziechowy”, z lasu wychodzi szczupła naga postać i przystaje na poboczu drogi. Zimowe słońce razi mnie w oczy i nie widzę dobrze jej rysów, ale wydaje mi się znajoma, unoszę więc rękę i macham przez szybę samochodu. Postać pozdrawia mnie, a potem odwraca się i znika w lesie.

— Ktoś, kogo znasz?

— Możliwe — odpowiadam zgodnie z prawdą. — Chyba.

Tak wielu rzeczy nie pamiętam, ale wiem już przynajmniej, które z nas umarło tamtego dnia.

— Dokąd cię zawieźć?

Zanim zdążę odpowiedzieć, dzwoni telefon Kaśki. Dziewczyna odbiera.

— Tak, wszystko w porządku, tak — powtarza, a potem patrzy na mnie. — Marta mówi, że jeśli dobrze się czujesz, możesz do nich przyjechać. Czeka ją na ciebie.

Dąsam się jeszcze przez chwilę — owszem, Marta to moja najbliższa koleżanka i do niej dzwonię zawsze, kiedy mam kłopoty, ale nie mam pewności, czy dam radę teraz spojrzeć w oczy jej i przede wszystkim Ewie. Wiem jednak, że i tak mnie to nie ominie, więc kiwam głową, że tak, pojedę do Wisły, dlaczego nie?

Kaśka włącza muzykę, a słowa „Dlaczego nie?” wybijają rytm w moich żyłach. Ręce wciąż mnie boją, ale mniej, jakby ból także należał do przeszłości. Droga przed nami skrzy się w słońcu, jest gładka i prosta, bez żadnych zakrętów, cieni i tajemnic. Wszystko zostało za mną. Przy dźwiękach piosenki Depeche Mode zegnę się z bratem, który umarł w białym domu. Po raz pierwszy od wielu lat myślę, że wreszcie jestem sobą, i czuję się szczęśliwa.